

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK



CENA 7 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl) Nr 1 (304) • ROK XXVI • STYCIEŃ 2021



MINIONE  
PRZYSZŁE

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



Skomplikowane dzieje okolic Częstochowy na przykładzie podczęstochowskiego Czarnego Lasu opisuje Jarosław Kapsa. Przyczynkiem do historycznych rozważań jest dawny cmentarz ewangelicki, rzucający sporo światła na przeszłość miejscowości.

Szczegóły str. 8



Współczesny Pakistan dla wielu osób jawi się jako kraj zagrożeń związanych głównie z terroryzmem i nie jest bynajmniej popularnym celem turystycznych wyjazdów. Te niekorzystne stereotypy przełamuje śląski globtroter Łukasz Cygańczuk, który dzieląc się swoimi obserwacjami z podróży do Pakistanu udziela przy okazji szeregu praktycznych rad dotyczących takiego wyjazdu.

Szczegóły str. 30



Żyjący w XVIII wieku pruski generał Friedrich Wilhelm Freiherr von Seydlitz-Kurzbach swoim krótkim, choć barwnym życiem mógłby zainspirować wielu autorów awanturniczych powieści spod znaku płaszcza i szpady. Hulaka, awanturnik, kobieciarz, ryzykant i odważny kawalerzysta zmarł młodo w swojej śląskiej posiadłości w Minkowskich. Zastanawiające są okoliczności związane z losami jego grobowca. Na zdjęciu pałac, obok którego spoczął pruski generał.

Szczegóły str. 50



Rozwój sieci kolei wąskotorowej na Górnym Śląsku powiązany był ściśle z rozbudową tutejszego przemysłu. Wąskotorówki stanowiły niejako krwioobiegi przemysłowej infrastruktury obok kolei normalnotorowej. Po upadku górnictwa i hutnictwa na początku lat 90. po większości wąskotorowych połączeń nie został już żaden ślad – za to inne stały się atrakcjami turystycznymi i chronionymi zabytkami techniki.

Szczegóły str. 52

WYDAWCA  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE  
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL  
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
Kultura, sztukaStali współpracownicy:  
EWA BARTOS  
MAGDALENA DZIADEK  
MARIAN G. GERLICH  
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO  
WIESŁAWA KONOPELSKA  
PAWEŁ MAJERSKI  
JAN MALICKI  
WOJCIECH LIPOWSKI  
ZBIGNIEW LUBOWSKI  
JULIA MONTEWSKA  
JAN MIODEK  
KATARZYNA NIESPOREK  
JERZY PASZEK  
DARIUSZ PIETRUCHA  
KS. HENRYK PYKA  
BOGNA SKWARA  
HENRYK SZCZEPAŃSKI  
JOANNA WARONSKA  
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski  
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian  
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie  
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:  
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”  
na terenie całego kraju. Bezpośrednio  
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”  
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.  
Wpłaty należy dokonywać na konto:  
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
BGŻ BNP Paribas o/Katowice  
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna  
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod  
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne  
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl  
oraz na www.slaskgtl.pl  
Nakład: 1700 egzemplarzy

## W NUMERZE

## PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA  
4 *Piotr Skowronek* O BÓLU WSZECHOGARNIAJĄCYM ROZMOWA Z JOLANTĄ GRABOWSKĄ-MARKOWSKĄ – PREZES HOSPICIUM CORDIS W KATOWICACH  
8 LISTY CZEŚTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* CZARNY LAS  
10 *Ks. Henryk Pyka* STOJĄC U PRAŻRÓDŁA  
14 *Zbigniew Lubowski* WIEDENSKA WSPINACZKA KU KARIERZE. ROZMOWA Z SOPRANISTKĄ KORNELIĄ SZCZYPKĄ  
20 *Henryk Szczepański* DZIECIŃSTWO PUŁKOWNIKA. TWÓRZ EMANUEL STEFAN ALOJZY (1872-1955)  
23 *Wiesława Konopelska* „ŁUCJA Z LAMMERMOOR” W WIRTUALNEJ PRZESTRZENI  
28 *Barbara Gruszka-Zych* KATOWICKI HRABAL O BOGDANIE WIDERZE  
29 *Błażej Zych* BOGDAN WIDERA. 26 CZERWCA 1947 – 10 GRUDNIA 2020  
30 *Łukasz Cygańczuk* PEREGRYNACJE PAKISTAŃSKIE ŚLĄSKIEGO PODRÓŻNIKA  
40 *Ewa Kosowska* SAPERE AUSO. PAMIĘCI DR. EUGENIUSZA JAWORSKIEGO  
41 *Małgorzata Rygielska* NOTA NICOTINA, NOTA ODORATA – EUGENIUSZOWI JAWORSKIEMU  
42 *Stefan Gierlotka* PRESTIŻ WSPÓŁCZESNEGO INŻYNIERA  
48 *Marian Zembala* EPITAFIUM DLA LILI GOLDSTEIN  
50 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* GDZIE JEST GENERAL?  
52 *Ryszard Dąbrowski* WĄSKOTORÓWKĄ PRZEZ ŚLĄSKIE  
56 *Wojciech Lipowski* POWRÓT DO DOMU  
58 *Marcin Halaś* TURANDOT I JUBILEUSZ WE LWOWIE  
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* POLONISTYCZNE PODSUMOWANIA  
68 *Wiesława Konopelska* POTWÓR NA SKRAJU OTCHŁANI  
75 INDEKS ALFABETYCZNY NAZWISK AUTORÓW I ICH PUBLIKACJI ZAMIESZCZONYCH W MIESIĘCZNIKU „ŚLĄSK” W ROKU 2020

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: LECH KOŁODZIEJCZYK – MALARSTWO

## POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Anna Tłałka* WĘDROWNE PTAKI  
12 *Anna Tłałka* WIERSZE  
16 *Magdalena Dehiles* FRÄULEIN LIGON  
26 *Paweł Lekszycki* WIERSZE  
46 *Andrzej Handzlik* WIERSZE

## FELIETONY

- 24 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* BOGUSŁAW KACZYŃSKI – MISTRZ Z BIAŁEJ PODLASKIEJ  
25 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* OPOWIEŚĆ O TRZECH KSIĄŻKACH  
36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* O PODWROCLAWSKIEJ ŻÓRAWINIE  
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Grzegorz Gerlich* MINĘŁO. A JEDNAK TRWA?  
38 BŁYSKI I ZAPATRZENIA *Marian Sworzeń* WITOLD TURANT, „METAPOLIS”  
44 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* RZĄDY PRUSKIE W SZKOLE. MATERIAŁY DO DZIEJÓW OPORU SZKOLNEGO W ZABORZE PRUSKIM

## KSIĄŻKI

- 62 *Joanna Kisiel* BRAK, NIEOBECNOŚĆ, FIGURACJA  
64 *Edyta Korepta* „AUTORKA JAMBOROWYCH TEKSTÓW”  
65 *Stanisław Jasionowicz* LEKARSTWO NA TRUDNY CZAS  
66 *Antoni Wilgusiewicz* SMUTNI LUDZIE W WESOŁYM MIEŚCIE  
80 KSIĄŻKI NADESLANE

## NOTATNIK KULTURALNY

73 KATOWICE, BYTOM, BIELSKO-BIAŁA, SOSNOWIEC, CZELADZ

Na okładce:  
Henryk Bzdok, Jest śnieg. Fotografia, 2021.Tył okładki:  
Krzysztof Bieliński, zdjęcia z premiery „Lucji z Lammermoore” Opera Śląska.

## Od Redaktora

W styczniu przyszła wreszcie zima z wszystkimi właściwymi dla niej problemami. Śnieg – dla jednych utrapienie, dla innych znakomita zabawa – przykrył odświeżoną bielą brudy codziennej szarości. Szczególnie tej, która jest efektem niekończącej się udręki walki z falą pandemii i budzącej się nadziei na pozytywne efekty akcji szczepień już blisko miliona naszych rodaków.

Jest więc panaceum na pandemiczne lęki, lecz – jak widać kolejny już raz – „niewidzialna ręka wolnego rynku” znowu zawodzi i nie tylko nie zważa, nie kieruje się zwyczajnym poczuciem empatii i solidarności, ale nawet zapomina o zawartych przez koncerny farmaceutyczne i rządy kontraktach, umowach, zobowiązaniach. Zysk i pieniądze bywają ważniejsze od zdrowia.

Codziennosc – regulowana przez „całodobową” obecność dzieci i młodzieży w domach, kształcących się na odległość ręki „wyciągniętej” do najbliższego komputera lub telefonu.

Szarości „urozmaicanej” ciągle pobudzonymi niepokojami społecznymi, manifestacjami, w tym strajku kobiet, i innymi demonstracjami osób dotkniętych skutkami koniecznego w okresie zarazy zamknięcia ich warsztatów pracy na przysłowiowy klucz.

Teatry, muzea, filharmonie i nawet kina przeniosły się ze swą działalnością do rzeczywistości wirtualnej, próbując tam ulokować swe propozycje i oferty tytułowe. Wierni widzowie jednak zbyt rzadko tam zaglądnęli, by móc mieć nadzieję, że kształtowane przez wiele lat nawyki uczestnictwa w kulturze po prostu nie zanikną.

Okazuje się, że media społecznościowe wcale nie muszą być całkiem „społecznościowe”, można skutecznie je zablokować, wyłączyć, a nawet manipulować zawartymi w nich informacjami, zgodnie z oczekiwaniami różnych speców i „inżynierów ludzkich dusz”, jak mawiał klasyk.

W województwie śląskim to-

czą się ze zmiennym szczęściem kolejne, znane od początku XXI wieku negocjacje nad rozwiązaniem problemów funkcjonowania branży górniczej, rodzin, osiedli i miast żyjących od wielu pokoleń rytmem górniczego trudu. Wizja całkowitego zamknięcia w perspektywie najbliższych dwóch dekad tej branży przemysłu nie jest dla wielu rodzin obiecującą perspektywą.

A gdzieś tam, w dalekiej Etiopii, w starożytnym mieście, gdzie według legendy miałyby być przechowywana Arka Przymierza – jak w zamierzczłych epokach – dzieje się rzeź chrześcijan, daremnie oczekujących azyłu w swej świątyni.

Wkraczamy w pierwszy rok trzeciej dekady XXI wieku, a miniony smutny XX wiek ciągle nie pozwala nam zapomnieć o sobie i skutkach jego historii.

*Tadeusz Sierny*

## wędrownie ptaki

nie zazdrozczę wędrownym ptakom –  
wraz z nadejściem zimna nie opuszczam  
swojego miejsca

moje myśli zamieszkują w ich pustych gniazdach,  
choć ciepłe morze na południu pieści skórę,  
a wiatr układa włosy według tajemnego planu

czy tam nigdy nie pada deszcz? i słońce  
mocno grzeje przez cały dzień? czy można  
spotkać jeża śpiącego na mchu?  
może życie miesza się ze snem  
w konarach wysokich drzew – wolność?

czy mogłabym zapomnieć o obietnicy, że  
zawsze będę blisko chwil, w których  
spotkałam twoje oczy jak swoje,

zapatrzone w świat tak nieoczywisty,  
poszukujące miejsca w innym sercu?

będzie dobrze, choć odszedłeś do innych rąk,  
wciąż czekam na list lub wiersz, jak ci tam jest?

**Hospicjum Cordis, któremu Pani szeptuje, w ubiegłym roku skończyło 30 lat. Postanowiliście uczcić okrągłą rocznicę przedsięwzięciem nazwanym #wyprzedźPrezesa. Proszę opowiedzieć o tym pomysle.**

W dzisiejszych bardzo specyficznych czasach pandemii, wymyślić i zorganizować obchody 30-lecia nie jest łatwo, bo odpadają wszelkie imprezy, na których ludzie mogą się spotkać. W związku z tym wymyśliśmy, że będziemy świętować przez kilka miesięcy. Jednym z bardziej szalonych pomysłów było przedsięwzięcie 30 dyscyplin sportowych z udziałem prezesa, do którego zaprosiliśmy wszystkich chętnych do wspólnej zabawy. To oryginalny pomysł, aż kilkaset osób podjęło się tego wyzwania. Chyba nikt jeszcze w taki sposób nie obchodził 30-lecia hospicjum, bo powszechnie bardziej kojarzy się ono ze smutkiem i żałobą, z jakimś dystansem do zabawy. Nauczyliśmy się przez 30 lat, że hospicjum to miejsce pełnego życia do końca, to miejsce na wspólną zabawę, na podejmowanie różnych, czasem dziwacznych przedsięwzięć, jak realizacja marzeń naszych chorych czy „bieg prezesa”. W życiu jest miejsce na wszystko: na płacz, smutek, ale też na radość i zabawę, na poczucie humoru.

**W ostatnim wyzwaniu, kiedy stoi Pani na bloku i za chwilę ma zejść głową w dół pełna strachu i obaw padają słowa: „Powinnam to zrobić dla innych...”. Czy one także towarzyszyły zakładaniu hospicjum?**

Jestem przeciwnikiem budowania pomników i nigdy nie myślałam inaczej o tym miejscu niż w kategorii pomocy. Jestem lekarzem pediatrą z własnego wyboru. Jest to rodzaj powołania i niesie z sobą konsekwencje w postaci pomagania innym ludziom. Wydaje mi się, że idea czynnej miłości bliźniego była w hospicjum obecna od początku. Trzeba zarazić tą ideą jak największą grupę ludzi, bo samej niewiele da się zrobić. Trzeba działać w zespole. Założenie hospicjum nie było moim pierwotnym pomysłem. W 1989 roku działałam w Komitecie Obywatelskim, aby pomóc przygotować wybory. Robiłam to z potrzeby serca, z poczucia patriotyzmu, przekonywałam ludzi, żeby wybierali „Solidarność”. Po wyborach zrobiła się „puszka”. Trochę tak, jak w ruchu hospicyjnym w 1980 roku w całej Polsce. Pierwsze hospicjum, które powstało w 1981 roku w Krakowie – Towarzystwo Przyjaciół Chorych – narodziło się z potrzeby skanalizowania ludzkiej energii w związku z powstaniem „Solidarności”.

Wróćmy do roku 1989. Na jednym ze spotkań komitetu, który skupiał inteligencję Mysłowic, dostałam szczególne zadanie. Pani doktor, która miała na nazwisko Dusza powiedziała mi: „Ty, Markowska, to teraz się zajmiesz organizacją hospicjum w naszym mieście”. Trochę mnie zmroziło, bo mniej więcej orientowałam się, czym zajmuje się hospicjum. Jako lekarzowi, który przygotowywał się wówczas do specjalizacji z pediatrii wydawało się to kompletnie niemożliwe. Dostałam takie polecenie, ponieważ jestem



Jolanta Grabowska-Markowska

# O bólu wszechogarniającym

Z JOLANTĄ GRABOWSKĄ-MARKOWSKĄ

– prezes Hospicjum Cordis w Katowicach rozmawia

PIOTR SKOWRONEK

ctw. człowiekiem „zadaniowym”. Pamiętam, że dr Dusza wręczyła mi wtedy dwie gazetki, gdzie opisano działalność hospicyjną na terenie kraju. Takich placówek było wówczas bardzo niewiele. Pojechałam do Krakowa, do Poznania. Poszłam na spotkanie hospicjum katowickiego, gdzie odbywały się kolekcje z ks. Eugeniuszem Dutkiewiczem, który później współtworzył komitet Forum Opieki Hospicyjnej przy Ministrze Zdrowia. Z tych wyjazdów wynikał przede wszystkim jeden wniosek, że ludzie cierpiący na chorobę onkologiczną w stanie terminalnym mogą umierać bez bólu. Byłam zachwycona, kiedy w Poznaniu podczas wizyt domowych drzwi otwierali nam sami chorzy! Zobaczyłam cudowną metodę leczenia, opierającą się na bardzo mocno działających lekach, ale dających cudowne efekty, bez uzależnień. Opioidy, jako grupa leków stosowana na trzecim stopniu drabiny analgetycznej według WHO, wtedy wiązały się z myślą o uzależnieniu. Miałam już wtedy za sobą trudne przeżycia w szpitalu, kiedy na moich rękach ludzie umierali w cierpieniu. Pamiętam pana, który odchodził z krwotokiem na wieloosobowej sali i nie było we mnie, jako w młodym człowieku, zgody na takie warunki umierania. Myślałam, że nie ma innej możliwości pomocy ludziom, że podajemy leki w coraz większych

dawkach, które nie działają, a ból pozostaje. Było to dla mnie nie do zniesienia. Dlatego, kiedy zobaczyłam, że można inaczej – ten dział medycyny totalnie mnie uwiódł. Postanowiłam, że muszę coś z tym zrobić, że musimy mieć miejsce, w którym też będziemy tak leczyć. Mówiąc skrótowo, to się nie udało bez „bólu”. Były wielkie problemy ze strony środowiska lekarskiego, ponieważ byliśmy wtedy postrzegani jako osoby, które w niewiadomy, dziwny sposób stosują leki opioidowe. Z tym też łączy się dużo zabawnych historii, na przykład, że ktoś na mnie doniósł do Urzędu Miasta i musiałam się tłumaczyć u prezydenta! Ale muszę też powiedzieć, że trafiłam na ludzi, którzy chcieli pomagać i akurat w hospicjum znaleźli swoje miejsce na ziemi. Pamiętam pierwsze spotkanie w kościele, na które przyszło dokładnie tyle osób, aby można było założyć i zarejestrować stowarzyszenie. Już na początku 1991 roku staliśmy się statutowym hospicjum zatwierdzonym przez KRS. Nigdy nie byliśmy fundacją. Działalność zaczęła się od szkoleń, spotkań, od edukacji ludzi. Od początku wiedziałam, że pod naszą opieką będą dzieci, bo jako przyszły specjalista z pediatrii uważałam, że nie może być innej i dzieci musimy przyjmować tak samo jak dorosłych. Pierwsze dziecko przyjęliśmy

pod opiekę już w 1993 roku. Przez pierwsze cztery lata byliśmy totalnie zespołem wolontaryjnym. Wkrótce udało się zaadaptować budynek katechetyczny w Mysłowicach, jednak często były sytuacje, że ktoś z wolontariuszy dzwonił, że nie może przyjść i musiałam sama zostawać dzień po dniu bez nikogo do pomocy. To było trudne i doszłam do wniosku, że nie ma co rozdzierać szat i trzeba ludzi zatrudnić. Staliśmy się w ten sposób jednym z pierwszych w tej okolicy Niepublicznych Zakładów Opieki Zdrowotnej. Finansował nas wojewoda i w związku z tym przyjmowaliśmy chorych z całego województwa. Dzisiaj przyjmujemy do hospicjum stacjonarnego chorych z całego kraju, a do opieki domowej przyjmowani są zawsze chorzy z Mysłowic, wschodnich dzielnic Katowic oraz miejscowości powiatu bieruńsko-lędzińskiego. Dziećmi opiekujemy się w promieniu do 100 km.

**Moja znajoma mówiła, że w chorobie boi się tylko jednego, aby ból jej nie „zeszmacił”. Wyczytałem, że w terminalnym etapie choroby nowotworowej strasznie cierpi aż 75% pacjentów. I ze zdziwieniem dowiedziałem się że w 90% tych przypadków można bólowi skutecznie zaradzić? Cierpienie zatem „nie uszlachetnia”, jak miał powiedzieć ks. Tischner? Czy owo zarządzenie stoi właśnie w centrum pracy hospicyjnej?**

Bardzo mocno Pan to powiedział i bardzo właściwie, bo nie ma co uciekać od takich dosadnych określeń. My tego bólu nie nazywamy bólem „zeszmacającym”, aczkolwiek w przeżywaniu go na pewno tak jest, tylko bólem wszechogarniającym. Jest to pewne *novum*, które wprowadziła opieka hospicyjna do medycyny w ogóle. Ból wszechogarniający występuje w czasie umierania, szczególnie jeżeli dotyczy ludzi w stanie terminalnej choroby onkologicznej. On człowieka chorego – umierającego – po prostu redukuje. Rzeczywiście można to obrazowo nazwać „zeszmacaniem”. To ból, którego nie da się udźwignąć. Porównałabym go do bólu, który człowieka „zewziera”, tzn. nie do wytrzymania. To doświadczenie nie do porównania z niczym. Odpowiedzią na taki ból, może być tylko najsilniej działający lek. Oczywiście, że my go stosujemy w odpowiednich proporcjach na tzw. szlaku drabiny analgetycznej, wchodząc po niej, czyli dając coraz silniejsze medykamenty w odpowiednich dawkach. Gdyby mnie Pan obudził i w środku nocy zapytał: „Co jest celem hospicjum?”, to odpowiedziałabym bez wahania, że jest nim bardzo dobra jakość życia, a tą dobrą jakość życia daje – mimo, że może brzmieć to tragicznie w uszach laika – jakość umierania. Nie ma absolutnie zgody na ból wszechogarniający. Opanowanie go jest zatem stałym celem naszego działania. Ów ból „zeszmaca”, jak Pan to określił, we wszystkich możliwych aspektach życia. To potworny ból fizyczny, potworny ból duchowy, potworny ból psychiczny i potworny ból w relacjach. To wszystko razem daje ból wszechogarniający. Chory człowiek bez pomocy hospicjum

nie jest w stanie sobie z nim poradzić. Podkreślam to dlatego, że nie do końca wszyscy mają tego świadomość. Chcąc pomóc cierpiącemu człowiekowi w tych wszystkich obszarach, które wymieniłam, musimy działać zespołowo. Zapobiec bólowi – tego nie jest w stanie zrobić jeden człowiek. Dlatego mam taki spokój w swoim myśleniu narcystycznym, że: „Ja coś zrobiłam”. Nie! Nic nie zrobiłam. Po prostu, obowiązkiem lekarza jest złagodzenie cierpienia. Żeby je złagodzić potrzebny jest zespół. Hospicjum to miejsce, w którym nie ma gwiazdorstwa. To nie jest tak, że przychodzi pan doktor, ordynuje i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko się zmienia. Zabezpieczenie wszystkich potrzeb chorego wymaga: pielęgniarki, opiekuna medycznego, psychologa, lekarza jako koordynatora pracy medycznej (chodzi mi o leki przede wszystkim), wymaga wolontariuszy wszystkich zawodów, rehabilitantów, odpowiednich służb sanitarnych. Zwracamy szczególną uwagę na piękno i estetykę w otoczeniu chorego w opiece stacjonarnej i domowej. Nigdy nie jeździmy do chorych pojedynczo, zawsze jeździ zespół. Oczywiście nie wszystkich wymieniałam, bo jeszcze musi być kapelan, szafarz sakramentów, czy nauczyciel, bo przecież zajmujemy się dziećmi. Wszyscy ci ludzie to wielospecjalistyczny zespół terapeutyczny. To jest bardzo trudny system i bardzo trudna praca. Biorąc pod uwagę, że w opiece domowej mamy kilkadziesiąt osób razem z dziećmi i w ośrodku stacjonarnym leży kilkadziesiąt osób, to zadanie, które nigdy nie jest zrobione do tzw. „końca”.

Wydaje mi się, że przez 30 lat stworzyliśmy dobry system, oparty na wzorcach Cicely Sanders, założycielki pierwszego stacjonarnego Hospicjum św. Krzysztofa w Londynie w 1967 roku. Była ona pielęgniarką, pracownikiem socjalnym, ekonomistą po Oxfordzie i wreszcie w czterdziestym roku życia ukończyła medycynę. To, co Pani Sanders wymyśliła, było takim konglomeratem pomysłów, że my do dzisiaj nie jesteśmy w stanie wszystkiego zrealizować, mimo pracy tak wielu ludzi. Mamy z czego czerpać wzorce i wytrwale iść szlakiem, który ta kobieta wytyczyła. Trzeba codziennie bardzo ciężko i mozolnie pracować, pochylając się nad każdym umierającym.

**Często lekarze pierwszego kontaktu nie redukują dostatecznie bólu twierdząc – a co podamy potem? Czy to dobra droga? Na przykład w przypadku mojej teściowej, żadnego „potem” już nie było. Powiedziałabym inaczej, nie jesteśmy w stanie uzdrowić całego świata i całej służby zdrowia. Takiego człowieka trzeba skierować do hospicjum lub do opieki paliatywnej. Ja te dwa pojęcia rozróżniam dlatego, że hospicjum niesie w sobie filozofię domu, który jest w miejscu przebywania chorych i w rodzinnym domu, do którego dojeżdżamy. Ta zasada jest bardzo wyraźna i ma kilka wyznaczników. Natomiast opieka paliatywna może być sprawowana w zwykłym szpitalu, gdzie obowiązują normy służby zdrowia. Taka jest zasadni-**

cza różnica. Należy więc chorych kierować pod opiekę hospicjum. Stąd potrzeba, żeby było ono w każdym większym mieście. Zalecenie WHO stanowiło, żeby na każde 100 tys. mieszkańców było chociaż 4–5 łóżek paliatywnych i konieczne hospicjum dojeżdżające do domów. Wielokrotnie jeździliśmy na tereny, w których Pan mieszka, teraz jeździmy tam tylko do dzieci. Uważam, że w pobliżu też powinno być hospicjum, gdyż lekarze pierwszego kontaktu nie udźwigną tego problemu. Potrzebni są lekarze ze specjalizacją medycyny paliatywnej. Zarówno pielęgniarka, jak i młody lekarz, którzy pracują w opiece paliatywnej wiedzą „o co chodzi” średnio po dwóch latach praktyki. Więc jednoznacznie przeniosłabym ciężar tego problemu na niwę hospicyjną. Ostatnio sięgnęłam do książki Wiktora Osiatyńskiego, prawnika i publicysty pt. „Ludzkie sprawy”. To zapis radiowych audycji. Rozmawia on z prof. Zbigniewem Szawarskim, który zakładał Komisję Bioetyki przy Ministrze Zdrowia (nie wiem, czy ona jeszcze istnieje) i zadaje mu pytanie: Co jest najważniejsze etycznie? Bez zastanowienia pada odpowiedź: „Zorganizowanie odpowiedniej opieki wokół śmierci”. Śmierć jest przecież, jakby na to nie patrzeć tym, co nas wszystkich zrównuje. Niezależnie od stanowisk, tego czy mamy tytuły naukowe czy nie, wszyscy umrzemy. Nie dostrzeganie tego problemu w aspekcie etycznym, ale też brak organizacji właściwej opieki, wydają mi się niehumanitarne i w dzisiejszym czasie nie powinno mieć już miejsca. Ruch hospicyjny w Polsce powstał w 1981 roku. Minęło tyle lat, że świadomość tego, jak bardzo są potrzebne hospicja domowe, bo stacjonarne są drugim etapem, wydaje się oczywista. Myślę, że fachowo jesteśmy już w tej kwestii przygotowani. Chociaż mogę odpowiadać tylko za siebie, za moje hospicjum, bo prawda jest taka, że nie mamy tak jak w państwowej służbie zdrowia jakiegось rozbudowanego systemu. Państwo finansuje hospicja maksymalnie w 80%, ale bywało też, że tylko w 40%. Utrzymanie takiej placówki zależy więc od tych, którzy tę pomoc niosą. Tak jest zresztą na całym świecie, i nie ma co się okłamywać. To jest też kawał dobrej medycyny, ale niestety nie jest to medycyna tania. Żeby dobrze leczyć potrzebne są środki. To ważny etycznie temat ocierający się o eutanazję, bo jeżeli się nie dofinansowuje tych miejsc, to znaczy, że się ludziom nie pomaga. **Właśnie oto chciałem zapytać. W misji hospicjum bardzo mocno wpisane jest przeciwstawienie eutanazji. Działającemu światu droga „na skróty” wydaje się bliższa niż cierpliwość, empatia i dodanie sterów życia „Komus” in nemo. Widać to chociażby po ostatnim strajku kobiet. Dlaczego tak boimy się choroby, cierpienia i śmierci, że jesteśmy zdolni zabić zarówno nienarodzonego jak i umierającego?**

Nie chciałam tak stawiać tego problemu. Odpowiem prostym zdaniem zaczerpniętym od psycholożki pani Ewy Wojdyłło: „Jeżeli jesteś przeciwko aborcji, to po prostu jej nie

rób”. To jest twoje życiowe zadanie. Ja to widzę jeszcze inaczej. W mojej rodzinie jestem pierwszym pokoleniem powojennym. Dla mnie wojna – to doświadczenie moich rodziców. Szczególnie ojca. W związku z tym wiem, co to znaczy umierać za coś. W ogóle proszę sobie uzmysłowić te czasy powojenne. Jakie układy polityczne w tym kraju się działy. Absolutnie czuję to na własnej skórze. Dla mnie pojęcie eugeniki czy narodu wybranego są z najbliższego repertuaru historii życiowej. Dlaczego o tym mówię, bo dla młodych ludzi w roku 2020, urodzonych już w nowym wieku, czy tuż przed końcem ubiegłego, to pojęcia archaiczne i historyczne. Jestem głęboko przekonana, że w ich przypadku nie chodzi o sam proces aborcji, ale o możliwość dokonania wyboru, poruszania się w sferze własnej wolności. Myślę, że oni o to walczą. Tu nie ma kwestii, żeby kogoś zabić, czy zrobić mu krzywdę, nikt z tych ludzi tak by nie zrobił. Głęboko w to wierzę. Oni walczą o swoje świadome wybory – tak jak potrafią – bez skojarzeń historycznych. Dla mnie sprawa hospicjum jest tak samo ważna, jak dla kogoś, kto wychodzi na ulicę, bo się nie zgadza z tym, że mu się odbiera prawo do decydowania. W jakimś sensie podobnie jest z ruchem hospicyjnym. Myśmy przetrwali już 30 lat i było uwa „million” okazji do likwidacji, bo ktoś uważał, że nie ma dla nas pieniędzy. Robi się „cicho” o eutanazji, bo po prostu nie dofinansowuje się hospicjów. Nie wszyscy mają wolę walki. My widzimy ją w ludzkich opiniach, w ich wdzięczności i nie damy się tak łatwo zniszczyć. Jest trochę tak, jak na wojnie, ale czy tak powinno być w wolnym kraju? Wydaje mi się, że panuje totalna obojętność wobec tego, jak utrzymuje się ruch hospicyjny, z czego kupujemy leki i płacimy bieżące rachunki. Najlepszym tego dowodem jest ostatnia sytuacja pandemiczna. Jesteśmy na granicy wydolności państwowej służby zdrowia, dla nas nie ma ani testów, ani środków do dezynfekcji czy ochrony osobistej. Wszystko od początku pandemii musieliśmy kupować sami. Przybliżył etykę trochę życiu. Ten świat idzie w kierunku eutanatycznym. Oddzielmy to od tamtego procesu u „młodych”. Ja wiem, że to jest ochrona życia od poczucia do śmierci, ale proszę pamiętać o tym, że się robi kroki, w których jest dopuszczalna eutanazja, również z bezradności. Kiedy trwa dyskusja na temat dopuszczalności eutanazji, to najbardziej dziwi mnie to, że ludzie, którzy z chorymi nie pracują, którzy nigdy nie czuwaliby przy umierającym i w ogóle nie podawali mu leków, są za. Kiedy jeszcze nie było pandemii „ta sama” młodzież przychodziła na szkolenia dla wolontariatu, spotkania z personelem hospicjum, na rekolekcje. Kiedy wchodziłi, to na pytanie, kto jest za eutanazją, na „tak” było powiedzmy 60%, ale po jednym dniu spędzonym w hospicjum, kiedy pokazaliśmy im, jak można traktować człowieka cierpiącego, ciężko chorego, że tu nikt nie jęczy, tu nie słychać płaczu, ludzie się uśmiechają, chętnie uczest-

niczą w muzycznych koncertach, zajęciach rękodzieła i ćwiczeniach rehabilitacyjnych, to przed wyjściem z hospicjum, pod koniec spotkania już nikt z młodych nie miał odwagi podnieść ręki. Do ludzi nie mówi się nakazowo. Do ludzi mówi się przykładem, mówi się sercem, pokazuje się w jaki sposób można coś zrobić. Uważam, że młodzi ludzie wszystko to przeżywają i dochodzą do jakiś swoich wniosków. Natomiast, jeżeli sprzedaje się takie kwestie moralne w sposób politycznie skorumpowany, to odwraca się uwagę od rzeczy podstawowych. Można wszystkim dać pieniądze, niezależnie od tego ile mają dzieci. A może trzeba to rozdawnictwo jakoś kontrolować i pomyśleć też o tej drugiej stronie życia, o dofinansowaniu tych, którzy po prostu nie mają za co się leczyć, żeby umrzeć – mówiąc bardzo brzydko i skrótowo. Nie chciałabym podejmować politycznych tematów, lecz śmierć łączy wszystkich. Nauczylismy się tolerancji przez duże „T”. U nas umierają ludzie różnych wyznań. Obsługa jest wyznania rzymskokatolickiego zawsze, dlatego że szanujemy życie w każdej postaci i po prostu je chronimy. Póki co hospicja nie są alternatywą, ale absolutnym sprzeciwem wobec eutanazji. Mówiąc trywialnie – człowiek nie poprosi o śmierć, jeżeli ma koło siebie drugiego człowieka. Jeżeli jest po prostu dobrze leczony do końca z dbałością o wszystkie aspekty jego egzystencji, które się składają na ból wszechogarniający.

**Z hospicjum wiąże się zapewne wiele mitów, obaw, strachu. Proszę powiedzieć co spotyka pacjenta dużego i małego w pierwszych godzinach i dniach pobytu w Cordis? Czy musi pogodzić się z myślą, że opuścił swój dom na zawsze i teraz ma nowy?**

Nawet sposób, w jaki Pan o to pyta, wskazuje na pewien stereotyp w myśleniu o hospicjum. Zaczyna się od tego, że chory trafia pod opiekę w tak zwanym stanie preterminalnym, czyli nie w pełnym terminalnym, kiedy już w zasadzie nie ma mowy o samoobsłudze czy świadomej decyzyjności. Chory powinien sam zdecydować, że chce być pod opieką tego, a nie innego hospicjum. Głównym polem naszej opieki jest dom chorego. Lekarze, pielęgniarki, opiekunowie medyczni, psycholodzy, rehabilitanci, którzy jeżdżą do opieki domowej, wchodzi w interakcje z chorym w jego domu, bo tak naprawdę hospicjum stacjonarne jest zapleczem dla tej formy opieki. Natomiast jeżeli chory lub jego rodzina nie dają sobie z różnych powodów rady i podejmują decyzję o włączeniu hospicjum stacjonarnego, to chory powinien do niego trafić, ale zawsze może wrócić do domu. Bywają chorzy, którzy w okresie pełnym terminalnym, w okresie preagonalnym chcą wrócić do domu. My zawsze ich do niego zawieziemy. Inni chorzy przebywają u nas po siedem, osiem razy i wracają do domu. Nagle się tym ludziom otwierają oczy i mówią: Boże gdybym ja wcześniej wiedział, że to tak wygląda! Przecież my nie działamy jak stacja po-

gotowia ratunkowego. Nie jeździmy do zgonów do domów. Opieka hospicyjna to system, który działa od momentu kiedy chory uzyskuje informacje, że już jest koniec leczenia przyczynowego, zakończona została diagnostyka i przechodzi w fazę leczenia objawowego i my to leczenie proponujemy, planujemy. Rozpoczynamy od dawek leków bardzo bezpiecznych. Rozszerzamy leczenie stopniowo. Stosujemy leki z grupy adiuwantów, które mają charakter wspomagający. Takich leków jest cała masa. Chory w bardzo dobrej jakości życia może długo egzystować. My nie pracujemy w taki sposób, że chory trafia do nas ze szpitala, załęczniony, bo przysłała go rodzina albo szpital, a on nawet nie wie, że jedzie do hospicjum. Podobnie jest z dziećmi. Po wielokroć dzieci bywają tutaj w okresach zaostrzeń albo wtedy, kiedy rodzina nie jest w stanie sobie poradzić, ale ile razy dziecko chce, tyle razy wraca do domu. W opiece domowej pracują ci sami ludzie, bo my pracujemy rotacyjnie, którzy pracują na oddziale stacjonarnym hospicjum. Chory trafia do ludzi, których zna z opieki domowej i nie przeżywa w związku z tym, niepotrzebnego stresu. Po 20 latach w starym przykościelnym budynku, nieprzystosowanym do potrzeb osób umierających, doskonale nauczyliśmy się tego, że chory musi mieć swój pokój z łazienką, w którym może przebywać 24 godziny na dobę z rodziną. W związku z tym zapewniamy bezpłatny posiłek również rodzinie chorego, jeżeli zajdzie taka potrzeba. A jeśli rodzina zechce, to w super wyposażonej świetlicy może przygotować sama posiłek. Z jednej strony choroby potrzebują przestrzeni wspólnej, gdzie są koncerty, posiłki, kawiarnia czy piękny ogród, ale kiedy człowiek umiera, to raczej potrzebuje intymności własnej przestrzeni. Umieranie na sali, gdzie leżą chociaż dwie lub trzy osoby i bywa, że chory przeżywa po dziesięć zgonów nim sam odejdzie, jest po prostu bestialstwem.

**Powiedziała Pani, że otrzymujecie ograniczoną pomoc na swoją działalność, ale z tego co słyszę pełne koszty funkcjonowania muszą być ogromne. Zatem Prezes, jak usłyszałem w jednym z wywiadów, stale uprawia „zebranie”.**

Czas pandemii, co widać po tych akcjach które robimy w Internecie, jest dla nas bardzo trudny. Jednak ufam, bo jestem optymistką, że ludzie doświadczając naszej opieki przez 30 lat, wiedzą na co dają 1% ze swoich podatków. Mogłabym powiedzieć ogólnie, że jest duża grupa ludzi, która nas kocha, bo my ich też kochaliśmy i kochamy do dzisiaj.

**Czyli, jak ktoś raz potknął ten haczyk, to cały czas współpracuje?**

Prawda jest taka, że weryfikacja odbywa się codziennie. Trafia do nas sfrustrowana rodzina i chory, który pozwala sobie na refleksje o końcu swojego życia. Obcowanie ze śmiercią, bycie non stop na granicy życia i śmierci, jest źródłem nieustannego stresu nie tylko dla tej rodziny i dla chore-

go, ale i dla nas. Wracając do Pana pytania – powiedziałam o wsparciu na poziomie około 80%, ale tak naprawdę to jest o wiele mniej. Pamiętam, że bywały czasy, kiedy dostawaliśmy z Narodowego Funduszu Zdrowia, czy jeszcze wtedy z Kasy Chorych po 60% na utrzymanie. Co 5 lat zawierany jest z nami od nowa kontrakt po tzw. negocjacjach. Pod opieką hospicjum jest kilkadziesiąt osób a my nie wiemy, czy dostaniemy kontrakt, czy nie. Dla mnie to właśnie jakieś „poruszenie zła”, że można tak prowadzić politykę zdrowotną, żeby podawać co 5 lat w wątpliwość, czy możemy dalej prowadzić swoją działalność. Powinna istnieć jakaś logika w rozdzielaniu środków finansowych zamiast ciągłego podkładania nogi. Jesteśmy w zebrectwie bardzo wyspecjalizowani, tylko że w czasie pandemii nie da się robić koncertów, jarmarków, licytacji, konferencji, zbiórek publicznych, a my żyjemy tylko z nich, nie chodzimy po domach. Mam świadomość tego, że pandemia odbija się na naszym funkcjonowaniu, ale nie na jakości opieki. Zasada jest jedna, bez względu na to, co się na świecie dzieje osoba, która umiera, musi mieć najlepszą możliwą opiekę. Do każdego chorego podchodzimy indywidualnie. Każdy ma inne leczenie, bo każdy nowotwór rozwija się inaczej. Tego się uczymy w tej opiece i jestem szalenie dumna z naszego zespołu. W tej chwili jest kilkoro bardzo młodych lekarzy, którzy z wielkim zapałem uczą się, jak prowadzić chorych. I to jest wielki kapitał na przyszłość. Wbrew temu co się dzieje na świecie, jestem przekonana, że ruch hospicyjny z jednej strony będzie zawsze obciążony dużymi kłopotami finansowymi, a z drugiej zawsze znajdą się ludzie, którzy przychodzą do hospicjum po to, żeby innym ludziom pomagać, a nie po to, by realizować swoje ambicje. To zawsze działa zwrotnie, bo im więcej dajemy, tym więcej otrzymujemy.

### **Rozmawiając z Pani współpracownikami, zauważyłem, że posługujecie się specyficznym językiem, nazwijmy go empatycznym lub czułym. Byłem zaskoczony, bo w moich kontaktach szpitalnych raczej obowiązywało milczenie. Był ordynator, który nawet „dzień dobry” nie mówił. Robiła to za niego pielęgniarka. Czy wy się tego specjalnie uczycie?**

W Pana pytaniu zawarta jest jednak sugestia, że są jacyś źli i dobrze lekarze.

**Nie! Po prostu są komunikatywni i milczący.** Jeszcze raz podkreślę: nie może być zabezpieczenia bólu wszechogarniającego, jeżeli nie będziemy umieli zająć się nim z tych wszystkich czterech stron, o których wcześniej wspominałam. Szkolenia, które prowadzimy dla posługujących w hospicjum, łącznie z wolontariatem niemedyce, mają bardzo duży element psychologiczny w tym nauce posługiwania się rozmową terapeutyczną. Zaczyna się od zwracania do chorego. Nie używamy słowa „pacjent”. Jeżeli ktoś tak mówi, to znaczy, że jest u nas bardzo krótko. Zasada profesora Prasknera, psycholo-

ga, mówi, że pacjent jest poddany procesowi, a chory to człowiek, który sam decyduje o swoim procesie terapeutycznym. Do podopiecznych zwracamy się: pani Zofio, panie Pawle. Słowo „pacjent” wprowadza od razu element nakazowy, my coś wymyślamy, a „pacjent” ma iść tym trybem. To jest niezbędne w diagnostyce, natomiast nie w fazie terminalnej, kiedy chory stoi przed najważniejszym zwrotnym punktem swojego życia, kiedy dokonuje wyboru, od którego zależy przyszły los. Tutaj ważna jest praca duchowa. Kapelani najwyższej miary. Siostry zakonne. My nie nawracamy, ale z wielką tolerancją podchodzimy do wyborów chorego. Myślę, że świadectwo daje się przez siebie. Gdyby chorzy nie byli obdarzeni miłością, to nigdy nie zwróciliby się w stronę miłości przez wielkie „M”. A tu się dokonują cuda. Dom nazywa się Gościna Serca Świętej Teresy od Dzieciątka Jezus. Jeszcze raz podkreślę, choć mogę być posądzona o to, że jestem nawiedzona (śmiech), że gospodynią tego domu jest św. Teresa. Ona czyni takie cuda, że jeśli ktoś ma wątpliwości, to zapraszam w gościnne progi Hospicjum Cordis już po pandemii. My też przeżywamy okresy wypalenia, musimy regenerować siły. Bardzo wielu pracowników i wolontariuszy posługujących w tym domu ma swoje pasje i przywiązujemy do tego ogromną wagę. Dbamy o urlopy pracowników. Wszyscy mamy rodziny, dzieci. Mam taką myśl, że otworzymy przedszkole dla dzieci pracowników, żeby pociechy były blisko. Na pytanie, co jest główną bolączką, która spędza mi sen z powiek, odpowiedziałabym, że dobór ludzi do pracy, do posługi, tworzenie zespołu, w którym ludzie wiedzą, po co przychodzą do hospicjum. Myślę, że to jest sprawa, której warto poświęcić życie, bo ci, którzy zostaną, mam nadzieję, będą nieśli tą sztafetę miłości dalej...

**A propos cudów, wypalenia i pasji. Po raz pierwszy spotkałem się z Panią na portugalskiej Jakubowej drodze do Santiago de Compostela. Nie wiedziałem wówczas, że autorką przewodnika jest szefowa hospicjum. Czym są dla Pani te pielgrzymki (było ich już kilka)... i jakim cudem znajduje Pani na nie czas? Pasja jest pasją. Myślę sobie, że jeżeli człowiek nie ma pasji, czegoś co daje mu poczucie wyzwolenia, radość i łąduje akumulatory, to jest biedny i w jego życiu jest jakiś problem. Ja wybrałam drogę Świętego Jakuba. To szlak, który przeszłam 9 razy i powinnam przejść raz jeszcze w towarzystwie grupy hospicyjnej. Sam proces drogi jest ikoną opieki hospicyjnej. Drogi i domu. W czasie tej wędrówki idę też do domu, czyli do katedry Świętego Jakuba, a sam proces drogi jest fascynujący. Im jestem starsza, tym droga kosztuje mnie więcej wysiłku i paradoksalnie ten wysiłek sprawia, że łąduje jeszcze bardziej akumulatory. To oczywiście nie jest moja jedyna pasja. Mam takie założenie, że nie powtarzam tych samych dróg i zawsze wynajduję jakąś trasę łączącą różne szlaki. Teraz za-**

mierzamy pójść taką drogą, której nie ma. Wytyczymy ją sami GPS-em.

### **Jakie są plany Hospicjum Cordis? Czym jest przedsięwzięcie „Razem budujemy DOM SERCA”?**

To przedsięwzięcie, które dopełnia miejsce, jakim jest Hospicjum Cordis. Myślę, że dzięki dobrej opiece są chorzy, którzy przeżywają stan terminalny dosyć długo. Musi być takie miejsce gdzie można się tymi osobami zaopecować, bo nie mają często, gdzie wrócić. Są również takie sytuacje w opiece domowej, że rodzinie potrzebne jest wytnięcie i umieszczenie chorego w takim miejscu, żeby móc w tym czasie pojechać na wakacje, na jakąś uroczystość rodzinną, rekolekcje, czy po prostu zregenerować siły, bo opieka nad chorym, nawet przy naszej pomocy, jest niesłychanie wyczerpująca. Na oddziale dla dzieci jest taka możliwość. Do hospicjum dziecięcego zapisują się rodziny z wyprzedzeniem rocznym, żeby ich dziecko mogło być dwa – trzy tygodnie pod naszą opieką, a oni mogli wyjechać na wakacje z resztą rodziny. Dla dorosłych nie ma na to warunków. W związku z tym staramy się stworzyć dom, a właściwie rozbudować część domu tak, aby powstały tam pokoje tzw. wychnieniowe, małe przedszkole dla dzieci pracowników, ale też integrujące dzieci z okolicy i sala wykładowa. Dotychczas wszystkie konferencje, kursy, szkolenia odbywały się w hospicyjnej auli. To są właściwie nasze marzenia. Stajemy do konkursu unijnego, ale myślę, że zdobycie środków w czasie pandemii jest podwójnie trudne. Próbowaliśmy zrobić zbiórki i inne tego typu zrzutki internetowe, ale nic z tego nie wyszło. Cóż, trzeba zacisnąć zęby i próbować dalej.

### **Jaki jest planowany budżet?**

To nie są małe środki. Dom dwupiętrowy z tymi wszystkimi rzeczami będzie kosztował około 10 milionów. To jest dużo i mało. Jest bardzo wiele instytucji na terenie tego województwa, które były o wiele, wiele droższe... Ja wiem, że umieranie można zawsze potraktować obojętnie, ale myślę, że dzięki także tej rozmowie świadomość ludzi będzie większa i ich serca się otworzą. Na razie jesteśmy dobrej myśli.

### **W imieniu czytelników „Śląska” z życzeniami na Nowy Rok z całego serca życzę, żeby się wszystko udało i Dom Serca powstał jak najszybciej.**

Podziękuję słowami św. Teresy od Dzieciątka Jezus, która powiedziała: „Miłość jest wszystkim” oraz, co zostało potwierdzone fragmentem jej życiorysu, „Wybiera wszystko!” My nie mamy wyboru. My po prostu wybieramy wszystko dlatego, że miłość jest wszystkim. Mam nadzieję, że wszystkie te plany uda się zrealizować. Za każde wsparcie, dobrą myśl, modlitwę – dziękuję. Wszystko nam pomaga. My to naprawdę bardzo mocno czujemy, a dobre ludzkie serca pomagają nam trwać przy tym, żeby pracować jak najbardziej wydajnie i z jak największym oddaniem.

## Czarny Las...

JAROSŁAW KAPSA

*Sic transit... mundi* – powtórzyć można wzdychając, widząc ślady po dawnym cmentarzu ewangelickim w Czarnym Lesie, pow. częstochowski. Do niedawna zespół starych kamiennych nagrobków okryty był dachem starodrzewu; dziś drzew nie ma, za betonowym płotem zbuchtowane trawisko-krzewisko. Nad nim krzyż, przypominający o ziemi poświęconej i dwa zadbane nagrobki-ostańce, przetrwałe dzięki bliskim.

Ponad dziesięć lat temu ksiądz pleban z Czarnego Lasu dogadał się z pastorem zboru ewangelików częstochowskich i przejął stary cmentarz. Żywych ewangelików w Czarnym Lesie już nie ma, a żywi miejscowi katolicy potrzebowali pilnie miejsca na pochówek, bo ich „nowy cmentarz” robił się ciasny. Dwa lata temu przejęty stary cmentarz został pozbawiony zadrzewienia, a stare groby się rozleciały przy okazji. Nikt niczego złego zrobić nie chciał, kto jak kto, ale Kościół stoi na straży tradycji i pokoju dla Zmarłych. To tylko bezwzględność Historii sprawiła, że niektórzy zmarli stali się obcymi na swojej ziemi. Leżąc w grobach prowokowali.

Tam, gdzie Niemców nigdy nie było, 220 lat temu rósł las, zwany Czarnym. Od 1795 r. las ten, sąsiednie wsie, a nawet miasta Częstochówka i Częstochowa, podlegały Królowi Pruskiemu, stanowiąc część tzw. Prus Południowych. A to, co nowe wypadało zagospodarować, w tym celu zastosowano sprawdzoną na Śląsku metodę „kolonizacji frydrycjańskiej”. Z zachodnich stron historycznej Rzeszy Niemieckiej, z państw, księstw i kraików na pograniczu z Francją, sprowadzano rodziny rolników, nadając im działki ziemi pod zabudowę i uprawę, pomoc w postaci ziarna i zwierząt gospodarskich oraz zwolnienie od podatków. Ziemię na zachód od Częstochowy rozdzielał Amt (urząd) w Krzepicach. W 1802 r. nadano działki ziemi na obszarze Czarnego Lasu przybyłym z ziem nad Renem 63 rodzinom osadniczym. Dzięki temu i dzięki ich pracy powstała osada Hilsbach, której mieszkańcy – ewangelicy – stali się zaczątkiem dziejów częstochowskiej parafii ewangelicko-augsburskiej. Zabór pruski wycofał się na zachód, tu od 1815 r. było Królestwo Polskie, podległe carowi rosyjskiemu. Hilsbach przetrwał zmianę zaborów, zachował swoją odrębność językową i wyznaniową także w czasach II Rzeczypospolitej; przed ostatnią wojną światową na ponad 600 mieszkańców było przynajmniej 400 ewangelików niemieckojęzycznych.

Można by powiedzieć: ewangelików – Niemców, ale z tym tak prosto nie było. Nazywanie w początkach XIX w. zwykłych chłopów Niemcami lub Polakami jest ahistoryczne; różnice były językowe i wyznaniowe, świadomość przynależności narodowej rodziła się długo, długo później. Migracja jest zjawiskiem naturalnym w świecie gatunku ludzkiego, obdarzonego przez naturę nogami. Migracja niesła rzesze ludzi z obszarów przeludnionych, tam gdzie przestrzeń gospodarcza nie była w stanie wyżywić zamieszkałej populacji, na obszary wymagające zagospodarowania, gdzie brakowało rąk do pracy. Od zawsze ludność autochtoniczna bojąc się zmian, obawiała się migracji, widząc w niej same negatywy. A migracja na swych wozach wiozła także korzystny dla wszystkich postęp techniczny.

Obraz takiej migracji przedstawił Israel J. Singers w opowieści o Łodzi „Bracia Aszkenazy”: *Po piaszczystych drogach, prowadzących z Sakso-*



Cmentarz ewangelicki w Czarnym Lesie

*nii i Śląska do Polski – przez lasy, wsie i miasteczka, zburzone i spalone po wojnach napoleońskich, ciągnęły jeden za drugim wozy pełne mężczyzn, kobiet, dzieci i dobytku. Polscy chłopcy pańszczyźniani zatrzymywali swoje pługi w środku pola i osłaniając dłońmi oczy przed słońcem i kurzem, gapili się rozszerzonymi niebieskimi oczyma na ciągnące wozy i ludzi (...). Dziwne to były wozy i ludzie, którzy przejeżdżali przez polskie drogi. Wozy nie były ani wielkopańskie, ani wiejsko-drabiniaste, od dwóch wąskich i długich drabinach po bokach, ani żydowsko-furmańskie z połatany bokami i wiadrami zwisającymi u podwozia, ani pocztowo-dyżansowe, zaprzężone w czwórkę koni i z trębaczem na koźle (...). Wozy były rozmaite. Jedne szerokie, na ciężkich, wysokich kołach, zaprzężone w parę dorodnych koni. Inne lekkie, skłcone byle jak, ciągnięte przez jedną szkapinę. Inne znowu jakby całe domy, ze ścianami i dachem, takie, w jakich jadą wędrowni komedianci i cyrkowcy; inne wreszcie o krytej płótnem budzie, takie, jakie używają Cyganie. Pomiędzy wozami przewijały się również małe wózki, zaprzężone w dwa duże psy lub ciągnięte przez mężczyznę i kobietę, a popychane z tyłu przez dzieci. Podobni do wozów byli ich właściciele. Na wozach – domach leżeli rozwaleni tłuści i brzuchaci Niemcy, o jasnych brodach, golonych z przodu, a rosnących na szyi, z fajkami w gębach i zegarkami w kieszeniach. Koło nich krzątały się opasłe Niemki, w czepkach na głowach i drewnianych sabotach na czerwonych, wielkianych pończochach, opinających grube lydki. Ich wozy były pełne dobytku, pościeli, odzieży, sztuk sukna, oleodrukowych portretów niemiec-*

*kich królów i zwycięskich bitew, a poza tym zawierały jeszcze konieczne Biblię i po kilka młotewników. Gęsi, kury i kaczki nie przestawały gdać i gęgać w kojach. Króliki i morskie świnki skakały, piszcząc i kwicząc w klatkach wyłożonych sianem. A na zewnątrz przywiązany sznurami do tyłu wozów, kroczyło po kilka krów – ciężkich, wielkich i o pełnych wymionach. Właściciele mniejszych wozów byli tacy chudzi i spracowani jak ich szkapiny, wlokące się po wyboistych drogach z opuszczonymi aż ku ziemi łbami. Jeśli z tyłu postępowała krowa, to była chuda i niedojna. Na wozach siedziały tylko małe dzieci. Rodzice i starsze rodzeństwo szli obok, popychali koła i popędzali konia. Zabiedzeni, zgłodniaли i bosi byli ci najubożsi, którzy sami ciągnęli swoje małe wózki, albo zaprzęgali do nich psy. Prócz dzieci i niepokaźnych zawiniątek wieźli kilka kur i królików. Rzadko który posiadał jeszcze kozę. Kobiety na równi z mężczyznami ciągnęły wózki (.....) – Niech będzie pochwalony! – witali przejeżdżających chłopów i chłopki. – A dokąd to jedziecie, ludzie? – Wędrowcy nie odpowiadali na pozdrowienia, ani nie mówili dokąd jadą. – Guten Tag – burczeli – Grüss Gott! Chłopi nie rozumieli i spluwali ze złości. – Tfu! Poganie! – żegnali się krzyżem – nie rozumieją katolickiej mowy.*

Może trochę inny był obraz wędrowki do Hilsbachu. Singer pisał o drugiej fali migracji, tej z lat 20-tych XIX w., tej z Saksonii, Śląska, Czech i Moraw, która budowała różnorodność Łodzi, Pabianic, Tomaszowa Mazowieckiego, której cechą szczególną było krzewienie w Królestwie Polskim pręmysłu włókienniczego. Hilsbach to jeszcze pierw-

sza fala „kolonizacja fryderycjańska”, osadnictwo rolnicze na odludnych leśnych i bagiennych terenach. Pod Częstochową z tej fali migracji powstały, oprócz Hilsbachu, osady w: Węglowicach (Kohlhausen), Puszczwie (Heilmannswalde) k. Truskolasów, Friedrichshuld k. Krzepic, Zwierzynicy (Thiergarten) k. Kłobucka, Gorzelni k. Częstochowy, Dębowcu (Uferland) k. Poczesnej. Druga fala utworzyła silny ośrodek tkacki w Kamienicy Polskiej i osadę przemysłową Huta Stara; obie miejscowości tworzyli przybysze z ziem czeskich, w Kamienicy czeskość się utrwałała, w Hucie Starej zwyciężyła niemiecka tradycja językowa. Okolice Częstochowy nie wyróżniały się ilością napływowych kolonistów na tle Królestwa Kongresowego; najwięcej kolonistów zasiłło centrum, między Radomskiem, Tomaszowem Mazowieckim, Włocławkiem i Łodzią. Według mapy z 1907 r. w powiecie częstochowskim do potomków osadników należało w gminie Lipie 12,5% areалу ziemi, w gminie Grabówka 1,9%, w gminie Huta Stara 1,2% w mieście Częstochowa 1%. W powiecie radomszczańskim, najwięcej było w gminach: Brzeźnica 4,5%, Radomsk 1,6%, Maluszyn 4,5, Żytno 4,3%, Kobiełe 3,9%, Wielgomłynny 4,9%, Masłowice 2,9, Dmenin 14,1 %, Gosławice 5,5%, Dobroszyce 2,1, Kamieńsk 10,4%; we włoścowskim: Kluczewsko 9,4%, Włoszczowa 3%, Krasocin 6,5%. Pod Radomskiem centrum dla ewangelików stanowiła miejscowość Dziepółć, tam w 1905 r. zbudowano kościół; cmentarze ewangelickie (a raczej ich ślady) zachowały się w Kodrąb – Feliksowie, Florianowie, Kondradowie, Wielgomłynach i Bogusławowie. W powiecie częstochowskim tylko w Hilsbachu było większe skupisko ewangelików. Sąsiedni Puszcze, Węglowice, Gorzelnie zamieszkiwali koloniści – katolicy, korzystający z pięknego drewnianego kościoła w Truskolasach. Mieszkańcy Hilsbachu do 1820 r. korzystali ze zboru ewangelickiego w Wieluniu. W 1822 r. wybudowali w centrum wsi własny Dom Modlitwy; od 1852 r. podlegali opiece utworzonej w Częstochowie parafii ewangelickiej.

Oprócz różnic wyznaniowych występowały także inne. Kolonistów z okolic Radomska, zwłaszcza z liczącej 220 mieszkańców osady Michałopolie nazywano Fryzami, bo ponoć pochodzili z pogranicza belgijskiego. Przed ostatnią wojną majątki ziemskie i leśne sąsiadujące z Michałopollem stały się własnością ewangelickich rodzin; Dąbrowę Zieloną i Olbrachcice zakupił łódzki przemysłowiec Karol Geyer, dwór i majątek w Cielętnikach rodzina Steinhagenów. Dla nich, świadomych niemieckiego pochodzenia, ci z Michałopola byli Fryzami. Do kościoła chodzili michałopolanie do Dziepółci, ale preferowali na żony mieszkanki Konstantynowa z gminy Lelów; bo ponoć też od Fryzów pochodzili.

Podobnie było pod Częstochową. Ci z Węglowic i Puszczewa żyli z lasu; upowszechniali tam wypalanie węgla drzewnego, pracowali przy ścinie, karczowali leśne ostępy pod pastwiska. W Hilsbach gospodarzył rolnikiem. W Węglowicach domy osadników były drewniane, z wielkim murowanym piecem „chlebowym”, ze ścianami z „pruskiego muru”. W Hilsbach preferowano domy murowane: z wapiennego kamienia, wzmocnionego wypalaną na miejscu ceglą. Więż z parafią częstochowską powodowała, że mieszkańców przyciągało miasto: tam szukali pracy



Cmentarz ewangelicki w Czarnym Lesie

w przemyśle, tam chodzili do szkół, tam ze swymi warzywami jeździli na targi.

Pisał o kolonistach niemieckich „Goniec Częstochowski” w 1913 r. (nr 153 z 7.06.19134): *Niemieckie wsie różnią się od polskich wsi jedynie swymi drzewami owocowymi. W polskich wsiach brak drzew owocowych. Kiedy we wsi niemieckiej nowy kolonista buduje swoją zagrodę sadzi zarazem kilka drzew owocowych (...). Z wielką dbałością kolonista niemiecki zajmuje się uprawą ogrodu warzywnego, nie wiele dba o ogród kwiatowy (...). Dumą kolonisty niemieckiego jest bydło, które pomaga do uprawy roli i podnosi jego dochody (...). Ów, wydawałoby się, staropolski obraz drewnianej chaty otoczonej jabłoniąmi i gruszami, był jeszcze wtedy wyróżnikiem „niemieckości”. Znikały tego typu odrębności. Wszędzie we wsiach stały podobne zespoły gospodarstw, gdzie z domem mieszkalnym łączyła się komórka, obórka, chlewik, stajenka, stodoła; gdzie pole „ojcowizny” miało szerokość zabudowy (ok. 25 m) za to ciągnęło się od wsi zagonem 150–200 metrowym. Podobne też we wszystkich wsiach, przed domem kwitły malwy, a z tyłu zabudowań uprawiano ziemniaki, marchew i inne warzywa.*

Różnica była w mowie i wyznaniu. Do 1918 r. władza pilnowała, by w szkole elementarnej, wybudowanej sumptem mieszkańców, uczono tylko w języku rosyjskim i niemieckim. Życie robiło swoje, Hilsbach coraz bardziej stawał się Czarnym Lasem, mieszkańcy nie żyli na odludnej wyspie, znali dobrze język polski, żenili się z Polkami, osiedlały się tu polskie rodziny. Gdy po zaborach powstała Polska, miejscowi przyjęli to jako rzecz oczywistą, w szkole wprowadzono nauczanie języka polskiego, sołtys obwieszczenia urzędowe publikował po polsku (i dla zrozumienia przez starszych także po niemiecku). Nikt im, tak jak i całej częstochowskiej parafii ewangelickiej nie mógł zarzucić braku patriotyzmu; jeśli pod tym określeniem rozumiemy lojalność wobec własnego państwa. Czasy, niestety, były takie, że ten rodzaj patriotyzmu nie wystarczał. Eksperci przy władzy lepiej wie-

dzieli, kto swój, kto obcy; przydzielali ludzi do narodów, dla narodów wykreślili przestrzeń życiową i w imię swej ekspertyzy rozpoczęli wojnę światową. Przez to potomkowie założycieli Hilsbachu dowiedzieli się, że są Niemcami, prawie takimi jak Berlińczycy, Monachijczycy czy Breslauerzy; kazano im to potwierdzić wpisem na volksliście, w zamian przyznając wyższe przydziały kartkowe, jak na „naród panów” przystało. Cena za ten wyższy przydział była wymierna; dzieci „narodu panów” brano do wojska i wysyłano by ginęły pod Stalingradem lub Tobrukiem.

Wojna wprowadziła selekcję. Blisko 200 mieszkańców wsi, uznanych za Polaków, wyrzucono z domów i zesłano „na roboty”. Hilsbach miał być w 100 % niemiecki. Wieś leżała w Generalnej Guberni, otoczona polskimi wsiami i żydowskimi miasteczkami, pomysł selekcji rozrywał naturalne więzi, przecinał linie pokrewieństw, powinowactw, naturalnie budujących wspólnotę lokalną. Wojna budziła zwierzęcość; do Czarnego Lasu chodzili „leśni” na rekwiwizycję, by okraść Niemca, w odwecie żandarmeria niemiecka podpalała domy i zabijała ludzi w sąsiednich polskich wsiach. Im więcej krzywd, tym większa nienawiść. Więż jak przyszli Sowieci i władza niemiecka pierzchała, to kazano „Niemcom” z Czarnego Lasu się wynosić... I tak mieli szczęście, bo w Michałopolu Fryzów rozstrzelano...

Tak się skończyła historia Hilsbachu pod Częstochową, zaczęły się dzieje Czarnego Lasu, ogrodniczo-rolniczej wsi, polskiej i katolickiej, cenionej w ostatnich latach jako dobre miejsce suburbii dla „rozlewającej się” Częstochowy. Zabudowa rozciągnęła się na kilometr, od Woli Hankowskiej, po salezjański Kopiec, domy się nowocześnie upodobniły, o związkach z Niemcami świadczą tylko, tak jak wszędzie, samochody ople i volkswageny oraz wzorowane na „zachodzie” ogródki z iglakami, krasnalami i gumowym basenem dla dzieci.

Był jeszcze opatulony starodrzewem stary cmentarz na uboczu. Ale go nie ma. Czarny Las został ostatecznie spolszczony.

W roku 1930 nakładem Biblioteki Medycznej ukazała się teka dziesięciu kolorowanych akwarelą linorytów, nawiązujących do ludowych drzeworytów i malarstwa na szkle. Teka opatrzona tytułem „Bogarodzica” jest autorstwa Anieli z Wolskich Pawlikowskiej, synowej Jana Gwalberta Pawlikowskiego z Medyki, gospodarza „Willi pod Jedłami” w Zakopanem i siostry poetki emigracyjnej doświadczonej łagrem sowieckim, Beaty Obertyńskiej. Do historii przeszedł narzeczeński związek jej babki, Wandy Monné i Artura Grottgera, tragicznie przerwany przedwczesną śmiercią artysty. Malarka sygnująca swoje prace monogramem rozpoznawana jest w swoich pracach jako Lela Pawlikowska. Cykl „Bogurodzicy” wydany w oficynie Anieli i Michała Pawlikowskich należy do ważnego w twórczości artystki nurtu religijnego. Tematyka religijna, zwłaszcza maryjna, mocno wpisuje się w jej artystyczny dorobek utrzymany w stylistyce Art Déco. „Te obrazy (cykl „Bogurodzicy”) są treści religijnej – pisała – ale mnie chodziło o to, żeby tę treść podać po polsku, nie czerpiąc z żadnego wzoru ani stylu, chyba że ze źródeł ludowych (...). Chodziło o pokazanie świąt maryjnych poprzez polski kalendarz, tradycję i także o to, by działać najprostszymi środkami malarskimi, czyli linią, a jednocześnie dać najwięcej wyrazu”. W mojej kolekcji znajduje się jeden z owych dziesięciu linorytów zakupiony na „starociach”, odratowany w pracowni konserwacji papieru Biblioteki Śląskiej. Przedstawia Matkę Boską Bolesną. Temat bliski liryce „Międzywojnia” dzięki jakże polskiej w swoim wyrazie kantacie „Stabat Mater” Karola Szymanowskiego. Jej wykonanie miało miejsce w roku 1929, czyli na rok przed ukazaniem się teki graficznej Leli Pawlikowskiej.

W kwietniu 1942 roku dzięki staraniom Michała, męża Pawlikowskiej który w tym czasie przebywał w Rzymie, artystka wyjechała z dziećmi do Włoch. Zarabiając na utrzymanie rodziny malowała tu portrety włoskich arystokratów i dyplomatów. Podobnie w Londynie, gdzie stała się jedną z najbardziej popularnych portrecistek Wielkiej Brytanii. Do jej modeli należała Diana Spencer, późniejsza żona księcia Karola. Wykonała ponad osiemset portretów europejskiej arystokracji po części prezentowanych na wystawie autorskiej w Parsons Gallery w centrum Londynu. Po wojnie powstało kilka ważnych prac religijnych Leli Pawlikowskiej, głównie na zlecenie katolickich parafii polonijnych. Przedwojenna twórczość malarki była mocno związana z narodowo-chrześcijańskim etosem kultury polskich ziemian o czym polska publicystka do roku 1989 uporczywie milczała. Artystka pozostała na emigracji do końca swego życia (zmarła w Londynie w 1980 roku), po „odwilży” co roku odwiedzając z mężem Polskę. W willi pod Jedłami w Zakopanem, w której złożyli całe archiwum medyczne, co roku przez kilka miesięcy porządkowali rodzinne archiwum. Do Medyki, z któ-



Aniela (Lela) Pawlikowska, *Królowa Korony Polskiej*, linoryt

## Stojąc u praźródła

Ks. HENRYK PYKA

rą wiązały ich wczesne lata rozkwitłej tam miłości małżeńskiej, nie mieli odwagi pojechać, choć po roku 1948 ich majątek znalazł się w polskich granicach. W dworze Pawlikowskich za sowieckich czasów urządzono oborę, a w latach sześćdziesiątych dwór ten całkowicie rozebrano. Takich miejsc w Polsce było wiele. Mimo burz dziejowych przechowywały pamięć minionych pokoleń, były zakątkiem trwałych wartości.

Polskie ziemiaństwo wypędzone z dworów wyniosło z nich głębokie przywiązanie do tradycji narodowej i religijnej. Polski dwór był ostoją tradycji świadomie pielęgnowanej. Dwory spłonęły. Ocalone zostało jednak przywiązanie do wartości, które znalazły swój wyraz w twórczości ich mieszkańców.

W doświadczenia polskich ziemian ocalałych z „pożogi” wpisuje się życie i twórczość Zofii Kossak. Na emigracji w Kornwalii, gdzie Zofia Kossak z mężem Zygmuntem Szatkowskim podjęli zarobkową pracę na farmie Troswell Cottag, powstał w roku 1954 Rok Polski. Książka ta, jak pisze jej autorka w słowie wstępnym, „jest wyrazem pamięci

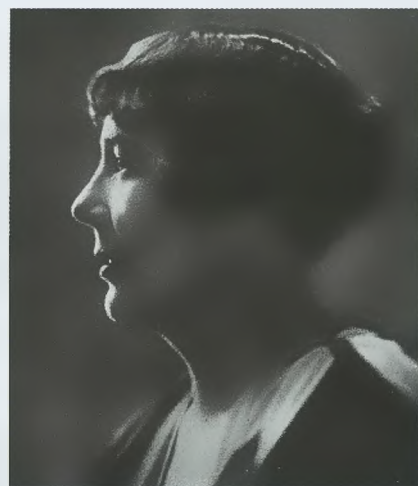
i uczuć człowieka oddalonego od swojego kraju”. Ukryta jest w tych słowach skarga pisarki, której przeszkodzono swoją twórczością służyć Bogu, Ojczyźnie i Narodowi. Oszczerco pomówiona opuściła ojczyznę nie z własnej woli. Choć Aniela Pawlikowska i Zofia Kossak służyły innym muzom, w tym miejscu ich doświadczenia są sobie bliskie. Pawlikowską pognali przez Europę niemiecka okupacja. Zofię Kossak, choć w kraju podczas okupacji pozostała niosąc pomoc żydom i powstańcom warszawskim, ojczyznę pozbawiła ją sowiecka dyktatura.

Wyjechała w sierpniu 1945 roku niby legalnie jako przedstawicielka PCK. Wyjechała w czasie, gdy nikt z kraju na Zachód wyjechać nie mógł. Z przesiadką w Sztokholmie, nie mając żadnego zabezpieczenia finansowego. Gdy tam się znalazła, zauważyła, że „Dziennik Polski” i „Dziennik Żołnierza” zamieścił notę informacyjną, w której dziennikarz informował o przybyciu pisarki i jej działalności konspiracyjnej, a na zakończenie stwierdzał: „Zofia Kossak-Szczucka, jak się dowiadujemy:

pracowała ostatnio w Warszawie jako osobista sekretarka Bieruta”. Oczywiście, było to z premedytacją zaplanowane kłamstwo, które sprawiło, że środowisko emigracyjne przyjęło ją nieufnie, a cały pobyt w Londynie miał gorzki smak. Dlatego skoro tylko było to możliwe wróciła do Polski. Pisząc w Kornwali Rok Polski jego autorka daleka jest od drętwej narracji zdystansowanego etnografa opisującego zwyczaje i tradycję. Zofia Kossak jest wpisana w tę tradycję i sobą ją wyraża. W styczniu, kiedy chodzą po domach Herody i grywane są po parafiach jasełka rozbudzające emocje na widowni, Zofia Kossak siedzi pośród uczestników świątecznego spektaklu. Ludzi bawią przedstawiane udręki Heroda i jego świty. Bawi się i pisarka. Czytając jej narrację czujemy, że żyjąc na obcej ziemi wydobywa to wszystko, co opisuje z siebie samej. Mimo wielu bolesnych życiowych doświadczeń miała ogromne poczucie humoru, wspominał Zygmunt Szatkowski, kiedy po śmierci jego żony rozmawiałem z nim w Górkach Wielkich.

Szukam prąźródła, jakiegoś wielkiego początku, z którego w miarę upływu czasu wyłonił się polski zwyczaj i obyczaj roku pol-

skiego, kształtujący klimat polskiego dworu, wypełniający twórczość Pawlikowskiej, Kossak, ale i wielu polskich artystów wizualnych, muzycznych czy literackich. Dla tego bogatego w zjawiska kultury polskiego fenomenu nie znajduję jednak innego oparcia, jak tylko w chrzcielnicy materializującej nasze zanurzenie w Chrystusa. Pielgrzymujący do niej twórcy kultury chrześcijańskiej muszą za psalmistą powtórzyć: „Wszystkie moje źródła są w Tobie” (Ps. 87). W zwyczaj polski wpisane jest święto Jordanu. Zofii Kossak, ukształtowanej w młodości na Wołyniu, znany był z autopsji cerkiewny obyczaj kąpeli wioskowych śmiałków w wyrąbanej przerebli; w wodzie dopiero co poświęconej przez ortodoksa. Opisując przebieg zdarzeń z równym zawstydzeniem spogląda ona wraz z wioskowymi dziewczkami na nagość junaków. Stoi za plecami tych dziewczek. Istoty obrzędu jednak nie dotyka. Bo to nie sportowy wyczyn opisywany przez etnografa jest tu istotą, lecz zanurzenie w Chrystusa i fascynacja Jego Ewangelią. Cała polska i europejska tradycja, jaką dotychczas znamy i w której kształtowaliśmy się, niejako została skąpana w tej przerebli. Europie została dana szansa. Zanu-



Zofia Kossak-Szczucka, ok. 1933 r.

rzona w Chrystusa wydała owoce w postaci cywilizacji chrześcijańskiej, niestety nie zawsze zafascynowanej pięknem Ewangelii. Częściej zorientowanej tylko na wyczyn sportowy, polityczny, militarny, gospodarczy. Ostatnio epatującej skandalami i wynaturzeniami.

W Parku Kościuszki, w kruchcie kościoła świętego Michała w Katowicach znajduje się kamienna misa. Datowana na czternasty wiek służy jako kropielnica. Choć mniejsza rozmiarem przypomina mi swoją toporną formą misy chrzcielne, które niegdyś widziałem w zespole archeologicznym Katedry Poznańskiej i na Ostrowie Lednickim. Wraz z ówczesną Konserwator Miasta Katowice przywiozłem tę misę-kropielnicę do kościoła świętego Michała z miejsca, w którym znajdowały się jedne z najstarszych kościołów na Górnym Śląsku. Być może był to Jedłownik, może Połomia. Odległe czasy, może rok 1991. Po drewnianych kościołach w tych parafiach pozostał tylko lamus. Życzliwy proboszcz pozwolił nam zabrać z tego lamusa do muzeum relikty odległej przeszłości. Kościół miał nowy. A to, co pozostawiła odległa tradycja, nie pasowało do współczesnego wnętrza.

Wypalono dwory jako ostoję Tradycji. Czy zatem tylko muzeum ma być skałą ocalenia dla doświadczeń pokoleń? Kropielnica z Jedłownika znalazła swoje miejsce w przestrzeni kościoła zabytkowego, niemniej chętnie uczęszczanej przez mieszkańców Katowic, którzy tu próbują się odnaleźć we własnej teraźniejszości.

Na historię społeczeństw, także Kościoła, nakładają się tradycja i współczesność. Współczesna Europa dryfuje dzisiaj między Scyllą a Charybdą; akceptacją dla historycznych doświadczeń, w których odnajdzie własną tożsamość lub ich odrzuceniem. Umiejętnym włączaniem tradycji w budowanie własnej przyszłości lub wędrówką po pełnym pułapek nieznanym lądzie.

Dobry władca wydobywa ze swego skarbcza rzeczy stare i nowe. Z miłości do świątynnych murów Jerozolimy zawołał Chrystus do jemu współczesnych „jeśli oni zamilkną (spoglądał na otaczający go tłum i swoich uczniów)... kamienie wołać będą?”

fol. Jacek Daczyński



XIV-wieczna kropielnica, kościół św. Michała w Katowicach

fol. arch.

**prognoza pogody**

odśnieżamy przejścia, jesteśmy w innym stanie skupienia  
 kufrы pęcznieją od ciepłych ubrań,  
 a one szykują się do lotu, będą zwiastować zieleń

ciemne krzyżyki – nad nami rozpostarte skrzydła jaskółek.

jasność – otwiera się przestrzeń. skute lodem rzeki wolno  
 odkrywają małe prawdy wszechświata. pękają kry  
 jak łamany opłatek

mały chłopiec spogląda przez okienko na strychu,  
 zatacza kręgi ołówkiem na kartce:  
 – *co narysowałeś, synu?*  
 – *będzie nam ciepłej, mamo. ona lata i lata, w kółko*

**przedzieranie**

jak wygląda teraz świat? falista faktura. kawałeczki bibuły  
 i skrawki innych materiałów zdobią przestrzeń obrazu.  
 czy jest pośród nich miejsce dla Ciebie?

lecisz, białe skrzydła origami przecinają chmurę.  
 światłocien przemyka przez włosy. możesz śpiewać  
 i nie czujesz ostrza na gardle

nie ma znaczenia, co jest za i przed tobą,  
 odnajdujesz się w lesie, pośród drzew, wiesz, że za chwilę  
 przebiegniesz z sarnami

**wykrot**

to tylko naderwanie

w budowie korzeni jest wiele stref  
 łączących się w całość  
 to się skleja  
 jak skrzydła rannych ptaków  
 twarz widzianą po zamknięciu oczu  
 język topoli usłyszą wilgi  
 czule głaszczące  
 ich ramiona  
 a na dłoniach zakwitną pąki  
 młode liście

po wszystkim dwie zaparzone  
 kawy  
 w locie jakaś piosenka  
 o miłości  
 – nie wyrwiesz jej drzewu

**na chwilę**

jestem tu tylko na chwilę  
 jesteś tu tylko na chwilę

gdzieś tam jest lepiej  
 gdzieś tam nie będziesz się bać  
 strzyg mieszkających w szafie  
 niedoskonałości wiecznej  
 piramida potrzeb człowieka  
 Masłowa zostanie zastąpiona  
 bryzą  
 będziesz trwał nad brzegiem morza  
 na nieustających wakacjach  
 dla odmiany wejdiesz w stały ląd  
 by nasycić się widokiem rajskich ptaków



rys. Bogna Skwirra



rys. Bogna Skwara

### stajesz się bliska

mieszkam w twoim sercu  
podobnym do leśnego runa

jesteś zapachem ziemi tropami  
dzikich zwierząt spełnieniem  
w trwaniu

życiem niewikłanym  
w nadmiar słów  
jestem w twoim sercu  
bezpieczny

i dzień i noc wędrujemy razem

cicha i subtelna przyjaciółko  
twoje oczy jak wszystkie  
gwiazdy są wciąż odnajdywaniem

### po wędrowce

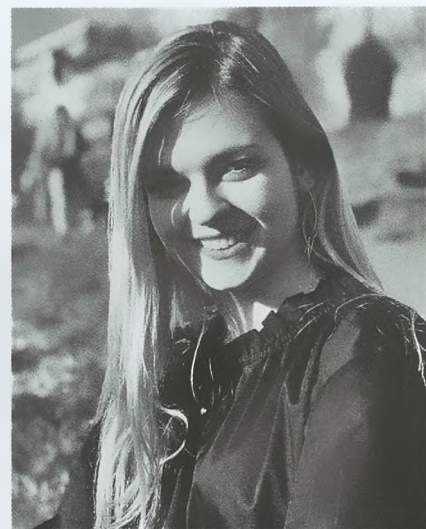
*Danucie Wawilow*

Pani „Wędrowka” była także moja  
odkąd pamiętam zabierałam  
ze sobą smutne dzieci i koty  
robiłam pogrzeb martwym ptakom  
grzebałam je pod balkonem  
by podlewać ziemię  
obok rosły kwiaty  
zawsze odnajdywały mnie  
zmęczone twarze aniołów stróżów  
nienadążających za uciekinierem  
zapomniane zabawki z oczami  
z guzików chciały przyszyć  
naderwane korzenie  
plastra z czułości (...)  
i tak idziemy polami lasami  
ludzie zwierzęta rośliny i te anioły  
z ptakami

z nadzieją na wyleczenie opuchnięć  
i blizn ciepłą ziemią  
i niebem między nami

# Wiedeńska wspinaczka ku karierze

Sopranistka **KORNELIA SZCZYPKA** w rozmowie ze **ZBIGNIEWEM LUBOWSKIM**



fol. Jinxin Chen

Ma zaledwie 22 lata, a osiągnęła już sporo w swoim życiu. Pochodzi z niewielkiej miejscowości Ligota w powiecie bielskim; studiuje z powodzeniem na renomowanej uczelni austriackiej. Jest obdarzona rzadkimi uzdolnieniami wokalnymi. Z dużym wdziękiem scenicznym występowała w przeszłości w spektaklach Czechowickiego Teatru Muzycznego MOVIMENTO, zrzeszającego utalentowaną pod względem artystycznym młodzież ze Śląska Cieszyńskiego. W pamięci widzów zachowała się zwłaszcza jej sugestywna rola głównej bohaterki musicalu „West Side Story” Leonarda Bernsteina. Obecnie Kornelia mieszka w Jastrzębiu-Zdroju, skąd kolejowa podróż do Wiednia trwa trzy godziny. Tyle, co do oddalonej podobnie Warszawy.

**Jak Austriacy wymawiają twoje nazwisko?** – zapytaliśmy Kornelię Szczypkę.

Z ogromnymi trudnościami. Najczęściej brzmi to w ich wersji: „frau Sipka”. Nie zdarzyło się jeszcze, by rodowity Austriak zdołał poprawnie wymówić moje nazwisko. Dla nich są to prawdziwe łamańce językowe. Mój profesor z wiedeńskiej uczelni żartuje sobie nawet, że powinnam szybko wyjść za mąż za Austriaka lub przyjąć pseudonim artystyczny.

**Kto jest twoim profesorem?**

Prof. Sebastian Vittucci z Uniwersytetu Muzyki i Sztuk Scenicznych w Wiedniu. To ceniona uczelnia artystyczna, która istnieje od ponad dwóch stuleci (Universität für Musik und Darstellende Kunst). Niejednokrotnie bywa też nazywana Konserwatorium Wiedeńskim. Prowadzi 115 różnych kierunków studiów muzycznych i artystycznych oraz 41 kursów uniwersyteckich w 25 instytutach. Jestem studentką drugiego roku tej uczelni.

**Mieszkaś teraz doraźnie w Wiedniu?**

Wynajmuję pokój na stacji. Muszę wyjaśnić, że moje edukacyjne powiązania z Wiedniem datują się jednak od trzech lat. Pierwszy (a właściwie „zerowy”) rok studiów – to była w moim wypadku intensywne nauka języka, śpiewu, zajęcia aktorskie oraz zajęcia sportowe. Wcześniej uczyłam się niemieckiego w gimnazjum oraz w ogólniakach (uczęszczałam do czterech różnych liceów ogólnokształcących z powodu przeprowadzek spowodowanych zmianami miejsc zamieszkania).

**Czy jesteś może jedyną Polką w gronie studentów wiedeńskiej uczelni?**

Nie. Jesteśmy we troje z Polski na moim Wydziale Wokalnym. Słuchacze to ludzie z całego świata. Nie ma dominującej narodowości, a wręcz można by powiedzieć, że każdy pochodzi z innego zakątka. Nie mam kłopotów z porozumiewaniem się z nimi, bo znam dobrze nie tylko język niemiecki, ale i angielski. Rozumiem również po włosku, chociaż nie mówię jeszcze biegle w tym języku. Obecność międzynarodowego towarzystwa w murach uczelni nikogo nie dziwi, bo uniwersytet od lat cieszy się zasłużoną renomą w całej Europie, a od ubiegłego roku jest uznawany wraz z amerykańską placówką edukacyjną Juilliard School z Nowego Jorku za najlepszą uczelnię muzyczną na świecie. Wiedeńscy profesorowie pochodzą – podobnie jak studenci – z różnych krajów. Mają wieloletnie doświadczenia w kształceniu młodych śpiewaków. Grono nauczycieli akademickich i innych pracowników uczelni liczy – jak się zorientowałam – aż 1260 osób.

**W jaki sposób znalazłaś się w Wiedniu?**

Zdałam po prostu uniwersyteckie egzaminy wstępne, które były jednak naprawdę trudne. Dla Austriaków liczy się przede wszystkim talent, a nie formalne dyplomy ukończenia średnich szkół muzycznych. Rekrutacja przebiega tam według ostrych kryteriów kwalifikacyjnych. Bardzo przydała mi się wiedza i umiejętności wokalne, zdobyte podczas czteroletniej nauki w Diecezjalnej Szkole Organistowskiej – Szkole Muzycznej II stopnia w Bielsku-Białej. Ukończyłam ją w 2017 roku.

**Była to w tamtym okresie, jeśli się nie mylę, jedna z sześciu takich kościelnych instytucji oświatowych w całym kraju.**

Kształciłam się w klasie wokalne u Barbary Bielaczyc. Zachowałam szczególnie ciepłe wspomnienia z tamtego okresu. To była niezwykle wartościowa i pożyteczna placówka edukacyjna, funkcjonująca przez wiele lat w siedzibie kurii diecezji bielsko-żywieckiej. Prowadziła jednak działalność nie tylko dla potrzeb kościelnych. Miała charakter szkoły otwartej, dostępnej m.in. dla katolików, ale także dla innych osób. Wiem, że należała do grona państwowych placówek oświatowych, nadzorowanych pod względem pedago-

gicznym przez ministra kultury. Było mi potem bardzo smutno, gdy się dowiedziałam, że szkoła uległa nieoczekiwanej likwidacji.

**Czy dostałaś się na wiedeński uniwersytet za pierwszym podejściem?**

Najpierw próbowałam swoich sił w dwóch innych uczelniach austriackich – Uniwersytecie Muzyki i Sztuki (MUK) w Wiedniu oraz Uniwersytecie Muzycznym Mozarteum w Salzburgu. Obydwie próby zakończyły się jednak niepowodzeniem. Dopiero trzecie podejście przyniosło mi sukces. Nie żałuję, że tak się stało, bo w efekcie trafiłam do najlepszej pod względem poziomu nauczania uczelni muzycznej w Austrii.

**Jaki charakter mają zajęcia akademickie na austriackim uniwersytecie?**

Zajęcia są bardzo zróżnicowane pod każdym względem. Jedne odbywają się w grupach, inne indywidualnie, a można też podzielić je na zajęcia teoretyczne i praktyczne, a nawet sportowe. Każde z nich są dla mnie ważne, gdyż pomagają w rozwoju pod różnymi względami. Fascynujące są dla mnie zwłaszcza zajęcia ze śpiewu. Prof. Sebastian Vittucci odsłania przed nami tajniki wiedeńskiej techniki wokalne. Ma niezwykle podejście do głosu jako szczególnego instrumentu. Myślę, że o takim profesorze każdy może tylko pomarzyć. Każdego studenta traktuje indywidualnie i dopasowuje program nauczania do możliwości jego głosu, by osiągnąć najlepsze efekty. Ważne jest także to, że motywuje nas psychicznie i wspiera na każdym kroku naszego rozwoju.

**Zajęcia akademickie w obecnych warunkach pandemii są prowadzone w trybie on-line?**

Wszystkie zajęcia mają teraz taki charakter, nie wyłączając nawet tańca i sportu. Śpiew i zajęcia z akompaniamentu są chyba najtrudniejsze do prowadzenia w takiej formie, gdyż komputery i mikrofony wykorzystywane w tym celu nie

mają odpowiedniego pasma przenoszenia dźwięku. W takich warunkach trudno jest niekiedy studentom zsynchronizować się z pianistą.

### **Kto jest twoim ulubionym kompozytorem muzyki klasycznej?**

Trudno mi wybrać kompozytora, gdyż każdy z klasycznych twórców wniósł coś nowego do muzyki i rozwoju opery. Myślę jednak, że moim ulubionym dziełem muzycznym jest „Tosca”, którą skomponował Giacomo Puccini. Jest to może dość oczywisty wybór i niezbyt wyszukany, ale pamiętam doskonale, że była to pierwsza opera, którą obejrzałam w Miejskim Domu Kultury w Czechowicach-Dziedzicach, dzięki satelitarnej transmisji telewizyjnej z Metropolitan Opera w Nowym Jorku. To wtedy doznałam pierwszego wzruszenia artystycznego i zaczęłam marzyć o zaśpiewaniu tytułowej partii wokalne w tej operze.

### **Opera czy operetka? Która z tych form muzycznej sztuki scenicznej jest Ci bliższa?**

Zdecydowanie opera jest mi bliższa. Operetki są piękne, ale zawierają tekst mówiony, co nie jest moją mocną stroną. Wolę śpiewać arie operowe, aczkolwiek zdarzyło mi się występować także w operetkach.

### **A czy lubisz tańczyć i bawić się przy dźwiękach muzyki rozrywkowej?**

Uwielbiam tańczyć. W wolnych chwilach korzystam chętnie z takiej formy rozrywki. W Wiedniu uczeszczałam nawet na kurs salsy. Taniec sprawia mi wielką przyjemność i pozwala odciąć się od rzeczywistości.

### **Ciekaw jestem, czy miłośniczka klasycznych oper ma ulubionych wykonawców popularnej muzyki rozrywkowej...**

Lubię czasami posłuchać piosenek Whitney Houston, Mariah Carey, Freddiego Mercury'ego czy Eda Sheerana. Podobają mi się też niektóre utwory z repertuaru Maroon 5, amerykańskiej grupy, której twórczość oscyluje na pograniczu rocka i pop-music.

### **Wróćmy do muzyki klasycznej. Ile lat trwają studia w wiedeńskiej uczelni?**

4 lub 6 lat. Po ukończeniu czteroletnich studiów licencjackich można się dalej kształcić na studiach magisterskich. Zamierzam skorzystać z drugiej z tych możliwości. Chcę uzyskać gruntowne wykształcenie muzyczne w Austrii.

### **Czy uniwersytecki program nauczania jest dla Ciebie atrakcyjny?**

Uczelnia ma bardzo bogatą ofertę zajęć i to nie tylko tych obowiązkowych. Każdy ze studentów może – poza podstawowym programem – wybrać sobie zajęcia dodatkowe, przystosowane do własnych potrzeb i zainteresowań. W tzw. „siatce godzin” znajdują się takie m.in. zajęcia, jak taniec, Atem und Körperschulung (odpowiednik polskiego sportu połączanego z pracą nad mową ciała i oddechem), aktorstwo, harmonia, solfeż, hi-

storia muzyki, dykcja, akompaniament, higiena głosu i wiele innych.

### **W Wiedniu zapewne niemiecki jest obowiązującym językiem zajęć akademickich.**

Język niemiecki jest językiem wykładowym, ale nie na wszystkich zajęciach. Część profesorów pochodzi z krajów anglojęzycznych i używa tego języka jako wykładowego. Pomocne jest z pewnością to, iż prawie każdy ze studentów posługuje się płynnie językiem angielskim. Na początku swojej uniwersyteckiej przygody z nauką niemieckiego mogłam właśnie wspomóc się znajomością angielskiego.

### **Uniwersyteckie studia w dwumilionowej prawie metropolii europejskiej wymagają podróżowania po rozległym mieście.**

Uczelnia posiada wiele budynków w różnych częściach Wiednia. Wydział wokalny, reżyserski i aktorski znajdują się przy sławnym pałacu cesarskim Schönbrunn w dzielnicy Penzing. Główny gmach uniwersytecki jest usytuowany na Anton von Webern Platz. Uczelnia dysponuje także budynkiem przy Karlsplatz, niedaleko katedry św. Stefana. Wiedeń to prężny ośrodek akademicki.

### **Porozmawiamy o pieniądzach. Czy austriackie studia są kosztowne?**

Wiedeński uniwersytet jest uczelnią państwową. Studenci nie muszą płacić tzw. czesnego, pobieranego zwyczajowo w uczelniach prywatnych. Obowiązuje mnie tylko opłata tzw. składki studenckiej w niewielkiej wysokości 22 euro

na semestr. Niemalę są jednak koszty pobytu i utrzymania w Wiedniu. Austriackie studia bez finansowej pomocy rodzin zagranicznych studentów byłyby raczej niemożliwe.

### **A czy studenci mają możliwość dodatkowego zarobkowania?**

Owszem. Pracuję doraźnie w Wiedeńskiej Operze Narodowej. Obecnie z powodu pandemii jej działalność jest zawieszona, co skutkuje m.in. brakiem pracy wykonywanej na podstawie umów-zleceń. **Na koniec muszę zapytać o artystyczne plany życiowe.**

Mam dość ambitne zamierzenia w tej sferze. Niektórzy z moich bliskich uważają nawet, że zbyt ambitne. Marzy mi się zawód śpiewaczki operowej w jednej z kilku najlepszych na świecie scen muzycznych: w Wiedniu (Opera Narodowa), w Mediolanie (La Scala) czy też w Nowym Jorku (Metropolitan Opera). Jestem sopranistką, a mój wspański profesor twierdzi, że nie brakuje mi umiejętności wokalnych ani talentu. Dlaczego więc nie mogłabym marzyć o wielkiej karierze światowej artystki? Wiedeńskie studia są dla mnie mozolną wspinaczką ku fantastycznej karierze. Do odważnych świat należy!

**Życzę ci spełnienia imponujących marzeń artystycznych. Kto wie, może w przyszłości młodzi ludzie ze Śląska będą mieli okazję obejrzenia telewizyjnej transmisji z Metropolitan Opera w Nowym Jorku, gdzie zaśpiewa Kornelia – gwiazda światowej wokalistyki operowej!**



foto. Aleksandra Szmyd

Kornelia Szczypka na schodach cesarskiego pałacu Schönbrunn

# Fräulein Ligoń

MAGDALENA DEHILES

(...) Kobieta wbiegła po stopniach budynku szkoły ludowej i pchnęła ciężkie drzwi.

– A! *Guten Morgen*, Fräulein Ligoń – Herr Fiering zawsze z trudem wypowiadał nazwisko Barbary.

– *Guten Morgen* – odpowiedziała próbując zręcznie wyminać dyrektora. Ale dyrektor Fiering pomimo tuszy był szybszy. A może pomógł mu wąski korytarz?

– *Sehr gutt*, Fräulein – ciągnął dalej po niemiecku – proszę za 10 minut przyjść do mojego gabinetu.

– *Jawohl*. Oczywiście panie dyrektorze – odpowiedziała Barbara również po niemiecku i dosłownie prześlizgnęła się po ścianie uciekając przed wzrokiem małych, świńskich oczek mężczyzny. Pobiegła w głąb korytarza w stronę pokoju nauczycielskiego wkładając rękę do torebki upewniała się, że jej „specjalna” książka, jak ochrzciły ją dzieci, wciąż tam była. Nie mogła jej przecież trzymać w biurku.

– Bu!

– Ania! Chcesz żebym ducha wyzionęła?

Anna Piecha, nauczycielka starszych klas oraz przyjaciółka Barbary jeszcze z dzieciństwa zawsze imponowała swoją odwagą. Nie było chyba takiej rzeczy, której by się bała.

– Kiela jeszcze bydziesz tymu bachratymu babuciowi ulegać? *Guten Morgen* – przedrzeźniała przyjaciółkę Anna – tyś twój Pawełek tam życie narażo, a Ty niemieckimu babuciowi niy umisz odpedzić we swoim ojczystym jenzyku? Tyś zdradziecki wieprz niy zapomniol swojij godki. W Paniowach już uczom po polsku.

– Ciii, jeszcze Cię ktoś usłyszy – Barbara pociągnęła Annę w stronę wnęki okiennej w głębi korytarza.

– Baśka, to je nasze zadanie. Nie rozumisz? Jak my nie zaczynmy uczyć naszych dzieci polskij godki to fto? Wiela można się nauczyć z ksjonczeczki do nabożynstwa? W szkole w Paniowach uczom już po naszymu *szrajbować i czytać!*

– Co ty z tymi Paniowami? Tak, słyszałam, jak aptekarz opowiadał mojemu ojcu jak jego siostry dzieciom się dostało za czytanie po polsku. Sipo' wpadło w połowie lekcji i podarli dzieciom podręczniki, a potem oblali ich wszystkim zimną wodą!

– Nie mogmy się poddawać! Nasze *bajtle* mają prawo do własnej godki! Nie na darmo Franek życie poświęcił na ziemi Wodzisławskiej – głos Anny się załamał. Wspomnienie o bracie, który zginął z rąk *Grenzschutzu*\*\* w ubiegłorocznym powstaniu, wciąż było świeże. Barbara przygarnęła przyjaciółkę.

– Rany! – zerknęła na wieżę kościelną przez okno – Fiering chce mnie widzieć w gabinecie! Muszę lecieć!

– A czego ten pieron zaś chce?

– Nie mam pojęcia. Do zobaczenia na przerwie – Barbara jeszcze raz uściśnęła przyjaciółkę i pobiegła w dół korytarza do gabinetu dyrektora.

\*\*\*

– *Komm herein!* – rozległ się tubalny głos za drzwiami.

Barbara pchnęła drzwi i weszła do środka, zamykając je za sobą. Odwróciła się w stronę dyrektora, ale pozostała w pobliżu wejścia.

– *Bitte*, proszę spocząć Fräulein Barbara – okrągłym jak bawarska kiełbaska paluchem Fiering wskazał skórzany fotel przy biurku.

Barbara wciąż słyszała w myślach słowa przyjaciółki „...twój Pawełek tam życie narażo...”

– Dziękuję – odpowiedziała po polsku i usiadła w wygodnym fotelu z bijącym sercem.

„Odważyłam się, odważyłam się!” kibicowała sobie w duchu.

Fiering spojrział z niesmakiem i pokręcił głową. Dwie różowe gule, które były przedłużeniem policzków zatańczyły jak korale u indyka. Z fotografii dumnie wyeksponowanej na biurku spoglądała sroga twarz kobiety. Frau Fiering, dyrektorki szkoły ludowej w Ligocie i szanownej małżonki dyrektora.

– Mamy dziś wizytację – ciągnął dalej po niemiecku dyrektor.

– Chciałbym, żeby lekcja pokazowa odbyła się u pani w klasie.

– U mnie? – Barbara mimo woli przeskoczyła na niemiecki. – Ale dlaczego?

– Ponieważ wiem, że na panią można liczyć, jest pani zdyscyplinowana – w tym momencie nastąpił wyraźny nacisk na ostatnie słowo oraz wymowne spojrzenie – poza tym kończy się pierwszy rok pani pracy z nami i na pewno chciałaby pani wiedzieć, czy odnowimy kontrakt od września, nieprawdaż?

Barbara przełknęła ślinę.

– Ale... ja nie miałam czasu się przygotować, co to ma być za lekcja? – Barbara szybko szukała w myślach jakiegoś pomysłu. – Może religia? – wypaliła mając świadomość, że religia była jedynym przedmiotem, który zgodnie z prawem był już dawno wykładany po polsku.

– Proszę niczego nie zmieniać, iść według planu. Jeśli uczniowie będą zdyscyplinowani to wszystko będzie dobrze. Proszę się spodziewać wizytacji po południu, po przerwie obiadowej.

Barbara zaczęła uczyć we wrześniu, ale była bardzo sumienna i staranna w wykonywaniu swoich obowiązków. Zawsze przygotowana na każdą ewentualność, jej uczniowie szybko robili postępy, a nauka pod jej skrzydłami sprawiała im prawdziwą przyjemność. A Barbara kochała uczyć. Każdy najmniejszy sukces ucznia był dla niej wielkim świętem. Dzieci ją uwielbiały. I ona je też.

– To wszystko – Fiering utkwiał wzrok w Barbarze.

Ruszyła w stronę drzwi. Chciała jak najprędzej stamtąd wyjść. Czują się nieswojo.

– A! I jeszcze jedno – rzucił, gdy położyła rękę na klamce – jak miewa się szanowny Jan? Czy w sklepie niczego nie brakuje?

Barbara zatrzymała rękę na klamce i odwróciła się powoli.

Fiering siedział za biurkiem jak napuszony paw, z rękami splecionymi na guzikach marynarki, które naciągnięte do granic wytrzymałości mogły wystrzelić w każdej chwili.

– Ojciec ma się dobrze – Barbara odpowiedziała powoli i poczuła gorąco napływające od szyi aż po czubek głowy.

– To świetnie, proszę przekazać moje uszanowanie i powiedzieć, że wybiorę się z żoną po nową sukienkę. (...)

Barbara nie lubiła się spóźniać, a teraz jeszcze to. Odwróciła się bez słowa i pobiegła korytarzem przy akompaniamencie rytmicznego stukotu obcasów na twardej posadzce.

– Niemiecka dziwka – usłyszała jeszcze za plecami.

Kobieta poczuła gorące łzy napływające do oczu.

\*\*\*

Zza kamiennego ogrodzenia cmentarza dochodziły głosy dzieci bawiących się na długiej przerwie. Barbara kochała pracę w szkole, ale przyjemnie było czasem uciec w ciszę, która panowała pośród mogił. Usiadła na kamiennej krawędzi studni i położyła list Pawła na kolanach. Zamknęła oczy i wciągnęła ciepłe czerwcowe powietrze. Chciała wyrzucić wszystkie myśli z głowy i pobyć sam na sam z Pawłem. Chociaż w myślach. Bez przeszkód. Fiering i cała reszta może poczekać.

\* Policja Bezpieczeństwa (Republiki Weimarskiej) powstała pod koniec 1919.

\*\* Niemiecka straż graniczna.

Przez następne dwadzieścia minut liczy się tylko Paweł i ona.

*Najdroższa Basieńko,*

*Dniem i nocą myślę o Tobie i bez ustanku wspominam ostatni raz, kiedy było mi Cię w ramionach trzymać. Myśl ta pozwala mi przetrwać najgorsze. Bo było już, moja Basieńko, blisko. Ale Pan najwyższy ocalił mnie tym razem od stracenia i za to mu jestem wdzięczny. I tak sobie myślę – dlaczego?*

*W ostatnich dniach wielu nas „Bytomiaków” nie miało tyle szczęścia... Zdobyć Rybczanów okupiliśmy krwią wielu naszych...*

*Najdroższa moja, dlaczego jest tak, że musimy poświęcić tyle młodego życia w obronie ojczystej mowy naszej i starych obyczajów? (...)*

*Jesteśmy już tak blisko najdroższa. Widziałem niejedno życie stłumione przez bolszewickie bagnety. Ale trwamy. I wciąż walczymy. Nie zmarujemy tej ofiary. Wierzę, że „odzyska ziemi dziadów wnuk! Tak nam dopomóż Bóg!”. I Ty w to również wierzyć musisz.*

*Musimy to przetrwać najłodsza. Wiedz, że miłość ma do Ciebie dodaje mi siłę, kiedy wszystko inne zawodzi. Marzę o dniu, kiedy znów będziemy razem i połączymy się świętym węzłem na zawsze.*

*Niech Boża opieka Będzie nad Tobą Basieńko.*

*Twój na zawsze oddany Paweł.*

*P.S. Zasiłam pozdrowienia także Szanownym rodzicom Twoim.*

Barbara zamknęła oczy i pogładziła list na kolanach. Chciała tak trwać bez końca. Rozkoszować się każdym słowem.

– Bu! Dej pozor, bo Cie okradnom!

– Anka!

– I co ten Twój szac naszrajbowo! – Anka przysiadła się do przyjaciółki na skraju studni i zaglądając jej przez ramię próbowała dojrzeć co było napisane w liście.

Barbara pośpiesznie złożyła papier na pół i przycisnęła do serca.

– Jak co? Że kocha i miłuje – odpowiedziała z rozmarzonym wyrazem twarzy.

– No ja, *frelka ze szmotlokami we basie*!\*\*\* – zaśmiała się Anka, ale Barbara nagle spoważniała.

– Co je? – spytała Anka.

Barbara złożyła ręce na kolanach.

– Tam leży mój pradziadek, Tomasz – wskazała na mogiłę z czarnego marmuru. – Zginął w powstaniu w 1863. Za naszą wolność. Anka, to było ponad 50 lat temu! I gdzie jest ta wolność? Kiedy to się wreszcie skończy?

Anka złapała przyjaciółkę za ramiona i spojrzała jej w oczy.

– Skończ się. Ino trza w to wierzyć.

\* \* \*

Po obiedzie Barbara miała zajęcia w klasie mieszanej. Część starszych uczniów, którzy nie radzili sobie z materiałem poślano na jej lekcje z młodszymi dziećmi.

Na korytarzu rozległ się dzwonek.

Barbara w pośpiechu wsunęła książkę pod duży atlas leżący na biurku. Książkę podarowała jej starsza koleżanka Martyna Wojtynek, na zebraniu Towarzystwa Śpiewu Harmonia. Martyna bardzo imponowała Barbarze. Chyba nawet bardziej niż Anka. I dlatego Anka nie wiedziała o tej znajomości.

– Ciężko zdobyta – Martyna poinformowała Barbarę parę tygodni wcześniej wręczając jej egzemplarz. – Znajomy ojca pracuje w wydawnictwie katolickim Meyera w Raciborzu.

Przed klasą dzieci ustawiły się dwójkami. Małe, ufne twarze. Niewinne i pełne zapału oczy.

Barbara wprowadziła klasę do sali i stanęła za biurkiem czekając aż wszyscy zasiądą w drewnianych ławkach. Dzieci siedziały dwójkami. Na każdym pulpicie przygotowane były tabliczki z rysikiem.

– Dzień dobry dzieci – Barbara zwróciła się do klasy po niemiecku. – Dziś na lekcji będziemy mieć specjalnych gości. Kto mi powie, jak możemy mile powitać gości?

Czarnowłosa Kasia z krótko przystryżoną grzywką pierwsza podniosła rękę do góry.

– Możemy im coś zaśpiewać – błękitne oczy aż błyszczały, zadowolone z własnej pomysłowości.

– Bardzo dobrze Kasiu. Co jeszcze?

Parę energicznych rąk znów wystrzeliło do góry. Niektórzy podtrzymywali wyciągnięte ramiona drugą ręką, aby chociaż milimetrem przewyższać kolegów i koleżanki i tym samym zwiększyć swoje szanse na bycie wybranym.

W ostatnim rzędzie, piegowata Zuzka z luźno zaplecionymi rudymi warkoczami o dużych białych kokardach intensywnie wpatrywała się w rysik leżący przed nią jakby tam znajdowała się odpowiedź na zadane pytanie.

– Zuzia, jak myślisz?

Dziewczynka oblała się rumieńcem i rozglądając się po klasie zaczęła się powoli unosić na cienkich nóżkach.

– Eeee... możemy powiedzieć jakiś wierszyk?

– To bardzo dobry pomysł – powoli odpowiedziała Barbara kiwając głową.

W ławce pod oknem Jaś ze starszej klasy, który w tamtym tygodniu został przysłany przez panią Broń za ciągle wiercenie się na lekcji teraz napinał się jak struna. Wybałuszając oczy przysyłał nieme sygnały. Barbara bała się, że pęknie od tego napięcia, jeśli ktoś go nie uwolni.

– Janek – uśmiechnęła się do siebie.

– Fräulein Barbara, a czy moglibyśmy im przeczytać z naszej specjalnej książki? Ja już wszystko umiem na pamięć. Tak jak Pani prosiła – zadowolony z siebie Janek teraz wpatrywał się w Barbarę wyczekująco.

Barbara poczuła gorąco na twarzy i zamrugała kilka razy.

– Jestem z Ciebie bardzo dumna Janku, – odpowiedziała po chwili – ale...

W tym momencie drzwi sali otworzyły się i wkroczyły trzy osoby.

Dzieci momentalnie powstały z ławek.

Herr Fiering, który przewodził wizytacji skinął głową i gestem nakazał dzieciom usiąść. Wysoki blondyn o bladoniebieskich oczach, które wyglądały jakby były ze szkła, przemierzył salę głośno stukając butami o posadzkę i usadowił się na parapecie przy oknie. Drugi z wizytatorów, niski, krępy człowieczek z czarną grzywką zaczesaną na bok i chudym wąsikiem, stanął w rozkroku pomiędzy ławkami w ostatnim rzędzie i schował ręce za siebie. Dyrektor Fiering pozostał przy drzwiach.

Barbara poczuła, jak poca się jej dłonie. Wzięła głęboki oddech.

– Dziś poćwiczmy sobie literkę „W”.

Człowieczek z czarną grzywą założył ręce przed sobą. Szklanooki pod oknem zaczął coś zapisywać.

Barbara wzięła kolejny głęboki oddech próbując uspokoić rozdygotane ciało.

– Jakie znamy wyrazy rozpoczynające się na „W”?

Podniosło się parę rąk.

– Sabina – złociste loki wysokiej córki aptekarza zatańczyły przy wstawaniu.

– *Wagen*.

– Bardzo dobrze.

Barbara starała się skupić na dzieciach i nie widzieć świńskich oczek dyrektora śledzących jej każdy ruch. Ale nie sposób było nie zauważyć naprężonej jak struna ręki Janka, która właśnie wystrzeliła do góry.

Barbara odwróciła głowę w drugą stronę.

– Piotrek – okrągli, ogolona główka sztywno trzymała się na chudej szyi.

– *Wurst*.

„No tak, mogłam się tego spodziewać”, zaśmiała się w myślach czując jak napina jej się twarz.

\*\*\* *Frelka ze szmotlokami we basie* (gwara śląska) – dziewczyna z mytłami w brzuchu.

Twarz Janka poczerwieniała, a oczy chyba wyschły od wybałuszania ich i przerwy w mruganiu.

Ostatnia ławka. Nie, Zuzia nie. Barbara przebiegła wzrokiem po klasie.

– Antek – białowłosy malec wstał ocierając mokry nos w rękaw.  
– *Westfalen*.

Barbara mimo woli wstrzymała dech.

Fiering spojrział na blondyna pod oknem i... czy to możliwe, aby zauważyła cień uśmiechu?

Barbara odwróciła się do tablicy i sięgnęła po kredę. Kątem oka zdążyła zauważyć jeszcze Janka, który teraz wygiął tułów w taki łuk, że wydawało się, że unosi się nad ławką.

– Poćwiczmy teraz pisownię – Barbara podniosła drżącą rękę do tablicy.

– *Fräulein* – usłyszała głos z parapetu – jest tu jeszcze jeden bardzo chętny uczeń, który chciałby udzielić odpowiedzi.

Ręka zastygła przy pierwszym brzuszku literki „W”. Odwróciła się powoli modląc się w myślach, żeby to nie był Janek.

Jej prośby nie zostały wysłuchane.

– Janek – wymusiła uśmiech.

– *Welt*, słowo *welt* – Janek aż się cały trząśł. – I proszę pani, ja potrafię zapisać to słowo na tablicy!

„Nie ma to jak młodzieńczy zapał”, Barbara podała Jankowi kredę, tym razem ze szczerym uśmiechem.

Twarz chłopaka jaśniała. Barbara miała wrażenie, że przy kolejnym mrugnięciu z jego oczu posypią się gwiazdy.

Zaczął pisać przyciskając tak mocno kredą, że pomiędzy „l” a „t” kruche narzędzie pękło i odskoczyło na biurko. Janek rzucił się jak kot, żeby je złapać. Udało mu się uchwycić je dosłownie na krawędzi, kładąc się na biurku tułowiem.

– Mam ją! – zawołał i zsuwając się z biurka ściągnął za sobą atlas i leżącą pod nim książkę. Będąc w stanie euforii nie zauważył i od razu wrócił do pisania na tablicy. Bo pisanie na tablicy było szczytem marzeń każdego ucznia. Barbara przymknęła oczy i stanęła pomiędzy oknem a tablicą, tyłem do blondyna o szklanym spojrzeniu, próbując jednocześnie popchnąć książkę profesora Władysława Komischke butem pod biurko.

Janek skończył pisać i z szerokim uśmiechem rozjaśniającym mu całą twarz odwrócił się do Barbary.

– Dziękuję, bardzo dobrze Janku, możesz usiąść.

Barbara bała się odwrócić. Nie chciała widzieć reakcji wizytatorów.

Janek odłożył obydwa kawałki kredy na wąską listwę u dołu tablicy upuszczając jeden z nich na podłogę.

Schylił się po niego i w tym momencie zauważył leżący na ziemi atlas.

– Przepraszam, *Fräulein* Barbara – powiedział sięgając po atlas.

Barbara poczuła puls bijący w uszach.

– Ja nie chciałem.

– Nic się nie stało Janku, w porządku.

Ale Janek podniósł załzawione oczy na Barbarę. Rozpacz, która się w nich malowała była tak intensywna jak radość parę chwil wcześniej. Pierwsza łza spadła na atlas. Barbara kucnęła biorąc opasły tom od chłopca i położyła mu rękę na ramieniu. Janek opuścił głowę.

Z tyłu odezwało się chrząknięcie. Barbara wstała i odwróciła się do klasy. Czarnogrzywy stał jak posąg wciąż w tym samym miejscu.

– *Fräulein!* – głos Janka powrócił do momentu, kiedy znów był pełen entuzjazmu – Nasza specjalna książka! Już wiem jak miło przyjąć gości! Ja znam wszystko na pamięć!

Stojący najbliżej wizytator, nie mógł jeszcze dojrzeć tytułu „specjalnej” książki. To był ostatni moment, żeby uratować sytuację.

Barbara spojrzała w ufne, pełne entuzjazmu oczy Janka. „Kto w młodych sercach roznieci zapał do tego co przez wieki zakazane?” usłyszała w myślach.

Dyrektor stojący przy drzwiach uniósł wysoko głowę.

Na skroniach widać było wyraźnie krople potu.

Posąg z grzywką wykrzywił usta.

– To posłuchajmy! – odezwał się zniecierpliwiony blondyn z parapetu.

Janek podał książkę Barbarze. Wyciągnęła po nią rękę, powoli, jakby przedzierała się przez bagno.

Chłopiec zamknął oczy.

Na polskiej ziemiicy,

W knieziowej stolicy,

Kołodziej Piast rządu stanowi;

A po nim Piastowie,

Rolnika wnukowie,

Przewodzą polskiemu ludowi – zaczął deklamować po polsku.

Barbara miała wrażenie, że nawet chmury za oknem zamarły.

– Za króla dobrego,

Za Mieszka pierwszego,

Narody dokoła chrześcijańskie,

A tylko Polacy,

A tylko rodacy,

Wciąż wierzą w swe gusła pogańskie.

Janek przerwał i otworzył oczy.

– Dalej nie pamiętam – powiedział ze smutkiem.

– Lecz Mieszko zaradzi – odezwał się dziewczęcy głosik – Tej swojej czeladzi,

Żywota ją zdrojem obdarzy.

Barbara powoli oderwała wzrok od Janka.

To Zuzia.

– Po wiary więc słowo

W dziedzinę Czechowąż

Wysłał on swoich włodarzy.

Chmury wciąż stały w miejscu.

Zuzia przerwała i podniosła wzrok na człowieka z wąsikami. W kącikach jej ust czaił się nieśmiały uśmiech formuły dołeczki w policzkach.

– Czy jest panom miło? – zapytała zerkając niepewnie też na mężczyznę przy parapecie.

W tym momencie Barbara napotkała wzrok Fieringa. Gule przy policzkach zacerwieniły się do barwy krwi a na czoło wystąpiły duże krople potu. Ale to jego oczy przykuły jej uwagę. W nich zobaczyła zło. Nie gniew czy wściekłość, ale zimne zło. (...)

Barbara wyprostowała ramiona i nie odrywając wzroku od Fieringa powiedziała po polsku:

– Bardzo dobrze Zuziu. Kto pamięta następną zwrotkę?

– I prośby śle rzewne – odezwało się kilka słabych głosów

– By czeską królownę,

Dąbrówkę za żonę mu dano – dołączyły, kolejne, mocniejsze głosy.

Królowna cnotliwa

Do Polski przybywa

Skarb wiary przywozi za wiano.

Barbara stanęła przodem do klasy i gestem nakazała dzieciom powstanie z miejsc.

– I odtąd królowi

I jego ludowi – sama dołączyła do reszty głosów –

Dąbrówka zbawienie wciąż głosi

Aż znikną bałwany,

I krzyż ponad łany

Ochrzczonej ojczyzny się wznosi\*\*\*\*.

Chmury stały w miejscu.

Pierwszy z sali wybiegł Fiering. Czerwone guły zabarwiły całą twarz, łącznie z uszami. Jego ciężkie kroki niosły się echem po korytarzu.

Barbara wciąż stała w miejscu. Dzieci też.

Za Fieringiem, nieco wolniej, podążył wizytator z czarną grzywką.

Barbara spojrzała na ostatniego z komisji. Stał wciąż przy oknie i patrzył jej prosto w oczy. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Tylko patrzył.

Barbara przeknęła ślinę.

– *Danke* Fräulein – skinął w końcu głową i zamknął notatnik. Poprawił marynarkę i też ruszył w stronę drzwi. Zaciekawione dzieci odprowadzały go wzrokiem wsłuchując się w stukot jego trzewików o posadzkę.

\* \* \*

Barbara cicho zamknęła drzwi swojej sali i ruszyła za sekretarką, Frau Zaumer, w stronę gabinetu dyrektora. Pod pachą ścisnęła „Czytanki szkolne” profesora Władysława Komischke. Jej „specjalną” książkę.

Nie bała się. Raczej czuła ulgę. Szła z podniesioną głową unikając wzroku mijanych koleżanek i kolegów. Przed samym gabinetem pojawiła się Anna. Stała patrząc wyczekująco na przyjaciółkę. Ale Barbara minęła ją wskazując ruchem głowy na gabinet.

Trochę dalej, przy oknie stały siostry Broll i spoglądając na Barbarę wielkimi oczami, coś do siebie szeptały.

Idąc do gabinetu nie miała przygotowanej żadnej odpowiedzi. Żadnego usprawiedliwienia swojego zachowania. Bo też go nie szukała. Chyba po raz pierwszy w życiu czuła, że wcale nie musi go usprawiedliwiać. Dotarło do niej o jaką wielką sprawę walczy jej pokolenie.

Frau Zaumer otworzyła drzwi i gestem zaprosiła nauczycielkę do środka.

W przedsiönku gabinetu, gdzie sekretarka urzędowała, wskazała na krzesło pod ścianą.

– Proszę tutaj zaczekać, Fräulein. Herr Fiering wezwie panią.

Barbara usiadła. Sekretarka też. Za zamkniętymi drzwiami gabinetu toczyła się dyskusja. Po chwili wyraźnie było słychać podniesiony głos dyrektora. Barbara nie mogła rozróżnić słów, ale można było się domyślić, że atmosfera rozmowy była napięta.

Sekretarka Zaumer zerknęła na Barbarę znad biurka z niesmakiem.

„Już wie, pewnie wypisuje moje zwolnienie dyscyplinarne!”

Teraz za drzwiami głos podnosił jeden z inspektorów.

„Koniec mojej kariery w szkole! Koniec z nauczaniem! Żegnajcie dzieci...”

Barbara spojrzała w okno. Chmury, które jeszcze niedawno tak uporczywie stały, teraz płynęły po niebie. Jak myśli w jej głowie.

Nagle, rozległ się stukot obcasów. Kroki były coraz bliżej. Drzwi gabinetu stanęły otworem i pojawił się w nich wysoki inspektor o bladym spojrzeniu. Przyglądał jej się. Patrzył jej w oczy tak intensywnie, że musiała spuścić wzrok. Tym razem jego spojrzenie wydawało się prawie... łagodne?

– Zapraszam – powiedział, przeszedł przez gabinet i stanął za biurkiem. (...)

– Proszę usiąść, Fräulein – odezwał się wskazując na krzesło naprzeciw dyrektora. Fotografia Frau Fiering wciąż dumnie prezentowała się na biurku.

Kobieta usiadła i wreszcie odważyła się spojrzeć na Fieringa.

Ten uparcie studiował guziki na swojej marynarce. Na jego

twarzu nie było ani śladu wcześniejszego gniewu. I coś jeszcze. Wyglądał na zmieszanego. Czyżby próbował unikać jej wzroku?

– Barbaro – odezwał się inspektor siedzący obok niej na krześle – jak długo pani klasa uczyła się tego utworu?

Barbara ścisnęła książkę na kolanach.

– Dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie... – powtórzył czarny wąsik. – Czyli ile godzin, według pani, dzieci miały na nauczanie się wiersza? – ton głosu mężczyzny był zrównoważony i jednostajny.

– Pół godziny dziennie, czasem mniej – Barbara zerknęła na Fieringa, który teraz z zacięciem lustrował własne kolana.

– I czy w tym czasie uczniowie mieli możliwość ćwiczenia tekstu w domu? – ciągnął dalej inspektor.

– Nie.

– Nie mają własnych kopii podręcznika?

– Nie, oczywiście, że nie! – Barbara znowu zerknęła na Fieringa. Po kolanach przyszedł czas na palce.

– A dlaczego nie, Fräulein? – tym razem pytanie padło z ust blondyna.

Ton nie brzmiał oskarżycielsko.

Barbara podniosła wzrok na mężczyznę. Napotkała znów to samo blade, szkliste spojrzenie.

„Czy to jest jakiś test?” – dedukowała po cichu.

– We wrześniu wprowadziliśmy przepis nauki języka w piśmie, mowie i czytaniu w szkołach – ciągnął dalej inspektor. – Nie widzę powodu, dla którego podręczniki nie miałyby być dostępne dla uczniów.

„Co takiego?” wyraz twarzy Barbary zdradzał zbyt wiele. Nie odważyła się spojrzeć na Fieringa. „Dlaczego nie słyśmy o tym na żadnym zebraniu? Że przepis jest oficjalny?”

– Fräulein Barbara – odezwał się wreszcie dyrektor odchrząkując i bezskutecznie próbując ściągnąć poły marynarki ku sobie – dziękujemy za przeprowadzoną przez panią lekcję...

„Czy ja dobrze słyszę!?”

– Rozumiem, że pani czas był ograniczony i stąd niedoskonałości...

– Czasami trudno jest przewidzieć zachowania uczniów – wtrącił się inspektor stojący za biurkiem – ale zdołała pani opanować sytuację, mając w poszanowaniu ucznia jak i wszystkich obecnych.

– Czy konsultowała pani metody nauki na pamięć z innymi członkami grona pedagogicznego? – zapytał inspektor od siwej plamy.

– Konsultacje przedmiotowe są w przygotowaniu – prawie krzyknął Fiering. Na jego skroniach pojawiły się krople potu.

– Doskonale! – czarnowłosa klasnęła rękami o kolana i wstał.

– W takim razie, ustanowimy termin kolejnej wizytacji, już po konsultacjach. Dyrektorze, proszę zadbać o to, by każda klasa miała kopię podręcznika.

Bladooki wyciągnął dłoń w kierunku Fieringa:

– Doskonały wybór dyrektorze, gratuluję profesjonalnego grona. Rzadko spotyka się takie opanowanie i wycucie sytuacji u młodych nauczycieli. Proszę dbać o panią Barbarę.

Mężczyzna obszedł biurko, zatrzymał się przed Barbarą i wyciągnął do niej też rękę cały czas patrząc jej w oczy.

– Gratuluję umiejętnie przeprowadzonej lekcji. *Sehr gut*, Fräulein – po czym złożył na jej dłoni lekki pocałunek.

Obydwaj mężczyźni ruszyli w kierunku drzwi. Barbara pozostała na miejscu.

A! I jeszcze jedno – blondyn położył rękę na klamce i odwrócił się do dyrektora – jak się miewa szanowna Frau Fiering? ■

**Magdalena Dehiles** jest nauczycielką, mieszka w Londynie, inicjatorką powstania angielsko-polskiej bilingwistycznej szkoły podstawowej w UK.

Tytuł oryginalny opowiadania: *W obronie mowy ojczystej*, tytuł publikacji i skróty tekstu pochodzą od redakcji.

\*\*\*\* W. Komischke. S. Sikorski, *Chrzest Polski, Czytanki szkolne*, Wrocław 1918, s. 279.

# Dzieciństwo pułkownika

HENRYK SZCZEPAŃSKI

**W lipcu na łamach „Śląska” pisaliśmy o ppłk. Emanuelu Twórze i jego dokonaniach w wieku dojrzałym, dzisiaj prezentujemy jego sylwetkę w latach dzieciństwa i młodości.**

**K**raina jego zielonych lat i młodzieńczych swawoli, ukryta pośród pagórków i lasów Kochłowniczych Wzgórz, leżała w sąsiedztwie kopalnianych szybów „Kleofasa” i „Wujka”. Była peryferyjną kolonią gminnego Załęża. Gdy Emanuelowi zaczął sypać się wąż, stały tam cztery szeregi wiejskich domów. Zapewniały dach nad głową kilkudziesięciu rolników i kilkuset robotników. Tak jak jego ojciec pracowali przy wydobywaniu węgla kamiennego albo w cynkowniach – „Joanna” bądź „Wiktor”.

W ostatniej dekadzie XIX wieku, od strony Brynowa, tam gdzie dzisiaj zbiega się ulica Załęska Hałda z Przekopową, okoliczni mieszkańcy ufundowali Bożą Mękę – skromny, aczkolwiek dostojny monument z Chrystusem na Krzyżu. Emanuel przygotowywał się wtedy do matury. Prawie 130 lat licząca, wykuta w kamieniu polska inskrypcja przypomina darczyńców: „Krzyż jest wystawiony z dobrowolnej składki z gminy Załęznie Roku pańskiego 1891”.

Do naszych czasów przetrwało zaledwie kilka wiekowych zabudowań. Opodal wznoszą się wielopiętrowe domy mieszkalne, a biegnąca w pobliżu ulica Kochłownicka jest odcinkiem ruchliwej europejskiej magistrali – E40, łączącej Francję z Kazachstanem, a dokładniej – nadatlantyckie Calais z miasteczkiem Ridder u podnóża złotodajnego Ałtaju w pobliżu granicy z Chinami.

Wyjątkową i zagadkową atrakcją kartograficzną, wciąż chlubią się odkrywcy zapomnianych sekretów Załęskiej Hałdy. W pobliżu „Bożej Męki” przebiega 19 południk dzielący całą Polskę na dwa obszary o podobnej wielkości.

Niczym śląska *axis mundi*, z rasą E40 liczącą 8500 km krzyżuje się na 1440 kilometrów od wjazdu do Eurotunelu pod Cieśniną Kaletańską.

## Wychowanek ks. Lubeckiego

Niczym bożonarodzeniowy upominek pod choinkę Emanuel przyszedł na świat 25 grudnia 1872 roku. W języku biblijnych Hebrajczyków jego imię przypominało: „Bóg z nami”. Na przekór germańskim szowinistom i hierarchom Kościoła niemieckich katolików – wyrosło z niego niezłe ziółko!

Był młodszym bratem Teofila, który urodził się 2 lata wcześniej. Ich rodzice to: Piotr Twórz, górnik oraz Maria z domu Niesyto. Mieszkał na parceli, w okresie międzywojennym oznaczonej jako: Załęska Hał-

da 27 (u zbiegu z dzisiejszą Dobrego urobku). Urząd naczelnika gminy wiejskiej Załęże sprawował wtedy Maciej Stanisłowski.

Podczas chrztu w kościele Mariackim w Katowicach, prócz imienia Emanuel otrzymał też dwa kolejne: Stefan Alojzy. Jego chrzcicielem był ks. Wikary Rudolf Lubecki, na Śląsku ceniony jako „boży bojownik” i „prawdziwy Polak”. Zwykł mawiać: „Język ojczysty jest złotym kluczem do serca ludu i dlatego trzeba się go dobrze wyuczyć, aby ziarno ewangeliczne podawać ludziom w srebrnych koszykach”.



**Emanuel Stefan Alojzy TWÓRZ** (1872–1955), doktor medycyny, działacz niepodległościowy i społeczny, od 1919 podpułkownik rezerwy. W 1890 r. członek tajnej Organizacji Młodzieży Szkół Średnich w Katowicach. Od kwietnia 1894 r. student Uniwersytetu we Wrocławiu; najpierw teologii, a od października 1895 – medycyny, którą ukończył 1 sierpnia 1900 r. Aktywny w polskich organizacjach młodzieżowych we Wrocławiu, w Organizacji Młodzieży Narodowej Szkół Wyższych i Związku Młodzieży Polskiej oraz w Towarzystwie Akademików Górnośląskich. *Opr.: W. Omieczynski, „Słownik biograficzny powstańców wielkopolskich 1918–1919”.*

Do ochrzczonych przez ks. Lubeckiego w parafialnym baptysterium kościoła pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny należał też, o rok wcześniej urodzony Franciszek Skiba, później gimnazjal-

ny i akademicki kolega Emanuela. Obydwaj byli wychowankami ks. Lubeckiego; obydwaj wyrosli na wybitnych obrońców sprawy polskiej na pruskim Śląsku.

## Zapiski ze sztambuchów

Wiosną, zaraz po niedzielnej Mszy Świętej, chłopcy z Załęskiej Hałdy biegli na brzeg starego pokopalnianego zapadliska, po brzegi wypełnionego roztopami albo deszczówką. Wybierali najdorodniejsze, brązowe pałki tataraku i gapili na majestatycznie szybujące ważki. Zbierali bukieciki konwalii. Swoimi trofeami obdarzali koleżanki, mamy i babcie. W lecie objadali się borówkami, lesną maliną i jeżyną. Po chłopięcemu czupurni, gdy nie było w pobliżu Niemców, podśpiewywali:

„Od Berlina wieje wiatr,  
Wszystko idzie na sermater.  
Znad Krakowa słonko grzeje,  
Kwitną sady, świat się śmieje”.

Gdy przychodziła złota polska jesień, w Załęskiej Hałdzie okoliczne dębowe i bukowe starodrzewy lśniły wszystkimi barwami malarskiej palety. Słońce wylaniało się nad Kamionką Katowską (obecnie Wzgórze Kościuski), wędrowało nad domem Emanuela, a o zmierzchu znikąło za parawanem Załęskiego Lasu, porastającego najwyższe szczyty Kochłowniczej Góry. Tak mały Twórz zapamiętał krajobraz swego dzieciństwa i okolice Załęskiej Hałdy – najbardziej na południe oddalonej kolonii wsi Załęże.

W XIV tomie „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” wydanego w Warszawie w roku 1885, znajdujemy charakterystykę rodzinnej miejscowości Emanuela:

„Załęże, niemieckie Zalenze, dobra i wieś, powiat katowicki, parafia katolicka Bogucice, Katowice. W r. 1885 dobra miały 493 ha, 24 domy, 262 mieszkańców (6 ewangelików). Wieś miała 349 ha, 210 domów, 3530 mieszkańców (84 ewangelików). Szkoła katolicka od r. 1827. Kopalnie rudy żelaznej i węgla kamiennego”.

## Gdy dzwoneczek się odezwał

Z włościańsko-robotniczej osady do szkoły ludowej w centrum Załęża, od jesieni do letnich długich wakacji, Emanuel dreptał ulicami dzisiaj zwanymi Przekopową i Żeliwną. Dawniej prowadziła tamtędy szosa pszczyńska. Obecnie przypominają o niej tylko krótkie odcinki: obok stawu na Bugłowiznie, a w centrum osiedla ulice ks. Poświęcucha i Żelazna.

Dom Emanuela od szkoły dzieliły ponad 3 kilometry. Pierwsza jego Volksschule znajdowała się w okolicach obecnego Centrum Rozrywki „Punkt 44” przy ulicy Gliwickiej,



„Boża Męka” w Załęskiej Hałdzie, fot. internet

opodal skrzyżowania z Pościecha.

Jeszcze do roku 1872 zajęcia prowadzili tam nauczyciele władający językiem ojczystym. Potem na lekcjach obowiązywał wyłącznie niemiecki. Rodzice Emanuela uczęszczali do szkół ludowych, w których dzieci z nauczycielem rozmawiały po polsku. Rok przed urodzinami syna Niemcy proklamowali II Rzeszę. Kilkanaście miesięcy później kanclerz Bismarck wypowiedział wojnę duchowieństwu Kościoła katolickiego. Najpierw spod jego nadzoru wypreparował szkolnictwo, a następnie ze szkół i katolickich świątyń zaczął rugować język polski. Dziadkowie i rodzice mówili, że to wojna Prusaków przeciw katolikom Górnoszlązakom gadającym po polsku.

Do pruskiej szkoły ludowej Emanuel zaczął uczęszczać w 1879 roku, kiedy mówiło się tam już jedynie po niemiecku. Ukończył ją w 1885.

### Gimnazjum przy Grundmańskiej

Jako zdolny uczeń został przyjęty do katowickiego gimnazjum klasycznego. Jego fronton znajdował się od strony ówczesnej ulicy Grundmańskiej (dziś 3 Maja), natomiast okna szkolnej auli i tak zwana „mała brama” prowadząca na podwórka wychodziły wprost na fasadę starej żydowskiej bożnicy, skąd niesły się śpiewy i modły pobożnych Izraelitów.

Od załęskiej podstawówki dzieliło je niecałe tysiąc metrów, ale jego gmach był usytuowany już po drugiej stronie granicy wytyczonej pomiędzy Gminą wiejską Załęże a miastem Katowice. Widowym wyróżnikiem podziału administracyjnego i swego rodzaju przeszkodą terenową był strumień

Osiek i szlaban bocznicy kolejowej, często opuszczany w poprzek drogi dziś zwanej ulicą Gliwicką. Gdy kolejarze przetaczali wagony, Emanuel spóźniał się na lekcje.

Na czesne i inne wydatki związane z kształceniem zarabiał korepetycjami. Po lekcjach odwiedzał księgarnie. Najpierw oglądał witriny Siwinny, Giertha i Kraussa potem wstępował do ich wnętrza pachnącego farbą drukarską, aby przejrzeć lub kupić najnowsze wydanie „Katolika”, drukowanego w Mikołowie przez Karola Miarkę. Najbardziej bażyły go „Pieśni zabawne dla Kółek wesołych polskich Górnoszlązaków” autorstwa ks. Rudolfa Lubeckiego. To były przeboje tamtych czasów. W 1884 roku ukazało się ósme wydanie rozchwytywanego śpiewniczka.

W 1890 roku Emanuel wstąpił do zakonspirowanej Organizacji Młodzieży Szkół Średnich w Katowicach. Jej dyskretnymi opiekunami i tutorami byli o kilka lat starsi Ślązacy studiujący na wrocławskich uczelniach. Do roku 1884 duchowym przewodnikiem i serdecznym druhem polskich gimnazjalistów był ks. Rudolf Lubecki, wikary kościoła Mariackiego, a po roku 1889 ks. Aleksander Skowroński, młody, niespełna trzydziestoletni ksiądz i poeta, po latach czyszczący się sławą niezłomnego patrioty, a wtedy wikary w królewscohuckich parafii – najpierw św. Barbary, a następnie w parafii św. Jadwigi (obecnie: Chorzów). Jak wielki wpływ warwał na polskich gimnazjalistów, świadczy wspomnienie Wojtka Korfanteo:

„Gdy ks. Skowroński\* mówił o Polsce, oczy błyszczały nam, serca się rozgrzewały pod wpływem słów pełnych wiary, że Polska będzie, a my wszyscy ją budować musimy”.

O rok starszym kolegą Emanuela był Franek Skiba, wnuk legendarnego sołtysa Katowic i pupilek księdza Lubeckiego, a o rok młodszym – Wojtek Korfanty z siemianowickich Sadzawek – najmłodszy z nich – jedenastoletni Kostek Wolny z mikołowskiego Bujakowa, gimnazjalista został w 1888 roku. Każdy z nich uczył się w innej klasie. Spotykali się na pauzach, a na dłuższe spotkania – poza szkołą. Należeli do tajnego kółka polskiego, którego duchowym

przewodnikiem był ks. Aleksander Skowroński. Po kilku latach, cała czwórka i kilkoro innych przyjaciół jako studenci spotkali się we Wrocławiu. Tam także brali udział w pracach sekretnych stowarzyszeń polskich akademików.

W Katowicach miejscem ich koleżeńskich schadzek były domowe pielesze kolegów lub stacje, które wynajmowali. Niewykluczone, że znajdowały się gdzieś opodal – na Załęskiej Hałdzie u Twórzów pod numerem 27. Tam mogła być ukryta starannie zamaskowana mansarda, o której po latach Korfanty wspominał:

„Długie godziny spędzaliśmy w pokoiku szczytowym jednego z kolegów, na odludnym przedmieściu, radząc nad sposobem zbliżenia się do naszych nieuświadomionych narodo-wo kolegów”.

W tajemnym schowku przechowywali podniszczony egzemplarz „Pana Tadeusza”. Dla lepszego zrozumienia poematu czytali ze słownikiem polsko-niemieckim pod ręką. Mankiety swoich koszul zdobili spinkami z polskim orłem. Ten sam emblemat mieli na szpilkach wpinanych do krawata. Było ich siedmiu. Głowili się jak zjednać sympatię i zdobyć zaufanie młodszych gimnazjalistów.

„Męczyła nas myśl, jak wzbudzić w nich uśpioną duszę polską i jak pozyskać ich dla polskości” – wspominał Wojciech Korfanty.

Na Wielkanoc 1894 wśród ośmiu maturzystów gimnazjum klasycznego znalazł się Emanuel Twórz. Był jedynym Polakiem wśród niemieckich i żydowskich kolegów. Dwóch z nich studiowało teologię, jeden górnictwo, a czterej zostali prawnikami. Lista absolwentów ocalała w sprawozdaniu szkolnym.

### „W nas i przez nas Polska żyje”

Wiosną 1894 roku Emanuel rozpoczął studia na wydziale teologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Zamieszkał w konwiktie biskupim. Nawiązał znajomości z rodakami z kręgu tutejszej Polonii. Spotykali się w lokalu na Wzgórzu Polskim nad średniowieczną fosą przy obecnej ulicy No-



„19 południk” aleja Planetarium w Parku im gen Ziętka

fot. Mateusz Szczepaniński

wej. Tam miało siedzibę Towarzystwo Polskich Przemysłowców, którego prezesem był mistrz szewski Józef Wojczewski, wybitny działacz narodowy, hojny filantrop młodych gimnazjalistów i akademików polskiego pochodzenia.

Dnia 21 lipca tego samego roku Emanuel z Katowic znalazł się w gronie założycieli wrocławskiego gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Ogrodziński w „Dziejach Dzielnicy Śląskiej „Sokoła”, (Katowice 1937), odnotował:

„Członków na pierwszym zebraniu było 43, w ciągu następnego półroczu przybywało ich i ubywało kilkunastu, tak, że ogółem do dnia 1 lutego 1895 r. wpisano 62, liczono zaś dnia 1 lutego członków 51. Prezesem był fabrykant Marian Hubiński, naczelnikiem jego buchalter Paweł Harkiewicz, a pomagał mu akademik Górnoślązak Emanuel Twórz”.

Tak oto student teologii Emanuel Twórz z Załęskiej Hałdy przeszedł do historii jako pierwszy Górnoślązak, który stanął w szeregach polskiej braci sokolej.

W 1894 roku księgozbiór ich biblioteki składał się zaledwie z 15 dzieł literackich polskich autorów, stanowiący dar druhów ze Lwowa. Regularnie prenumerowali wydawany tam „Przewodnik gimnastyczny”. Dopóki nie mieli sprzętu organizowali piesze wycieczki i uprawiali ćwiczenia wolne. Potem trenowali na urządzeniach wypożyczonych przez przyjaciół z gniazda wielkopolskiego. Emanuel karierę sportową rozpoczął jako zastępca nauczyciela gimnastyki.

Pierwszy krajoznawczy wypad zorganizowali za południowe rubieże wielkiego Wrocławia. Wyruszyli na szlak słowiańskich pamiattek. Idąc wzdłuż rzeki Ślęzy zwiedzili Partynice, Bielany i Domasław, a tam dwa wiekowe, katolickie kościołki – św. Wojciecha i św. Andrzeja. Majestatyczny szczyt Śląskiego Olimpu mieli jak na dłoni. Ale jego zdobycie odroczyli do następnej wyprawy.

W czerwcu 1896 roku na uroczystym Zlocie Sokolstwa Polskiego w Krakowie Emanuel Twórz stanął na podium zwycięzców. Zdobył II nagrodę – medal i „srebrną gałązkę oliwną” za ćwiczenia gimnastyczne. W poniedziałek rano – 29 czerwca 1896 roku – podczas mszy świętej w kościele Mariackim, w której uczestniczyli druhowie ze wszystkich trzech zaborów i goście z Ameryki, ekipa wrocławska wzięła udział w poświęceniu sztandaru swego gniazda. Wypisali na nim „Czołem Ojczyźnie!”. Podczas uroczystości został też poświęcony sztandar gniazda krakowskiego.

TG miało charakter demokratyczny. Było zapowiedzią wielkiego przełomu w narodowej obyczajowości. „W skład jego bowiem weszli przedstawiciele wszystkich stanów: szlachta, synowie mieszczańscy, chłopscy i robotniczy, przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy i robotnicy, studenci uniwersyteccy, czeladnicy rzemieślniczy i pomocnicy kupieccy, słowem wszystko, co czuło w owym czasie po polsku, a interesowało się życiem narodowym, skupiało się w Sokole wrocławskim”. – wspominał rówieśnik Emanuela i jego serdeczny kolega – Jan Jakub Kowalczyk z Krzyżowic opo-

dal Pszczyny. „Ideały w życiu praktycznym Sokolstwa” (Sokół na Śląsku 1936)

Dowodem radykalizmu i determinacji druhów gniazda wrocławskiego może być wspomnienie wieczornicy zorganizowanej 3 lutego 1895 r. „Rozdano na niej publiczności kartki z orłem polskim i mottem Ludwika Wolskiego: „W nas i przez nas Polska żyje, nasze dłonie, a nie czyje, mogą zgubić ją. Czołem Ojczyźnie, szponem wrogowi!”.

### Zapragnął być lekarzem

Po zaliczeniu pierwszego roku teologii kleryk Twórz zmienił kierunek studiów. 30 października 1895 r. zapisał się na wydział medycyny Uniwersytetu Wrocławskiego. Po czterech latach, dnia 1 sierpnia 1900 r. złożył egzaminy i otrzymał dyplom. Był stypendystą Rady Miłośławskiej, której przewodził i orędowną sławny wielkopolski filantrop, prawnik i poeta Józef Kościelski (1845–1911). Jego podopiecznymi byli także Jan Kasprowicz i Wojciech Korfanty. Rada zapewniała zapomogi kształcącej się młodzieży z Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Śląska.

W ciągu 6 lat studiów Emanuel wciąż był czynny w polskim ruchu akademickim. Nie zaniedbując pracy na rzecz wrocławskiej Polonii i tamtejszego gniazda „Sokoła”, bez przerwy od 1894 roku należał do Towarzystwa Akademików Górnoślązaków (TAG), a w latach 1896–1897 był prezesem tej organizacji. Wcześniej prezesurę piastowali Franciszek Skiba i Jan Jakub Kowalczyk.

Polscy korporanci międzywydziałowego TAG kultywującego tradycje wileńskich filaretów występowali w barwach biało-czerwono-zółtych, a przy dewizkach nosili gołdo z białym orłem. Najważniejsze były dla nich zajęcia samokształceniowe w zakresie doskonalenia języka ojczystego. Rozmawiali i dyskutowali o rodzimej literaturze i wygłaszali referaty.

W 1896 roku student medycyny Emanuel Twórz referował temat: „J. I. Kraszewski i jego stanowisko w powieściopiśmiennictwie polskim”, w następnym roku mówił na temat: „Pogląd na powiat katowicki”, a jeszcze w 1901 jako absolwent dzielił się refleksją: „Walka Polaków z Krzyżakami”.

O tamtych latach inspirowanych mickiewiczowskim „młodości ty nad poziomy wzlatuj...”, tak napisał w swoim osobistym wspomnieniu:

„...praca w TAG miała za główne zadanie naukowo-oświatowe cele. Jeden z kolegów kierował nauką (przez dłuższy czas Piotr Hylla). Każdy członek TAG musiał od posiedzenia do posiedzenia nauczyć się zadanej lekcji z gramatyki i historii polskiej, a kierownik egzaminował z zadanej lekcji. Czytać i pisać po polsku prawie że każdy już umiał i w tym musiał się doksztalać sam. Te zadania zajęły główną część naukową, bo co rok przybywał surowy narybek [...]”.

Po skończonej części naukowej odbywały się fidułki. Były one huczne i wesołe, bo Ślązak lubi śpiewać. Nauczaliśmy się mnóstwo pieśni studenckich i ludowych oraz narodowych. Nie wzorowaliśmy się na pijackim ko-

mersie niemieckich burszów [...]. Fidułkami przewodził ktoś z lubianych i energicznych starszych kolegów, który miał władzę nad całym gremium, a do pomocy nad niesfornymi młodszymi miał na przeciwległym szarym końcu stoła kogoś drugiego. Na te fidułki przybywali prawie gremialnie i regularnie koledzy z Wielkopolski, zrzeszeni w towarzystwie «Concordia» [...]” (Z listu dr E. Twórz do Franciszka Szymiczka z r. 1946. Za: F. Szymiczek, *Stowarzyszenia akademickie polskiej młodzieży górnośląskiej we Wrocławiu 1863–1918*. Z przedmową Seweryna Wyśloucha, Wrocław, Ossolineum 1963).

„Wspomnieć mi przy tej okazji wypada, że jeszcze na uniwersytecie studiowaliśmy pilnie w naszym Kole zetowem wszystkie numery Przeglądu Wszechpolskiego, londyńskiego Przedświtu socjalistycznego i Teki. Prowadziliśmy nad artykułami tych pism zasadnicze dyskusje, uzgadniając w ten sposób nasze na sprawę poglądy i pogłębiając zasady demokratyczno-narodowe” – pisał późniejszy prawnik (Jan Jakub Kowalczyk, *Odrodzenie Górnego Śląska*, Katowice 1932).

Arogancko i prowokacyjnie swoją niechęć do Polaków manifestowała niemiecka studenteria. Opis jednego z takich zająć odnajdujemy we wspomnieniowej korespondencji, sędziwego już doktora Emanuela Twórz napisanej w 1946 roku:

„Zatargi ze studentami niemieckimi były; Miałem też i ja taki zatarg coś w r. 1898. Siedzimy w bardzo porządnym lokalu Augustinerbrau przy Junkernstrasse przy piwie. Było nas kilku starszych studentów Polaków. [...] Oczywiście mówimy po polsku. Obok siedzą niemieccy „Raczek” w białych czapkach („Die Raczek’s” jedna z niemieckich korporacji studenckich). Naraz słyszę: „Hoch lebe Bismarck! Wer polnisch spricht, ist ein Lump” (Niech żyje Bismarck! Kto mówi po polsku jest lumpem).

Wstaję spokojnie, idę do gospodarza lokalu, pytam się, jakim językiem wolno u niego mówić, czy po francusku, mówi tak, czy po polsku, mówi też tak. Wobec tego proszę go, by wyprosił z lokalu burszów. Gospodarz nolens wolens wyprosił burszów. Ja ze swoimi wychodzę za nimi i pytam się, który z nich odezwał się w wyżej podany sposób. Konsternacja. Wreszcie jeden mówi: „Vielleicht ich?” Spoliczkowałem Niemca. Zjawił się policjant. Wylegitymowałem się. Zjawili się potem u mnie sekundanci. Lecz gdy według zwyczaju akademików Polaków we Wrocławiu podałem jako broń pistolety, skrewili”.

Wpływowym i zdeklarowanym wrogiem TAG była wrocławska kuria biskupia, z księciem biskupem kard. Georgiem Koppem na czele oraz sprzymierzona z nią partia centrowa. Jej aktywiści szerzyli pogłoski, że akademicy górnośląscy „odwracają się od wiary, nie wypełniają praktyk religijnych, sprzyjają agitacji tzw. wielkopolskiej, ba, podobno nawet dają posłuch podszeptom socjalistów”.

Krzywym okiem na taką organizację baczyl biskup kardynał Kopp. W 1899 na jego polecenie studenci musieli rozwiązać swoje towarzystwo. ■

# „Łucja z Lammermoor” w wirtualnej przestrzeni

WIESŁAWA KONOPELSKA

**Ogromnym wysiłkiem solistów, zespołów artystycznych, jak też licznego grona realizatorów, Opera Śląska w Bytomiu przygotowała swoją najnowszą premierę – wznowienie sceniczne perły epoki belcanta, arcywymagającej „Łucji z Lammermoor” Gaetano Donizettiego.**

**5 grudnia minionego roku publiczność po raz pierwszy zasiadła nie na widowni, lecz przed monitorami komputerów, bądź ekranami telewizorów, by uczestniczyć w tym niezwykłym, transmitowanym na internetowym kanale YouTube spektaklu.**

**M**agnesem, który przyciągnął – jak się okazało – ponad pięćdziesiąt tysięcy widzów byli przede wszystkim soliści: Gabriela Gołaszewska w roli tytułowej, Łukasz Załęski jako Edgar oraz Stanisław Kuflyuk kreujący partię Enrica czyli Henryka Ashtona.

Szczególne zainteresowanie wzbudzała Gabriela Gołaszewska – laureatka XIV Teatralnych Nagród Muzycznych im. Jana Kiepury w kategorii „Najlepsza śpiewaczka operowa 2019 roku”. Obdarzona subtelnym, lirycznym sopranem o wielkiej skali i pięknej koloraturze, ale także talentem aktorskim, podbiła serca melomanów. Od pierwszej chwili pojawienia się na scenie zachwycała subtelnością, zjawiskowością i wirtuozerią, z jaką pokonywała karkołomne pułapki wokalne czyhające na wykonawcę, zastawione przez twórcę tego dzieła. Punktem kulminacyjnym jej umiejętności wokalnych była scena obłędu Łucji, wykonana rewelacyjnie, a przy tym niezwykle przejmująco i przekonująco. Dramatu tej tragicznej scenie dodały przeszywające, pochodzące jakby nie z tej ziemi, dźwięki wydobywane z harmoniki szklanej (niem. Glasharmonika) – instrumentu po raz pierwszy wykorzystanego w Polsce, lecz zapisanego w oryginalnej partyturze przez kompozytora. Podczas bytomskiej premiery dźwięki ze szklanych cylindrów po mistrzowsku wydobywała Christa Schönfeldinger z Wiednia. Całości sceny dopełniła świetlista scenografia i oplatający Łucję czerwony płaszcz, którym otuliła się po zabójstwie podstępem poślubionego Artura (w tej roli wystąpił Adam Soberajski). Biała suknia Łucji splamiona krwią zdawała się być jak koszula Dejaniry, która doprowadziła ją obłędu i ostatecznie do samobójstwa.

Znakomicie z partii Edgara wywiązał się także Łukasz Załęski, który w 2020 roku został laureatem pierwszej nagrody I Ogólnopolskiego Konkursu Wokalnego im. Bogdana Paprockiego. Wprawdzie na zaprezentowanie swoich możliwości wokalnych i aktorskich potrzebował chwili czasu, ale potem, do koń-

ca spektaklu poprowadził odtwarzaną postać brawurowo i znakomicie pod względem muzycznym i wokalnym.

Na wielkie słowa uznania zasłużył także znany nie tylko bytomskiej, ale i międzynarodowej publiczności, Stanisław Kuflyuk w roli Enrica (Henryka Ashtona). Dobity, mocny baryton tego artysty i perfekcyjne wykonanie sprawiły, że postać Enrica była dynamiczna, zdecydowana, lecz na wskroś przesiąknięta złością.

W obsadzie spektaklu znaleźli się także Zbigniew Wunsch (Rajmund), Anna Borucka (Alicja) i Grzegorz Biernacki (Norman).

Kierownictwo muzyczne sprawował i premierowy spektakl poprowadził Franck Chastusse Colombier.

Spektakl będący wznowieniem scenicznym z 2008 roku wyreżyserował Bert Bijnen, autorem scenografii był Marc Thurow, a kostiumy zaprojektowała Zana Bosnjak.

Przyznać trzeba, że ma Opera Śląska szczęście do „Łucji z Lammermoor”, a zwłaszcza do obsady pierwszoplanowych postaci. 60 lat temu, 29 kwietnia 1960 roku u boku wybitnej śpiewaczki Natalii Stokowackiej stanął debiutujący tenor Henryk Grychnik. Było to wielkie wydarzenie w dziejach bytomskiej sceny. Tak wspaniałego duetu mogły pozazdrościć inne teatry. Grychnik podbił serca melomanów aksamitną barwą głosu i nieskazitelną interpretacją, wielką wrażliwością i wyczuwaniem muzycznym. Wielki talent obok świeżą tryumfy primadonny. Trudna i wymagająca partia Edgara pozwoliła Grychnikowi nie tylko zabłysnąć tego wieczoru, ale też była znakomitym zadaniem na późniejszą karierę śpiewaczki tego artysty.

O swoim debiucie w „Łucji z Lammermoor” w Operze Śląskiej wspominał Henryk Grychnik podczas ostatniego w 2020 roku, grudniowego spotkania z cyklu „Porozmawiajmy o operze” w rozmowie z redaktorem Violetta Roter-Kozerą emitowanego na kanale YouTube przez Telewizję Katowice.

Niespełna dwa miesiące po premierze, 24 czerwca na scenie bytomskiej opery pojawił się inny debiutant – Wiesław Ochman, będący w zespole Opery zaledwie od 1 maja tegoż roku, któremu podobnie jak wcześniej Grychnikowi, powierzono partię Edgara. Zjawiskowy głos i rewelacyjna kreacja otwarły mu drogę do brawurowej kariery zwieńczonej wieloma sukcesami w wymarzonej nowojorskiej Metropolitan Opera na i wielu innych znakomitszych i prestiżowych operowych scenach świata.

Nic dziwnego, że kolejne przedstawienia cieszyły się ogromnym powodzeniem nie tylko wśród bytomskich melomanów. „Łucja...” była wystawiona 141 razy, sta-

jąc się jednym ze sztandarowych przedstawień Opery Śląskiej. Dodać trzeba, że spektakl wyreżyserowała Halina Dzieduszycka. Ta kameralna w gruncie rzeczy opera Gaetano Donizettiego – mistrza belcanta świetnie się nadawała do prezentacji na scenach Cieszyna czy Dąbrowy Górniczej, dokąd regularnie zajeżdżała.

Minęło 48 lat, kiedy to po raz kolejny przystąpiono do przygotowania nowej premiery „Łucji z Lammermoor”. Odbyła się 26 marca 2008 roku. Tym razem jakże odmienny był zamysł inscenizacji tego niezwykłego dzieła. Jego realizację powierzono Bertowi Bijnenowi reżyserowi związanemu z Holenderską Operą Narodową. Oprawę scenograficzną stworzył Marc Thurow, a kostiumy zaprojektowała Zana Bosnjak. Powodem umiędzynarodowienia tego przedsięwzięcia była chęć stworzenia „eksportowego” przedstawienia, które z łatwością mogło być eksponowane podczas trasy koncertowej bytomskiego zespołu po Europie.

Z tamtej premiery należy przywołać wykonawców głównych partii: Karinę Skrzyszewską-Gluch (Łucja), która za tę kreację otrzymała Złotą Maskę 2008 i Mariusza Godlewskiego (Henryk Ashton). Partię Edgara wykonał Sergey Drobyshevsky.

Mając w pamięci premierę z 2008 roku i tę najnowszą – transmitowaną w internecie – rzecz można, że żal było ciszy na widowni, którą zamiast widzów wypełniła orkiestra, brakowało żywiołowych reakcji na kolejne pięknie wykonywane arie czy duety, unoszącej się wielokrotnie w górę kurtyny, rozmów w antrakcie – słowem tego wszystkiego, co zwykle towarzyszy premierowym przedstawieniom. Musiał je zastąpić bieżący czat, wpisywane na bieżąco komentarze i niezawodne ikonki i emotikony – jakże wpisane już w nasze codzienne życie lub e-życie.

Całe to niezwykle przedsięwzięcie miało jednak swoje dobre strony – w przerwie był czas na prezentację harmoniki – fascynującego instrumentu, można było zobaczyć pracę ekip realizujących transmisję na 9 kamer i 108 mikrofonów, pracę techników i wysłuchać, co nam mają do powiedzenia wykonawcy, na których czekało o wiele większa niż w teatrze publiczność – jak wyliczono, to widownia jednej premiery pomnożona 14 razy!

Czy internetowe transmisje premier wejdą na stałe do katalogu ofert Opery Śląskiej? Być może czas pandemii, jaki przeżywamy, mimo wszystkich swych złych skutków, wzwołał nową energię? Ten egzamin Opera Śląska zdała nadzwyczajnie! ■

(zdjęcia ze spektaklu na tylnej stronie okładki)

Pięć lat temu, 21 stycznia 2016 roku, zmarł w Warszawie Bogusław Kaczyński, pochowany w Alei Zasłużonych na warszawskich Powązkach. Pochodził z pięknego miasta Biała Podlaska. Jego mama, Julia z domu Dołęgowska – elegancka i serdeczna kobieta, zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. Ojciec Jan Kaczyński był miłośnikiem kultury antycznej i muzyki. Udzielał synowi lekcji gry na domowym pianinie. Po raz pierwszy Bogusław wystąpił publicznie, gdy miał niecałe 4 lata. Ukończył Szkołę Muzyczną w Białej Podlaskiej. Jeździł na lekcje fortepiano do Warszawy, do cenionego pianisty i pedagoga Pawła Lewieckiego. W 1964 r. uzyskał dyplom ukończenia Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina w stolicy.

Dlaczego jednak Bogusław nie został koncertującym pianistą? Po poważnej kontuzji dłoni z powodu wielogodzinnej gry na instrumencie, postanowił zakończyć ten etap działalności twórczej. W 1971 r. ukończył z wynikiem bardzo dobrym studia w zakresie teorii muzyki w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie (obecnie Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina) na Wydziale Kompozycji, Teorii i Dyrygentury.

Kariere telewizyjną rozpoczął od prowadzenia cyklu programów muzycznych, w których grał równocześnie na fortepianie. Mimo iż audycje były bardzo dobrze odebrane przez melomanów, kierownictwo TVP zakończyło z nim współpracę. W 1974 r. dyrektorem Ośrodka Radia i Telewizji w Poznaniu został Zbigniew Napierała, który zaangażował Bogusława i umożliwił mu tworzenie cyklicznych programów, m.in. „Operowego qui pro quo”, „Zaczarowanego świata operetki” i „Rewelacji miesiąca”, uznanych za najpopularniejsze audycje w historii telewizji. Kiedy w 1986 roku Zbigniew Napierała został dyrektorem TVP 2, Bogusław zaczął pracować na Woronicza. Prowadził transmisje telewizyjne z najważniejszych wydarzeń muzycznych jak: Konkurs Chopinowski, koncerty Pavarotti i Domingo, Koncerty Noworoczne z Wiednia, Konkurs Wieniawskiego, Konkurs Piosenki Eurowizji. Występował też w stacjach telewizyjnych za granicą, m.in. w Nowym Jorku, Berlinie, Rzymie, Hawanie, Paryżu i Moskwie.

Był twórcą Festiwalu Muzyki Łańcut i jego dyrektorem przez 10 lat (1980–1990). Zapraszał tam słynne śpiewaczki operowe (m.in. Setę del Grande, Katię Ricciarelli) i gwiazdy piosenki (m.in. Juliette Gréco, Gilbert Bécaud). Od 1984 do 2011 r. pełnił funkcję dyrektora Festiwalu im. Jana Kiepury w Krynicy-Zdroju, przemianowanego w 2003 r. na Europejski Festiwal im. Jana Kiepury. Występowały tam wielkie gwiazdy z Polski i zagranicy oraz teatry i filharmonie, m.in.: Lwowski Teatr Opery i Baletu, Opera Śląska, Gliwicki Teatr Muzyczny, Teatr Muzyczny w Łodzi, Filharmonia Śląska i Filharmonia Zabrzeńska. Był często zapraszany za granicę. Jeździł z ulubionymi ar-



## Bogusław Kaczyński – mistrz z Białej Podlaskiej

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

tystami i prowadził koncerty w Europie, USA i Kanadzie. Jego żoną była malarka Jadwiga Maria Jarosiewicz, z którą rozwiódł się po 5 latach małżeństwa.

Przez 3 lata był prorektorem Akademii Muzycznej w Warszawie, a przez 4 lata (1994–1998) – dyrektorem Teatru Muzycznego „ROMA” w Warszawie. Przekształcił tę instytucję artystyczną na wzór nowojorskiej City Opera i wiedeńskiej Volksoper. Był również dyrektorem artystycznym Katowickich Spółek Opery, Baletu i Operetki oraz prowadził w Sali Kongresowej w Warszawie cykl widowisk muzycznych, operetkowych i musicalowych „Bogusław Kaczyński zaprasza”, zainicjowany i organizowany przez łódzki impresariat PROMOTON Barbary Kaczmarkiewicz. Zespół Gliwickiego Teatru Muzycznego prezentował tam spektakle, a także widowiska muzyczne, które miałem przyjemność reżyserować i prowadzić.

Był niesamowicie popularny: otrzymał m.in. 3 Wiktory oraz Super Wiktora za całokształt twórczości telewizyjnej. Odebrał też trzykrotnie „Złoty Ekran”. W plebiscycie tygodnika „Polityka” znalazł się w pierwszej dziesiątce największych osobowości telewizyjnych XX wieku. Został uhonorowany tytułem Mistrza Mowy Polskiej. Z okazji 50-lecia TVP otrzymał honorową statuetkę „Gwiazda Telewizji Polskiej”. Otrzymał również honorowe oby-

watelstwa Białej Podlaskiej, Krynicy-Zdroju, Łańcuta, Lipna i Buska Zdroju.

We wrześniu 2020 roku, mimo pandemii, dzięki prezydentowi Białej Podlaskiej Michałowi Litwiniukowi i dyrektorowi Białskiego Centrum Kultury Zbigniewowi Kapeli, a także radnym, sponsorom, mecenasom i społecznikom udało nam się zorganizować kolejny Festiwal im. Bogusława Kaczyńskiego, którego jestem dyrektorem artystycznym, a Fundacja ORFEO – współorganizatorem i sponsorem. Miałem wielką przyjemność wyreżyserować i poprowadzić widowisko muzyczne „Śnić sen” w ramach wieczoru „Zaczarowany świat operetki i musicalu”, a Łukasz Lech przygotował widowisko „Zakochani w operetce”, wystawione przez Mazowiecki Teatr Muzyczny im. Jana Kiepury. Wystąpili wspólnie artyści, m.in.: Małgorzata Długosz, Iwona Socha, Mateusz Deskiewicz, Zbigniew Macias, Jakub Milewski, Jakub Oczkowski oraz zespół baletowy i orkiestra MTM pod dyktando Mieczysława Smydy, a także Kwartet „Chwilka” z Białej Podlaskiej. Pokazaliśmy też w ramach festiwalu spektakl historyczny „Jako królowej Marysieńki” Jacka Daniluka w wykonaniu Teatru Słowa działającego przy BCK, w reżyserii Danuty Szaniawskiej. Przygotowujemy już kolejny festiwal, tym razem wspólnie z Teatrem Muzycznym w Lublinie i Operą Lwowską. ■

# Opowieść o trzech książkach

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

**D**zięki przyjacielowi, łodzianinowi Jackowi Szerszenowiczowi, z którym znamy się od połowy lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, poznałem kilkoro cudownych osób związanych z tamtejszą uczelnią muzyczną. Szerszenowicz, pierwszorzędnny muzykolog, autor wyczerpującej pracy, której tytuł mówi sam za siebie: *Inspiracje plastyczne w muzyce* (Łódź 2008): ponad sześćset stron, lecz nie o ilość stron tu chodzi tylko o serię błyskotliwych analiz dzieł plastycznych i korespondujących z nimi emanacji dźwiękowych, umożliwił mi kontakt m.in. z Martą Szoką (książka teje o amerykańskim kompozytorze George'u Crumbie jest według mnie najlepszą, jaką w jakimkolwiek zachodnim języku napisano na temat tego twórcy; wiem, bo sam kilkakrotnie o nim w obcych językach pisałem); śp. Bronisławem Kazimierzem Przybylskim (1941–2011), człowiekiem, któremu należy się miejsce na Parnasie kompozytorów i kompozytorów polskich oraz Ewą Kowalską-Zajęc, kompozytorką, muzykolożką, teoretyczką o szerokich horyzontach intelektualnych. O niej chcę dzisiaj mówić, bo postać to nad wyraz interesująca.

Ludziom wszystko można wmówić, o czym wiedza politycy, handlowcy i krytycy sztuki. Z politycznej klęski robi się sukces; z przeciętnego wyrobu coś, bez czego żyć nie można; umiarkowanie utalentowany muzyk staje się geniuszem. W czasach dzisiejszych trzeba wiele odpowiedzialności i uczciwości, by zachować twarz bez popadania w kompromitujący banał kłamstw i upiększeń. Dotyczy to również tych, których zadaniem jest omawianie, interpretacja sztuki na najwyższym, naukowym poziomie. Jakże łatwo o deformacje rzeczywistości, jakże łatwo o propagowanie artystycznych iluzji. Ewa Kowalska-Zajęc to – przyjemnie tak powiedzieć – badaczka o unikalnych kwalifikacjach moralnych oraz zawodowych. W dziele muzykologicznym zawsze szukam prawdy. Może jest to „moja” prawda, prawda jaką pragnę widzieć osobiście, jednak z całych sił staram się przewyciężyć wszelkie możliwe – nawet te, co celowo podkreślam, nieuświadomione – uprzedzenia, o czym mam nadzieję świadczą też pisane przeze mnie teksty.

W dziele Ewy dostrzegam ten, jak gdyby wymarzony obiektywizm, umiejętność omijania nieprzyjemnie pachnących baj-

rek środowiskowych zobowiązań i uzależnień; potrafi ona ładnie i wstrzemięźliwie pisać o wszelkich interesujących ją zjawiskach, co jest samą w sobie szkołą solidnego muzykologicznego podejścia do wybranych tematów. Jej teksty to przykłady jak należy tę dyscyplinę uprawiać i jak pyszne są wyniki podejścia, w którym obiektywizm, już u podstaw badawczego procesu założony, odgrywa rzadką rolę.

Mnie imponuje jako pionierka.

Zacznijmy od jej pierwszej książki, której dana była mi przyjemność przeczytania i przemyślenia: *Oblicza awangardy: Roman Haubenstock-Ramati* (Łódź 2000). Ta praca jest pierwszą w historii polskiej muzykologii monografią poświęconą temu polsko-żydowskiemu kompozytorowi (1919–1994), który jako młody człowiek przetrwał czas Holocaustu i osiągnął pozycję czołowego innowatora europejskiej awangardy. Aż dziw bierze, że tyle lat trzeba było czekać na książkę o tym ognisku twórczej wyobraźni, którym był Haubenstock. Zmuszony okolicznościami opuścił Polskę po wojnie. Osiadł w Izraelu, gdzie jednak było mu „za ciasno”, życie – interesujące i tak bogate w dzieła niebagatelne – zakończył w Austrii. Książka Ewy Kowalskiej-Zajęc pozwala nam zrewidować pokutujące na temat Haubenstocka stereotypy, nawet informacje błędne. Ważne wszak, że otrzymujemy w tej pracy całą skalę ocen jego utworów, wspartych dogłębnyimi analizami i przykładami nutowymi.

Kolejną książką jest trochę dziwnie zatytułowana *XX-wieczny kwartet smyczkowy w twórczości kompozytorów polskich – przemiany, nurt, idee* (Łódź 2005). Piszę „dziwnie zatytułowana”, bowiem zbitki takie jak „XX-wieczny” chyba nie mają racji w polskiej gramatyce. Jak zwał tak zwał, a praca znakomita! Autorka poświęca dużo uwagi kompozytorom śląskim, kwartetom H.M. Góreckiego, Eugeniusza Knapika, Aleksandra Lasonia (stosunkowo niewiele o Witoldzie Szalonku) – docenia wyjątkowość tych kompozycji, a także ich wkład w rozwój polskiej twórczości kwartetowej. O ile ja chciałbym osobne potraktowanie *Transgressio* Barbary Buczkówny – to faktycznie jest dzieło niespotykane w polskiej muzyce, o tyle doceniam obszar muzykologicznych dociekań autorki.



Ewa Kowalska-Zajęc

Wreszcie jej *opus magnum*, czyli *Zobaczyć muzykę. Notacja polskiej partytury współczesnej* (Łódź 2019). Wszyscy z nas, zainteresowanych Nową Muzyką, powinni posiadać ten tytuł w swoich zbiorach. *Zobaczyć muzykę...* to absolutne kompendium wiedzy o muzycznej notacji i jej modyfikacjach w polskiej muzyce. I tutaj dużo miejsca poświęciła autorka kompozytorom śląskim, a szczególnie cieszy obecność Witolda Szalonka jako jednego z najbardziej twórczych kompozytorów aktywnych w naszym regionie, twórcy indywidualnych systemów notacyjnych dla instrumentów dętych drewnianych, blaszanych, klawiszowych i smyczkowych. Zapewne ja, gdybym napisał taką książkę, poświęciłbym Szalonkowi więcej miejsca, jak również wysoce oryginalnym dziełom Marka Chołoniewskiego, Kazimierza Pyzika, czy Józefa Rychlika, nie mówiąc już o Annie Maciejasz-Kamińskiej, ale dzieło Ewy Kowalskiej-Zajęc ujmuje problematykę nowej notacji całościowo, a w muzyce polskiej tyle jest rzeczywiście zjawisk w tej sferze nietypowych, iż trudno w ogóle krytykować nadmiar tego, a nie-dobór tamtego.

Książka Ewy jest najpełniejszym studium nowej notacji na gruncie polskiej muzyki, studium niecodziennym nawet w kontekście zaawansowanych prac zachodnich. Mam nadzieję, że będą kolejne wydania, w których autorka poszerzy wachlarz analizowanych partytur. Chciałbym tam widzieć więcej uwagi poświęconej partyturom m.in. Mariana Borkowskiego, Zygmunta Wiszniewskiego, ba, Ślązak Ernest Małek stworzył interesujące partytury w tym oryginalny *Canon aenigmaticus*, którego partyturę warto przytoczyć. Jak w każdej pionierskiej pracy jest tam miejsce na więcej.

ukończyła pracę nad powyższą książką napisała mi, że trochę odpocznie, a potem rzuci się w wir pracy nad kolejnym projektem. Doczekać się nie mogę!

**Wszystko, co zaraz nastąpi***Dla B.*

Nie będzie zdrady  
większej niż ta,  
która jest.

Nie oddasz mi już  
nic więcej niż Wszystko,  
które zabrałaś tamtemu mężczyźnie.

Nie odwrócisz się bardziej.  
Możesz już tylko  
się odwracać od siebie.

Kręcić się  
wokół krzywego  
obwodu własnego koła.

Zamiast *mieć*  
wyrzuty sumienia,  
*być* z niego wyzutą.

Wszystko, co zaraz nastąpi,  
będzie tylko kropką nad „i”.  
Albo tylko kropką.

**Wrzenie**

Znowu tu jesteś, choć jutro już nie.  
Jutro będziesz z tamtym mężczyzną,  
któremu niedawno zabrałaś wszystko,  
by mi pokazać, ile by stracił, gdybym

nie henną, a wrzącym srebrem  
na twoim sercu wytatuował poemat,  
którego puenta ma moc zniszczenia  
wielkiego miasta a nawet domu

o fundamencie trwalszym niż granit.  
Zaglądasz mi w kartkę i pytasz,  
dokąd zmierza ten wiersz? Płoniemy  
w nim cali, wrzemy, stapiamy się.

W tej chwili mamy dla siebie  
więcej czułości niż dla bezbronnego  
naskórka ma jej pokrzywa, dzban  
wrzącej wody dla nagiego serca.

**Wymyśliłem cię z nieczystych pobudek**

Tak naprawdę cię nie ma. Ty nie istniejesz.  
Jesteś zaledwie bohaterem lirycznym.  
Wymyśliłem cię sobie na potrzeby tej  
książki i kilku wierszy, które zachciałem

tutaj zostawić jak odcisk buta na śniegu,  
jak zapach. Nie było cię nigdy bardziej  
niż w słowach, którymi żongluję w myślach  
niczym zmiażdżonym szklivem z domieszką

zwiru. Czy ty to czytasz? Czy rozpoznajesz w tym  
siebie? Napisałem cię przecież na podobieństwo  
snów oraz pragnień, tajonych lęków, nałogów.  
Wiesz przecież, że nigdy nie byłaś piękniejsza

i mniej użyteczna niż teraz? Jak niewywołane  
zdjęcie. Spójrz: wstążka szczęścia przed nami.  
Możemy ją przeciąć. W każdej chwili mogę cię też  
potargać lub spalić. Mogę to robić bez końca.



rys. Bogna Skwara



### Ta chwila, w której wychodzę na prostą

Ten sen wciąż trwa. Ten taniec  
autem na lodzie. Piszesz mi się  
jak kiepski scenariusz taniego  
filmu: tamten mężczyzna i ty,

do której nigdy nie miałem  
prawa. Stąd należy je zmienić.  
Stąd piszą się wiersze o mocy  
ustawy, które zmieniają ustawy

i anulują wcześniejsze: kodeksy,  
rozporządzenia, dekalog i raz dane  
słowo zmieniają w jego antonim. Ich  
treść może dyktować już tylko serce,

któremu brak innych połączeń  
niż z samym sobą. Mówią o takich:  
serce z dykty i z kurzu, z pychy  
i z puchu, w którym ląduję

na sztywnych nogach, bez  
telemarku. A wszystko, przez co  
przeszedłem i jakie wkładałem  
buty, by nie ugrzęznąć po pachy

w tym mule, wyjdzie niebawem  
wraz z potem, który weźmie się z lęków  
i z piachu, jaki pozostał w nogawkach  
spodni, w kieszeniach pałta, we włosach,

z rojonych naprędce receptur  
na żwawsze spalanie tej tkanki zdarzeń,  
z którą zderzam się w takich wypadkach,  
tuż przed wyjściem na prostą.

Ten sen wciąż trwa. Ten taniec boso  
na rozżarzonych węglach.

### Dla mnie nie ma cię w twoim domu

Więc nie przyjedziesz już do mnie. Odwrócił  
się od nas księżyc. Moi sąsiedzi nie będą  
mieli powodów do plotek. Moje sąsiadki  
nie pozazdroszą ci bardziej włosów i rzadkiej

urody oczu i brwi, nie będą się martwić  
o swoich mężów, a oni pomyślą o mnie  
z mniejszą zawiścią, lecz bez szacunku, bo  
zrozumieją, że coś bezpowrotnie musiało

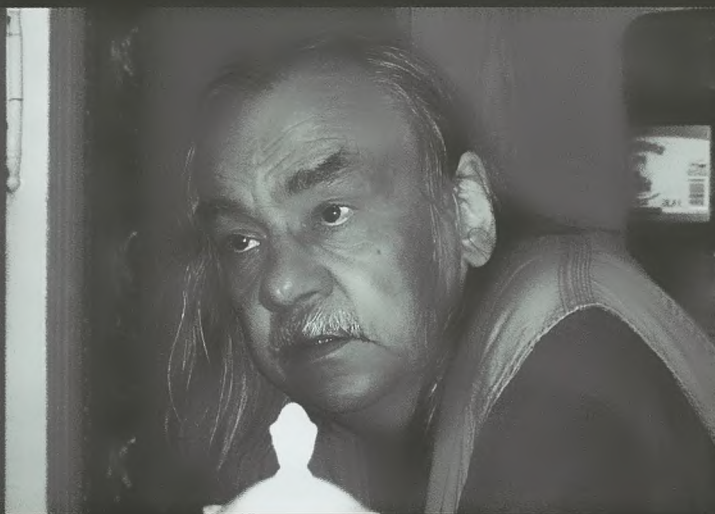
się zmienić w gwiazdnym układzie wpływów  
i sił, że lata świetlne błysnęły za nami  
niczym kometa, której koniec ogona  
musnął dach naszych mieszkań, ich światów.

I ja nie przyjadę do ciebie już nigdy.  
Twoich sąsiadów nie zdziwi więcej  
kolor mojego auta i twojej cery, kiedy ci  
powiem, że celuję do nas z podręcznej

lunety i patrzą na nas, tak jak się patrzy  
na gwiazdy albo planety, których tory lotu  
przecinają się w jednej chwili, aby w następnej  
zniknąć z map planet na zawsze.

# Katowicki Hrabal O Bogdanie Widerze

BARBARA GRUSZKA-ZYCH



fol. 1710

10 grudnia 2020 roku zmarł nagle Bogdan Widera, wieloletni redaktor miesięcznika „Śląsk”. Chciałoby się napisać, że jak bohater filmu wyreżyserowanego przez Giuseppe Tornatore był człowiekiem legendą. Tamten całe życie spędzał na parowcu, gdzie przyszedł na świat i na nim komponował cudowną muzykę. Bogdan, choć przecież wyjeżdżał i zwiedził Europę, pozostawał na statku jakim były jego rodzinne Katowice. W tym co pisał w prasie, o czym mówił w radiu i utrwał w prywatnych notatkach, dawał dowód, że darzy miłością miejsce, w którym przyszedł na świat 73 lata temu. Potrafił być wierny temu uczuciu jak zresztą w życiu uczuciom do ludzi. Miał mały krąg przyjaciół, którym, nie mówiąc tego głośno, obiecał miłość, wierność i uczciwość. I umiał tej obietnicy dochować.

Jako osoba publiczna był znany jako dziennikarz, radiowiec, krytyk literacki, pisarz, znawca teatru – zwłaszcza Lalki i Aktora Ateneum w Katowicach. Szczególnie lubił jego Galerię i jej szefą Zbyszką Mędralę. Miał też w swojej biografii trwający kilka lat epizod wydawniczy – w latach 90. był szefem wydawnictwa „Parol”.

Pisał dla „Gościa Niedzielnego”, miesięcznika „Śląsk” ale też, z przerwą na stan wojenny i lata, kiedy był sekretarzem redakcji „Gościa Niedzielnego”, miał swoje audycje na antenie PR Radia Katowice. Prowadząc z Beatą Tomanek program „Czy to prawda że...” nazywał się kiedyś redaktorem wszystkich kwiadzi, co bardzo się spodobało kolegom i słuchaczom. Bo, rzeczywiście, miał ogromną wiedzę, nie tylko na temat historii Śląska, ale i literatury. Prowadząc „Kwadrans dla nieczytających” pokazywał jakie tony lektur stoją za Jego mądrością. Bo niewątpliwie miał ogromną życiową mądrość, z której korzystali adepci sztuki pisarskiej,

młodzi aktorzy i wszyscy poszukujący mistrza. To on poznał mnie z Heimito von Dodererem autorem „Schoarów Strudlhofu”, Josephem Hellerem od „Paragrafu 22” i „Namaluj to”, nieustannie przypominał Bohumila Hrabala i innych czeskich twórców. Przywiązanie do wątków czeskich wzięło się u niego nie tylko z przyjaźni z wybitym czeskim reżyserem i aktorem Karelem Brožkiem (pracującym przez kilka lat w Teatrze Ateneum w Katowicach) ale sięgało czasów dużo wcześniejszych. Pewnie odziedziczył je po matce Wandzie urodzonej w Bohuminie. Niektórzy uważali, że w ostatnich latach przypominał takiego katowickiego Hrabala. Uciekającego od ludzi a jednocześnie z czułością i błyskiem potrafiącego ich opisać.

Stał się ikoną miasta – człowiekiem znającym każdy szczegół jego zabudowy i związaną z nim historię – a to miejsce, gdzie powstało Państwo Izrael, a to balkon, z którego śpiewał Kiepusza. Poruszał się w kilku czasach znakomicie dając sobie radę z tym, że niekoniecznie do siebie pasowały, bo przecież wszystko się zmienia, jak mówił – płynie. „Słuchaj wody” – to było zresztą Jego słynne powiedzenie, odnoszące do potrzeby wsłuchiwania się w płynące strumienie. A zresztą człowiek to też woda...

Kiedy pytałam jakby przedstawił się zawodowo, On zaangażowany w pracę poważnych instytucji – wieloletni sekretarz redakcji tygodnika „Gość Niedzielnego”, szef oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, założyciel Śląskiego Towarzystwa Filmowego i Związku Górnośląskiego, odpowiedział, że jest satyrykiem, no, może jeszcze humorystą. Tego humoru nie wyżył się nawet w dramatycznej sytuacji, kiedy nie przyjmując reżimowych propozycji zatrudnienia stracił pracę w radiu. Gdy

jeden z członków komisji weryfikacyjnej zapytał go dlaczego nie chce przyjąć legitymacji partyjnej odpowiedział, że przeszedł na buddyzm i przynależność partyjna kłóci się z jego obecnym światopoglądem.

Nie dopasowując się do narzuconych z góry reguł, potrafił z dystansem i humorem oceniać sytuację, podkreślając swoją niezależność i to, że wybrał życie na marginesie układów i rozdań, konsekwentnie unikając pierwszych planów. Dał temu wyraz w prozie, która niebawem ma się ukazać nakładem wydawnictwa „Ursines”. W swoich opowiadaniach przypomina jak ważny jest codzienny trud radzenia sobie z wyzwaniami życia, ale też, można rzec – romantyczna wiara w czystą miłość. Ten znakomity satyryk przejmująco pisze o tęsknocie za nią, o poszukiwaniu sensu życia, które tylko ona tak naprawdę może wypełnić.

Mawiał, że „gdzie jest wielka mądrość tam jest wielki smutek”. Każdy znał Jego powiedzenie „o mój ty smutku, smuteczku” pochodzące z wiersza Baczyńskiego, który znał na pamięć. Jak zresztą wiele wierszy Norwida, Lorke, Achmatowej, Cwietajewej. Sam też pisał wiersze, ale rzadko je publikował, jakby nie chcąc się przyznawać, że satyryk ma tak czułą duszę. Przytoczę choćby jeden z nich:

*przypadkowo strąciłem szklanke*

*teraz  
w każdym jej odłamku  
odbija się  
cała wiedza o kruchości  
jakże chciałbym  
żeby to był tylko sen*

Teraz w tym kruchym świecie zostawił nam potężny smutek. „O mój ty smutku, smuteczku...”

# Bogdan Widera

BŁAŻEJ ZYCH

**D**ziennikarz, radiowiec, satyryk, krytyk literacki, pisarz, teatrolog, w latach 90. prowadził wydawnictwo „Parol”. Wybitny znawca historii i kultury Górnego Śląska oraz literatury. Został pochowany na Cmentarzu w Katowicach przy ul. Francuskiej (wejście od ul. Damrota).

Studiował dwa lata na Politechnice Śląskiej, potem filologię polską, ukończył psychologię na Uniwersytecie Śląskim. Po studiach rozpoczął pracę w bibliotece Radia Katowice, w 1973 r. został członkiem znanej Redakcji Rozrywkowej radia gdzie Bogdan robił audycje prezentujące twórczość Piotra Podmajerza, fikcyjnego poety i podróżnika. W 1981 r. podczas stanu wojennego Widera został wyrzucony z radia, wykasowano wszystkie jego audycje. Za zakazane książki zamknięto go na krótko w areszcie, wtedy w latach 1982/3 zaczął pracować jako palacz w kotłowni OZTiMD Katowice.

Następnie znalazł pracę w księgarni św. Jacka, a potem, w połowie lat 80. został dziennikarzem „Gościa Niedzielnego”. Jako trzydziestoosmiolatek na łamach „Gościa Niedzielnego” w cyklu felietonów pt. „Zapiski wczesnego emeryta” stworzył fikcyjną postać Jarosława Starzyka – emeryta, ironicznie i z dystansem komentującego bieżące wydarzenia w PRL. Te teksty stały się marką firmową „Gościa”, a czytelnicy tak polubili postać Starzyka, że dziesiątki tysięcy fanów było przekonanych, że autor to autentyczny śląski starzyk, co w gwarze znaczy dziadek, który przedstawia punkt widzenia swego środowiska. Uwielbienie dla Starzyka było tak wielkie, że w plebiscycie na najwybitniejszych Ślązaków XX wieku ta fikcyjna postać znalazła się wśród 100 wytypowanych osób.

W latach 90. był sekretarzem redakcji „Gościa Niedzielnego”. W tym czasie tygodnik zmienił format i szatę graficzną na kolorową i osiągał wysokie nakłady. Wykładał też przez jeden rok akademicki na Wydziale dziennikarstwa Uniwersytetu Śląskiego. Po 2000 r. został kierownikiem działu spo-

łeczno-historycznego „Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego ŚLĄSK”, gdzie głównie zajmował się publicystką związaną z historią i kulturą Śląska, recenzjami oraz przeprowadzał wywiady m.in. z Władysławem Bartoszewskim, prof. Tomaszem Pietrzykowskim czy Edmundefm Wojnarowskim. Od kilkunastu lat był, jak mówił o sobie żartobliwie – „redaktorem wszystkowiedzącym” – współprowadzącym popularną audycję Radia Katowice pt. „Czy to prawda, że...” oraz autorskie wykłady „Szkoły bardzo wieczorowej” z red. Beatą Tomanek i prof. Andrzejem Norasem. Nazywano go „Ligoniem naszych czasów”. Realizował też audycję pt. „Kwadrans dla nieczytających”.

Był przyjacielem „Śląskiego Teatru Lalki i Aktora ATENEUM”, współpracował z Galerią Artystyczną Teatru Ateneum, odnotowując prezentowane tam wystawy na łamach miesięcznika „Śląsk”. Przez 6 edycji

zasiadał w jury Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Lalek „Katowice – Dzieciom”.

W swoim wydawnictwie Parol S. C. wydał m.in. tomiki poezji Barbary Gruszki-Zych pt. „Zapinając kolczyki” i „Pali się mój próg”, Feliksa Netza: „Róg Ligonia i Królowej Jadwigi” czy „Filozofię Istnienia” Wita Gruszki.

Na początku lat 90. był prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – oddział Śląsk. Był jednym z członków założycieli Związku Górnośląskiego i Śląskiego Towarzystwa Filmowego. Był laureatem Ogólnopolskiego Dyktanda Krystyny Bochenek w zmaganiach dziennikarzy – otrzymał Brązowe Pióro.

Miał żonę Barbarę de domo Grabską, artystkę malarzkę. Zmarła po wypadku samochodowym w połowie lat 90.

Bogdan Widera wywodził się ze znanego na Śląsku rodu Widerów. Jego dziadek Ignacy był powstańcem śląskim, ojciec Aleksander Widera (1917-2002) był znanym literatem, folklorystą, patriotą polskim, radiowcem, badaczem kultury Górnego Śląska, tłumaczem z niemieckiego i chińskiego, a podczas II wojny światowej działaczem Tajnej Organizacji Niepodległościowej, za co trafił do obozów KL Auschwitz i Mathausen-Gusen. Zarówno matka Bogdana – Wanda, jak i ojciec Aleksander byli więźniami tych obozów i tam się właśnie poznali.

Miał młodszego brata Stefana – działacza solidarnościowego, kierownika Zakładowego Domu Kultury kopalni „Kleofas” w katowickiej dzielnicy Dąb.

W domu rodzinnym Widery gościła elita kulturalna lat powojennych – m.in. Wilhelm Szewczyk, grafik Paweł Steller, pisarz Jan Józef Szczepański. Podczas zjazdów literackich w Szklarskiej Porębie malarz symbolista Wlastimil Hofman wykonał szkice malarzkie małego Bogdana i jego ojca, które znajdują się w zbiorach Muzeum Śląskiego. ■



# Peregrynacje pakistańskie śląskiego podróżnika

ŁUKASZ CYGAŃCZUK

Pomysł na odwiedzenie Pakistanu pojawił się już na początku lat dwutysięcznych, kiedy mało było wiadomo o tym kraju, jedynie wiele mówiono o nim w TV i pisano na czołówkach gazet po słynnych atakach 11 września 2001 na WTC w Nowym Jorku. Te wydarzenia utrwaliły postrzeganie tego regionu jako bardzo niebezpiecznego, a niektórych krajów, jak np. Afganistanu, jako wręcz niemożliwego do odwiedzenia turystycznie.

Całe to zamieszanie światowe spowodowało, że Pakistan został odstawiony do mojej poczekalni turystycznej na długie lata, lecz nie został zapomniany, stał się bardzo częstym tematem rozmów z moim „aniołem stróżem” z Pakistanu.

„Anioł stróż” z Pakistanu to mój przyjaciel, który wyemigrował w latach siedemdziesiątych do USA i osiadł tam na stałe, założył rodzinę i muszę przyznać, że jego pomoc była dla mnie nieoceniona na etapie planowania podróży, jak i załatwiania dokumentów tj. zaproszenia, wizy itp. To on wysłał nam m.in. wymagane zaproszenia potwierdzone w miejscowym urzędzie miasta – (taki wymóg proceduralny w staraniu się o wizę). Następnym krokiem było wypełnienie dość obszernego wniosku wizowego, w którym znajdowały się różne pytania budzące zdziwienie np. o wy-

znanie. Kolejną czynnością było złożenie dokumentów wraz z paszportem, opłatą w ambasadzie Pakistanu w Warszawie i oczekiwanie na decyzję. Trzeba podkreślić, że odesłanie błędnie wypełnionych dokumentów rodzi konieczność powtórzenia procedury wraz z ponownym wniesieniem opłaty. Cały proces – czyli uzyskanie zaproszenia, złożenie wniosku wizowego, uzyskanie samej wizy to okres co najmniej około trzech miesięcy.

Do Pakistanu najlepiej dolecieć przez Dubaj lub przez któryś z dużych portów lotniczych oferujących korzystne połączenia, ze względu na czas podróży i cenę biletu.

Moja podróż do Pakistanu odbyła się w styczniu 2018 roku poprzez port lotniczy w Dubaju. Po bardzo wnikliwej kontroli dokumentów w szczególności wiz, paszportów oraz adresów kontaktowych zadeklarowanych w dokumentach i biletów powrotnych dostaliśmy możliwość odprawienia bagażu.

Już samo wejście do samolotu wzbudziło duże zainteresowanie naszymi osobami, jak się później okazało byliśmy jedynymi Europejczykami na jego pokładzie. Trzeba przyznać, że samolot nie zdążył jeszcze wystartować, a nam zostało już kilkakrotnie zadane pytanie – po co lecimy do Islamabadu oraz kim

jestemy? Co wzbudzało początkowo dreszczyk grozy i zaniepokojenia, ale później już zaprzyjaźnieni towarzysze siedzący obok wyjaśnili nam, że zrodziła ich ciekawość, bo podróżowanie do ich ojczyzny to coś rzadko spotykanego. Trzeba stanowczo podkreślić, że po tych dziwnych pytaniach i krótkim czasie spędzonym w samolocie zauważyliśmy, jak ciepłymi i przyjacielskimi są ludźmi, z czym mieliśmy do czynienia każdego dnia w podróży i prawie na każdym kroku. Lecieliśmy pakistańskimi liniami lotniczymi, na pokładzie samolotu serwowane były tylko potrawy kuchni bliskowschodniej oraz obowiązywał zakaz sprzedaży alkoholu.

W Islamabadzie na lotnisku znaleźliśmy się późno w nocy i od tego momentu widać było, jak duże są różnice między Europą a Pakistanem. Począwszy od infrastruktury lotniskowej, drogowej, zasad poruszania się na drodze (a bardziej braku tych zasad), wyraźnie dało się odczuć ciężar spoczywających na nas ciekawskich oczu, które ewidentnie demonstrowały zainteresowanie celami naszego pojawienia się w ich kraju. Przejazd z lotniska oddalonego kilkadziesiąt kilometrów do hotelu znajdującego się w centrum Islamabadu przysporzył również wielu emocji, począwszy od samochodu, którym okazał się zdezelo-

fot. Łukasz Cygańczuk



ny suzuki maruti, zapewne starszym niż trzydzieści lat z niepełnym oświetleniem, do którego z plecakami ledwo się zmieściliśmy, następnie przejazd autostradą – z ruchem lewostronnym jak w U.K., bez żadnych zasad, a raczej z zasadą, kto pierwszy ten lepszy, powierzchnia drogi jakiej już nie pamiętamy w naszym kraju, ale za to kierowca bardzo uprzejmy i uśmiechnięty, zapewniający, że wszystko będzie OK.

Korzystając z pakistańskiej bazy noclegowej trzeba nastawić się na to, że sugerując się kategoriami gwiazdkowymi czy też cenowymi, nie zawsze na miejscu okazuje się, a tak naprawdę rzadko się zdarza, że odpowiada ona (baza) jakimkolwiek znanym nam normom, których można na tej podstawie się spodziewać. Lepiej założyć, że szukamy miejsca, żeby się przespać i następnego dnia po śniadaniu wyjeżdżamy, a wieczorem znów poszukujemy kolejnego miejsca. Trzeba przyznać, że nam udało się w tym trybie skorzystać z w miarę z czystej i bardzo przyjemnej bazy noclegowej, a osoby pracujące na recepcji i w hotelu zawsze służyły nam pomocą oraz doradztwem; nie mieliśmy w ogóle problemu z porozumiewaniem się, gdyż z większością ludzi bez problemu można się porozumiewać w języku angielskim.

Infrastruktura internetowa na terenie Pakistanu działa bez zarzutu, wystarczy tylko zakupić kartę z zasobem limitu, który jest nam potrzebny.

Wybraliśmy styczeń na podróż z tego względu, że to jeden z najchłodniejszych miesięcy w roku, a naszym celem było przejechanie przez miasta pakistańskie w kierunku południowym do morza. Warto zaznaczyć, że podróżowanie w kierunku północnym w tym czasie jest niemożliwe, ze względu na dużą ilość śniegu, zasypanych i nieprzejezdnych dróg. Tam na północy przebiega Karakorum Highway, trasa licząca około 1300 km, łącząca Pakistan z Chinami, która była budowana przez blisko 20 lat. Jest to najwyższej położona droga utwardzona na świecie określana mianem ósmego cudu świata.

Jak sama nazwa: Islamska Republika Pakistanu – wskazuje, że na każdym kroku spotykamy meczety – mniejsze lub większe. Najbardziej znany i jeden z największych w Azji Południowej znajduje się w Islamabadzie. To Meczeta Króla Fajśala, położony u stóp wzgórza Margalla, ma kształt przypominający pustynny namiot Beduinów, otoczony czterema 88-metrowymi minaretami. Jego budowę rozpoczęto w 1976 roku i ukończono 10 lat później. Na jego popularność wskazuje duża liczba wiernych przybywająca z całego kraju pielgrzymkowymi autobusami, busami i prywatnymi samochodami.

Kolejne odwiedzone miejsce to Daman-e-koh oddalony od centrum Isla-



Granica Pakistan – Indie

mabadu – około godziny drogi – punkt widokowy i ogród położony pośrodku Wzgórz Margalla, z którego przy dobrej pogodzie, racząc się świetną kawą podaną na tarasie, można podziwiać stolicę. Da się zauważyć bardzo dużą dba-

łość o bezpieczeństwo, ponieważ, by móc wejść do popularnych atrakcji czy nawet do galerii handlowych, trzeba się poddać szczegółowej kontroli (podobnej do tej na lotnisku), łącznie z bagażem i opróżnieniem wszystkich kiesze-

ni, zdjęciem obuwia i przejściem przez urządzenie prześwietlające.

Warto również odwiedzić Pakistan Monument – to narodowy zabytek oraz muzeum dziedzictwa kulturowego znajdujące się na wzgórzach Shakarparian. Pomnik został poświęcony symbolizowaniu jedności narodu pakistańskiego, jest poświęcony mieszkańcom, którzy poświęcili swoje „dzis” dla lepszego „jutra”.

Nieopodal Islamabadu znajduje się sztuczny zbiornik Rawal Lake zapewniający stolicy zasoby wody. Jest to miejsce wypoczynku i rekreacji mieszkańców stolicy. Znajduje się tam ogromny park z wieloma punktami gastronomicznymi. Pakistańska baza gastronomiczna od małych miejsc (straganików, przyczepki) począwszy, poprzez większe budy uliczne, restauracje ma zadowalający poziom i wysoką jakość smacznego jedzenia. Biorąc pod uwagę, że religią przeważającą jest islam – kuchnia jest dopasowana ściśle do religii, wszechobecny jest także brak możliwości zakupu alkoholu, który generalnie jest zakazany, ale dostępny poprzez specjalne kanały dystrybucji pod ścisłą kontrolą państwa.

Poruszać się po stolicy i zwiedzać miasto można najlepiej taksówką lub – to poziom zdecydowanie wyższy – wynajmując samochód z kierowcą. Czyniąc to konieczne jest wcześniejsze uzgodnienie kwoty za dany czas lub umówienie się na dowieszenie do konkretnych miejsc odwiedzenia. Ten sposób zwiedzania pozwala bezpiecznie i przyjemnie spędzić czas, przy okazji dowiedzieć się wielu ciekawostek, których nie znajdziemy w przewodnikach lub na popularnych stronach internetowych magazynów podróżniczych.

Następnym etapem podróży było miasto Lahore oddalone o około 400 km i na ten odcinek podróży wybraliśmy autobus, na który bilety w ciągu kilku minut zakupiliśmy przy pomocy recepcjonisty w hotelu. Celowo użyłem słowa „recepcjonista” ponieważ obsługa czy to w restauracji, w sklepie czy w miejscach biurowych dostępnych dla klientów to przeważającej większości mężczyźni, a kobiety pracujące na tych funkcjach to naprawdę sporadyczne przypadki.

Po znalezieniu się na dworcu autobusowym w stolicy kraju, w miejscu przypominającym być może targ zwierzęcy, usytuowanym na klepisku z ogromną ilością kałuż i błota, które prawie uniemożliwiały poruszanie się – dotarliśmy do wysokiej klasy autokaru. To kraj kontrastów. Podróż trwała ponad cztery godziny, bardzo bezpiecznie i naprawdę na bardzo wysokim poziomie z jedną przerwą umożliwiającą spożycie posiłku.

Lahore to był główny cel naszej podróży. Miejsce urodzenia mojego przyjaciela i głównego pomocnika w organizacji przede wszystkim dokumentów i prowodyra, dzięki któremu powstał

pomysł wybrania się w ten rejon świata, pomimo ciągłych informacji odradzających takie podróże. Pierwszy dzień w Lahore spędziliśmy poznając jego rodzinę oraz rodzinny dom, miejsca z dzieciństwa, szkołę podstawową oraz miejsca zabaw. Poznaliśmy kolegów, sąsiadów oraz przyjaciół, z ich strony zostaliśmy bardzo ciepło przyjęci i każdy częstował nas herbatą oraz różnymi domowymi przysmakami takimi jak lassi – jest to jogurtowy napój orzeźwiający na upalne dni przygotowywany tuż przed spożyciem.

Najważniejszym celem naszej podróży w tym rejonie było zobaczenie uroczystego zamykania granicy Pakistańsko-Indyjskiej, która jest z wszelkimi honorami zamykana każdego dnia o godzinie 16:00. Jednak by tam się dotrzeć, trzeba wyruszyć już w wczesnych godzinach rannych z tego względu, że jest to wydarzenie, na którym pojawia się wielu ludzi. Następnie po opuszczeniu pojazdu musimy udać się pieszo dość duży kawałek drogi, tu znajduje się duży amfiteatr, gra głośna muzyka, a po stronie indyjskiej zainteresowanie jest nie mniejsze i nie gorzej zorganizowane.

Wcześniejsze przybycie i zajęcie dobrego miejsca widokowego wcale nie oznacza, że okres oczekiwania na uroczystość jest nudny, ponieważ co jakiś czas głos zabierają różni przedstawiciele wyspecjalizowani w podgrzewaniu atmosfery i wykrzykiwaniu różnych haseł, które publiczność natychmiast powtarza wydzierając się maksymalnie jak tylko to jest możliwe.

Po stronie Indyjskiej również trwają podobne przygotowania. To miejsce przypomina okrągły amfiteatr podzielony na dwie części, gdzie w środku przebiega bardzo solidne ogrodzenie z potężną bramą i po obu stronach ustawionymi strażnikami ubranymi w fikuśne stroje, w towarzystwie bardzo dużej liczby żołnierzy.

Tuż przed godziną 16:00 rozpoczyna się prezentacja warty honorowej oraz paradna musztra. Stwarza to wrażenie, że żołnierze walczą o to, kto podniesie wyżej nogę podczas maszerowania, taka sama sytuacja ma miejsce po przeciwnej stronie i tak naprawdę to widowisko zaczyna przybierać formę show. To tylko pozór, granica jest uważana za jedną z najmniejbezpiecznych na świecie (oba kraje dysponują bronią nuklearną), bardzo często dochodzi na niej do incydentów, a nawet walk. Ciągłym problemem jest około 700 kilometrów odcinek granicy tzw. „linii kontroli” w regionach Kaszmiru i Jammu u podnóża Himalajów.

Po wspomnianej prezentacji małej grupy warty honorowej i wykonanych przez obie strony odpowiednich, schematycznych – wyreżyserowanych – zachowań, specjalni liderzy grup przez wygłaszane hasła podgrzewają widzów

do granic wytrzymałości ludzkiego organizmu (niczym kibice uczestniczący w meczu o wszystko).

Następnie zostają opuszczone flagi narodowe – co również jest prawdopodobnie ważną operacją, gdyż krzyk tej strony, z której flaga została opuszczona pierwsza, jest nieprawdopodobny. Zostaje zamknięta brama i tym samym uroczyste zamknięcie granicy zostaje zakończone. W tym momencie widzowie bez żadnego pośpiechu opuszczają swoje miejsca i wracają do domów. Jest to prawdopodobnie jedyne takie widowisko na świecie, a biorąc pod uwagę liczbę osób biorących udział i emocje, jakie panują podczas niespełna 30 minutowego „przedstawienia” na obejrzenie którego trzeba poświęcić cały dzień (mam namyśli wczesny dojazd, dojście, a później powrót) wszystko przebiega bardzo spokojnie. Zachowanie tak dużej ilości ludzi biorących w nim udział powinno być dla wielu innych podobnych imprez wzorem do naśladowania.

W Lahore znajduje się również Cesarski Meczet którego budowa została zakończona w 1673 roku i dziś należy do największych na świecie, inspiacją jego projektu były powstałe wcześniej Wielki Meczet w Delhi oraz Tadž Mahal. Po wejściu do wnętrza ogromny plac naprawdę robi wrażenie, można sobie tylko wyobrazić, jaką liczbę wiernych jest w stanie pomieścić.

Nieopodal znajduje się twierdza Lahore Fort która została w całości zbudowana w XVII wieku i zajmuje około 20 hektarów.

Kolejnym miejscem wartym zobaczenia jest Minar-e-Pakistan. Jest to wieża oddana do użytku 1968 roku, która ma upamiętnić pierwszą oficjalną deklarację z 23 marca 1940 roku stworzenia odrębnej i niezależnej ojczyzny dla muzułmanów w Indiach Brytyjskich. Rezolucja doprowadziła ostatecznie do powstania niepodległego państwa pakistańskiego w 1947 roku. Wieża ma około 80 metrów i w momencie jej zwiedzania była zamknięta, ogrodzona płotem i pilnowana przez strażników w powodu stale rosnącej liczby osób popełniających czy też próbujących popełnić tam samobójstwo.

W Lahore jest również jedno z głównych muzeów Azji południowo-wschodniej: Muzeum Lahore, które zasłynęło słynną brytyjską powieścią „Kim” napisaną przez Rudyarda Kiplinga, którego ojciec był jednym z pierwszych kuratorów muzeum. Znajdują się tam duże zbiory sztuki buddyjskiej i mongolskiej.

Obowiązkowym miejscem tej podróży, które również udało się odwiedzić, było jedno z wielu ogromnych targowisk, na których można zakupić dosłownie wszystko. My zakupiliśmy i przebraliśmy się w „ichniejsze” ubranie nazywane „Pakistani dress”, czym wzbudzili-



Popularny środek transportu, często spotykany na naszej trasie.



Cesarski Meczet Lahore.



Pociąg relacji Lahore - Karaczi.



Plaża w Karaczi

śmy i zaskarбилиśmy sobie jeszcze większy szacunek oraz zainteresowanie. Przy rozmowach z młodszą i niejednokrotnie dobrze wykształconą grupą osób dowiedzieliśmy się o coraz mniejszej popularności tego typu ubrań. Po bardzo miło i przyjemnie spędzonych kilku dniach trzeba się było zastanowić nad sposobem dalszego się przemieszczania na południe.

Na przejechanie 1200 kilometrowego odcinka do znajdującego się nad Morzem Arabskim Karaczi wybraliśmy pociąg. Do wyboru były cztery kategorie wagonów, z których wybraliśmy kategorię „przedziału sypialnego”. O dziwo okazało się, że to dość popularna forma przemieszczania się, zatem na wolne miejsca trzeba było poczekać dwa dni.

Pakistan to nie jest rejon stricte przygotowany na wizyty turystów, ciągle jesteśmy tam bardziej grupą obciążoną pytaniem „po co w ogóle tam przyjeżdżamy”. Nie istnieją jeszcze punkty sprzedaży atrakcji turystycznych czy chociaż popularnych pamiątek. Po dwóch dniach luzu i przygotowanego specjalnie dla nas przez naszego opiekuna pożegnalnego poczęstunku, składającego się z dań kuchni pakistańskiej, opartej głównie na ryżu, mięsie wołowym, kurczaku, rybach i niesamowicie dobrych sosach udaliśmy się na dworzec kolejowy.

Po podstawieniu pociągu nasz opiekun dopiero po zapoznaniu się z czterema osobami towarzyszącymi nam w przedziale odetchnął i zapewnił nas, że jesteśmy bezpieczni w dobrym towarzystwie. Podróżowali z nami trzej młodzi inżynierowie, z którymi nawiązaliśmy bardzo miły i przyjacielski kontakt, którzy wracali z kontraktu pracowniczego na krótką przerwę do domu.

Podczas długich rozmów dało się zauważyć jak inna jest ich kultura oraz sposób życia. Dziwili się np. dlaczego my mieszkamy osobno, a nie razem z naszymi rodzicami, braćmi, naszymi żonami, dziećmi. Funkcjonowanie w takiej dużej rodzinie to dla nich bardzo ważna sprawa. Z rozmów wynikało również, że są bardzo łakomym kąskiem jako pracownicy dla zagranicznych firm czy też concernów. Nie stanowi dla nich problemu zdobycie pracy w USA czy U.K. Bardzo łatwo mogą znaleźć pracę w Dubaju czy Chinach.

Podróż pociągiem była bardzo dobrym wyborem, gdyż poza tym, że można było poznać ciekawych ludzi oraz dowiedzieć się wielu ciekawostek to odbyła się w miarę komfortowych warunkach i po spędzonej nocy w kuzetce znaleźliśmy się w Karaczi.

Po wyjściu z pociągu już na dworcu kolejowym dało się zauważyć zasadniczą różnicę w porównaniu do Islamabadu, Lahore, czy też innych, mniejszych miejscowości, które odwiedziliśmy kilka lub kilkanaście dni wcześniej. Bardzo duża liczba wojska oraz policji w pełnym uzbrojeniu wynika z dość dużej różnorodności kulturowej zamieszkującej miasto licznej ludności i wybuchających bardzo często zamieszek etnicznych i religijnych między hindusami i muzułmanami oraz między sunnitami i szyitami. W tym bardzo zróżnicowanym mieście niestety częstą praktyką jest podkładanie bomb (najczęściej w meczetach) i innych popularnych miejscach, z tego też względu kontrole są jeszcze bardziej restrykcyjne niż w innych częściach Pakistanu. Na ulicach gwar nie ustaje przez całą dobę, ciągle odbywają się nawoływania lub rytuały religijne należące do różnych religii i po kilku dniach

jest to naprawdę uciążliwe biorąc pod uwagę, że dzieje się to przez 24 godziny na dobę.

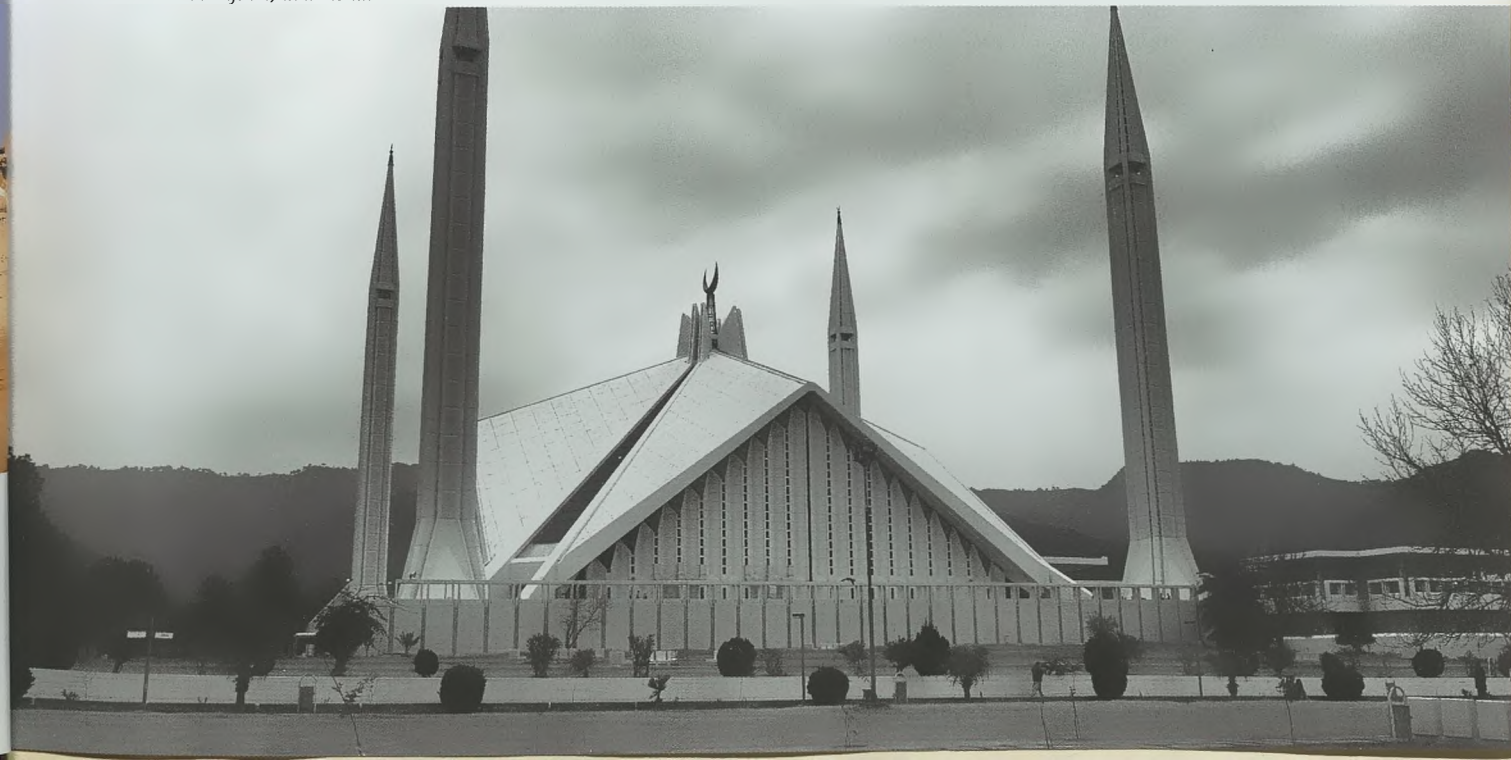
Jednym z podstawowych miejsc, które chcieliśmy zobaczyć, były plaże Morza Arabskiego, nad które dotarliśmy wynajętym samochodem z kierowcą. Po przybyciu na plażę zrozumieliśmy, że coś takiego jak turystyka tam nie istnieje. Pomimo dużego upału na plaży poza nami nikogo nie było. Zobaczyliśmy jak bardzo zanieczyszczone jest to miejsce, a ilość plastiku na każdym kroku i w niewyobrażalnych ilościach szokuje.

W tej części Pakistanu poruszanie się, czy też odwiedzenie regionów poza terytorium miejskim, jest praktycznie niemożliwe bez wcześniejszego zaplanowania i kilkunastodniowego wcześniejszego zgłoszenia takiego zamiaru do odpowiednich władz w celu – po pierwsze: uzyskania zgody, a po drugie: przydzielenia co najmniej jednego uzbrojonego i odpowiednio przeszkolonego żołnierza. Jest to niestety rejon niebezpieczny dla samodzielnego poruszania się nie tylko obcokrajowców.

W Karaczi znajduje się jeszcze jedno bardzo ważne miejsce dla Pakistanu – jest nim Mazar-e-Quad – Mauzoleum Narodowe w którym spoczywa Muhammad Ali Jinnah założyciel Pakistanu. Mauzoleum zostało ukończone w 1971 roku i jest ikoną miasta.

Podsumowując moją podróż do Pakistanu, uważam że dobrze iż udało mi się odbyć tę właśnie jedną z najdłuższych wyczekiwanych podróży i spełnić marzenie spotkania z kulturą i rodziną przyjaciela poznanego wiele lat wcześniej. Jestem przekonany, że odwiedzę ten kraj w najbliższym czasie i będzie to część północna – u podnóżu Himalajów. ■

Meczet Króla Fajsala, Islamabad.





ŚLĄSKA  
OJCZYZNA  
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

## O podwrocławskiej Żórawinie

Od początku października minionego roku, kiedy Radek Rak otrzymał NIKE za powieść „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli”, bez przerwy jestem indagowany o zapis imienia *Jakób* – przez „ó” – w tytule tej książki. Niezmiennie mówię wszystkim, że autor miał prawo do takiego wariantu ortograficznego nie tylko ze względu na inne niż w języku ogólnym kryteria poprawnościowe tekstów artystycznych, ale i z tego historycznojęzykowego powodu, że akcja powieści toczy się przecież w wieku XIX, a wtedy – aż do roku 1936 – obowiązywał zapis z „ó”. Dopiero w tymże 1936 roku – z powodu braku wymienności „ó” na „o” – zdecydowano o pisowni *Jakub* przez „u”, która od tego czasu wszystkich obowiązuje.

Identycznej modyfikacji ortograficznej uległy także jeszcze wyrazy, jak *bruzda*, *pruć*, *chrust*, *nuta*, *but*, *rura*, *ślusarz* – wszystkie z prymarnym i uzasadnionym etymologicznie „ó” (bo to dawne postacie: *bor-zda*, potem *brozda* i *brózda*, *próc* – z odmianą *porzę*, *porzesz*, *porze* – stąd *rozporek!*, dawny *chworst*, późn. *chrost* i *chróst*, franc. *note*, *botte*, niem. *Rohr*, *Schlosser*).

Do powyższej zmodyfikowanej graficznie serii można jeszcze dołączyć *żurawia* i *żurawinę*, w których do roku 1936 było „ó” – też absolutnie uzasadnione z punktu widzenia historycznego, etymologicznego. Wszak *żórawia* i – wtórnie – wywiedzioną od niego *żórawinę* wiązać trzeba z archaicznym, praindoeuropejskim rdzeniem *zer* – „krzyżeć”, w naszym języku przed XII wiekiem wymienionym na *zor* (polski przegłos: „z”, a spółgłosce historycznie miękkiej „ż”, a przed „r”, musiało się zmienić w „ó”). Odpowiednikami naszego ptaka *żórawia* są takie wywodzące się z tego same-

go źródła twory, jak litewski *gerwe*, grecki *geranos*, łaciński *grus* czy niemiecki *Kranich* no i, oczywiście, słowiańskie – np. staro-cerkiewno-słowiański *żerawl* i czeski *žeraw*.


Kiedy 85 lat temu pisownię *żóraw*, *żórawina* zmieniono na *żuraw*, *żurawina*, pojawiły się i nowe postacie nazw miejscowych typu *Żurawina*, *Żuraw*, *Żurawica*, *Żurawno* – z „u”. Prymarną formę graficzną – z „ó” – ma natomiast *Żórawina*, stara miejscowość leżąca na płaskiej, urodzajnej równinie podwrocławskiej, z XIV-wiecznym kościołem zbudowanym na wysepce utworzonej przez ramiona rzeki *Żórawki* – dopływu Ślęzy. Najstarszy jej zapis – *Sorauin* (czyt. *Żórawin*) – pochodzi z roku 1155 z dokumentu papieża Hadriana IV, który potwierdzał w nim posiadłość biskupstwa wrocławskiego. W bulli z roku 1245 występuje postać *Sorauina* – z całą pewnością oddająca brzmienie *Żórawina*. Zniemczone twory *Zirwin*, *Sirben* pojawiają się dopiero od XVI wieku.

Smakowity gatunek leśnej jagody stał się podstawą topograficznego określenia zarówno nazw rzecznych, jak i miejscowych, dlatego trudno jednoznacznie rozstrzygnąć, czy najpierw nazwano miejscowość, czy też rzekę, czy też może obie równocześnie stały się wyrazistymi nazwami topograficznymi. W każdym razie, jak informuje Stanisław Rospod (1906–1982) w swym „Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL” z roku 1984, były one bardzo popularne na terenie podwrocławskim. Proszę sobie wyobrazić, że dzisiejsze *Krajków*, *Wilkowice* i *Milejowice* zwały się kiedyś identycznie – właśnie *Żórawina*, czego potwierdzeniem są stare, XIII-wieczne zapisy.

W swej działalności dydaktyczno-popularyzatorskiej od lat zwalczam,

niestety – prawie powszechne, określanie mianem „u kreskowanego” litery „ó”, upominając się o „o kreskowane”, „o z kreską”. Wszak pod „ó” kryje się pierwotne „o”, czego potwierdzeniem są chociażby odpowiedniki naszych wyrazów typu *góra*, *stóg*, *Bóg*, *mój*, *twój* w innych językach słowiańskich (*gora*, *hora*, *Bog*, *moj*, *twój*). Do XV wieku – tak jak do dziś w językach czeskim i słowackim – w polszczyźnie w pewnych pozycjach wyrazowych samogłoskę „o” wymawiano długo, a w innych krótko. Kiedy od XVI stulecia iloczias, czyli owo funkcjonowanie samogłosek długo i krótko wymawianych, przestał u nas obowiązywać, pierwotne „o” długo wymawiane zaczęło się coraz bardziej zbliżać artykulacyjnie i akustycznie do „u”, by ostatecznie się z tym dźwiękiem zlać. Morfologicznym potwierdzeniem prymarności „o” są wymiany głoskowe „ó” na „o” w formach typu *Bóg* – *Boga*, *wróg* – *wroga*, *stóg* – *stogu*, *mój* – *mojego*, *twój* – *twojego*, *swój* – *swojego*, a graficznym – właśnie litera „ó”, czyli „o kreskowane”, „o z kreską”, a nie żadne „u kreskowane”!!!

Łatwiej mi o tym mówić do starych Ślązaków, bo w ich wymowie „ó” jeszcze się całkowicie nie utożsamiało z „u”. To jest ciągły dźwięk pośredni między „o” i „u” – chyba nawet bliższy „o”: „Bog”, „wrog”, „stog”, „moj”, „twój”, „swoj”. Ten stan fonetyczny był także argumentem przed półwieczem, by utrzymać pisownię *Barbórki* przez „ó”. Próbowano wtedy wprowadzić „Barburkę” z „u” (w Warszawie jest ulica z takim zapisem), ale te zabiegi ostatecznie spełzły na niczym, bo również w *Barbórcie* to prymarne „o” nadal w gwarach śląskich słychać. A górnice święto 4 grudnia to przecież jakże utrwalony obyczaj naszego regionu!



# MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

## Minęło. A jednak trwa?

To, co minęło, należy do czasu minionego, a mijając umiera, zanika, niekiedy bezpowrotnie. Ale bywa też, że w różny sposób jednak trwa. Zarówno w rzeczywistości społecznej, w reliktach, także w ludzkiej pamięci. Zarówno jednostkowej, jak i zbiorowej. W realnej teraźniejszości rodzi się zawsze jakiś szczególny rodzaj „dialogu” z przeszłością. „Minęło”, „przyszłość” i jeszcze teraźniejszość. Zwyczajne wyrazy zaczerpnięte ze słownika i ułożone obok siebie – przypadkowo czy celowo – u każdego rodzą określone skojarzenia.

U mnie pojawia się wiele wspomnień z etnologicznych i antropologicznych peregrynacji terenowych. Na początku mam skojarzenie nie z Górnym Śląskiem, ale z Wileńszczyzną. Konkretnie ze wsią Rudniki, gdzie wielokrotnie mieszkałem w budynku leżącym w pobliżu kościoła parafialnego pod wezwaniem Świętej Trójcy. I oto tamtejsza ludność rodzima w swoim repertuarze folklorystycznym zachowała piękną i barwną opowieść o tym, że w tej świątyni odbyła się msza pogrzebowa Barbary Radziwiłłówny. Ostatnia przed tą uroczystą odprawioną w wileńskiej katedrze 24 czerwca 1551 roku. Właśnie o tym wydarzeniu – rudnickim i wileńskim – do dziś opowiada ludność polska. Ale przekazała ją też ludności: litewskiej, rosyjskiej, białoruskiej, nawet Romom. Z tej okazji mówi się o potędze Polski za czasów Jagiellonów. Witold Aładowicz, rodem z wileńskich Rudnik, znawca, obrońca i krzewiciel polskości – były żołnierz AK – z zachwytem do ostatnich dni życia opowiadał o Polsce, o żywotności i trwałości lokalnej tradycji. Pretekstem była zawsze owa opowieść o Radziwiłłównie. Mówił, że wszystko ma swój kres, ale jednak często trwa; w tradycji i w pamięci ludzi. Tak jak przekazywane młodym relacje o pobycie we wsi przydykenta Ignacego Mościckiego, czy

Melchiora Wańkowicza. Kultuwyje się też opowieści typowo folklorystyczne o powstańcach styczniowych. A pewna mieszkanka z tejże wsi z dumą pokazywała mi książkę „Na tropach Smętka” darowaną ojcu przez jej autora. Kiedy Wańkowicz był w ich domu, słuchał pieśni ze śpiewnika Moniuszki i nader chętnie słynny utwór Tekli Bondarzewskiej. Dla niej to domowe muzykowanie, a nawet „Modlitwa dziewczicy” były symbolem polskości. Pani Maria tylko żałowała, że dawne czasy minęły, ale zawsze mówiła, że „coś z nich przetrwało”. Co? Polskość, polskie zwyczaje, polskie myślenie. Dowodziła: „Polski już tu nie ma, ale dzięki Bogu my jesteśmy”.

A kiedyś kolejny już raz pojechaliśmy w małym gronie do Ponar, podwileńskiego miejsca kaźni z czasów II wojny światowej. Później pojechaliśmy do Jaszun, słynnego pałacyku braci Śniadeckich. W pobliżu jest cmentarz, miejsce wiecznego spoczynku: Polaków, Rosjan, Litwinów, Białorusinów, katolików, prawosławnych, wierzących i ateistów, komunistów i ich ofiar. Ich czas minął, ale to miejsce, nagrobki tych, którzy odeszli, zmusza odwiedzających do refleksji. Z tej ciszy wyrasta coś wzniosłego, oni się różnili, nawet byli wrogami. Teraz tworzą swoistą „wspólnotę”.

Owego dnia odwiedziliśmy też byłego więźnia wspomnianych Ponar, cudownie zwolnionego z tego miejsca wojennej kaźni. Opowiadał, że kiedy przebywał tam jako więzień, marzył i modlił się, aby uratować życie. Kiedy wrócił do domu sądził, że już nigdy nie będzie wspominał o Ponarach. Niestety wspominał przez następne tygodnie, miesiące i lata. Tak było do późnej starości, do 2008 roku, kiedy spotkaliśmy się ostatni raz.

Podobnie reagował i inny mój znajomy. Tym razem Górnoślązak, więzień komunistycznego obozu „Zgoda”.

Chciał zapomnieć, ale ciągle nie potrafił. Podobnie reagowali moi znajomi więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych. Ale byli i tacy, którzy celowo nie chcieli zapomnieć; przeciwnie – pragnęli dokumentować ten „straszny czas”, upominać aby już nigdy nie było tak, jak mówiła Zofia Nałkowska, iż to *ludzie ludziom zgotowali ten los*. Do nich należał choćby mój starszy kolega, folklorysta Jan Tacina, ofiara Dachau, niestrudzony zbieracz pieśni z obozów koncentracyjnych. Czy przykładowo aktor Augustyn Kowalczyk, więzień Auschwitz. Po przejściu na emeryturę ze swym monodramem „6804” – opowiadającym o gehennie życia w tym miejscu – jeździł po Polsce i świecie. Dla niego – jak mi mówił – ustawicznym wyzwaniem był obowiązek głoszenia prawdy o niemieckich zbrodniach. Nie chcą o tym zapomnieć także Romowie. To oni każdego 2 sierpnia w czasie uroczystości likwidacji „cygańskiego obozu” w oświęcimskim obozie mówią „Przebaczymy, ale nie zapomnimy”. Jeden z nich, Rom z Bytomia, podejmujący próby poetyckie, powiedział mi, że na pewno jego pomordowani bracia i siostry jeżdżą teraz „w niebiosach taborami po niebieskich łąkach Pana”.

A kiedy już jesteśmy na Górnym Śląsku, to warto wspomnieć o niektórych sędziwych Kresowianach, którzy nigdy nie chcieli pojechać w swoje strony rodzinne. Mówią: „Było, minęło”.

W naszym regionie trudno w tej podróży nie pojechać do miejscowości, gdzie króluje Piekarska Pani. Tu od wieków wierni modlą się o pomoc. A potem dziękując Piekarskiej Pani zachowują w pamięci te minionie wydarzenia. Te dramatyczne, jednostkowe oraz typowe dla całej górnośląskiej zbiorowości. Pytają o czasy minionie, o teraźniejszość i o przyszłość.

## Witold Turant, „Metapolis”

MARIAN SWORZEŃ

**M**etapolis – co to znaczy? Odpowiedź znajdujemy na początku powieści: to metafizyka miasta, „ludzkie losy nałożone na siebie”, którym przyszło przeciąć się w jednym miejscu. Materialni świadkowie z cegły i kamienia – miejskie place, ulice, mieszkania – towarzyszyli bohaterom książki. Niektórzy z nich nie spokali się twarzą w twarz, ale – w różnym czasie – chodzili po tych samych schodach, mieszkali w tych samych murach.

Książka ma trójkę bohaterów: kobietę i dwóch mężczyzn. Kobieta to Anna, mężczyźni to Helmut Jerzabek i narrator. Ten ostatni żyje najdłużej z nich (u progu jego dzieciństwa stracono Jerzabka), Anna zmarła, gdy już był dorosły. Nie stanowili wcale rodziny, łączyły ich tylko Katowice: Anna, za młodu kiedyś tu sportretowana, potem, już w czasach PRL pracowała tutaj naukowo, tu dokonał zbrodniczego żywota Helmut, tu żył, studiował i miotał się narrator, którego imię (Witold) poznamy dopiero pod koniec książki. Nie było żadnej możliwości, by mogli kie-

dykolwiek w trójkę usiąść przy jednym stole. Owszem, były spotkania w parach: Anna (po roku 1945) uczestniczyła w przesłuchaniach Jerzabka, narrator (przełom lat 60./70.) spędzał całe godziny na rozmowach z Anną, ale Jerzabka na oczy nie widział. Każdy z tej trójki miał inne korzenie: Jerzabek wywodził się z podopolskiej wioski Adolfsdorf, Anna z Königshütte, jedynie narrator miał papiery katowickie. Sprawdziłem ten Adolfsdorf w książce prof. Stanisława Rosponda – nie ma na Śląsku takiej wioski ani miłośnicy (niczemu to nie przeszkadza, wszak to powieść). Anna została wierna swemu chorzowskiemu domowi, do Katowic dojeżdżała pociągiem albo dorożką, a potem tramwajem nr 6. Narrator, jak wspomniałem, urodził się w Katowicach, tu się uczył i pracował, i – mimo pokus na emigrację – został w rodzinnym mieście.

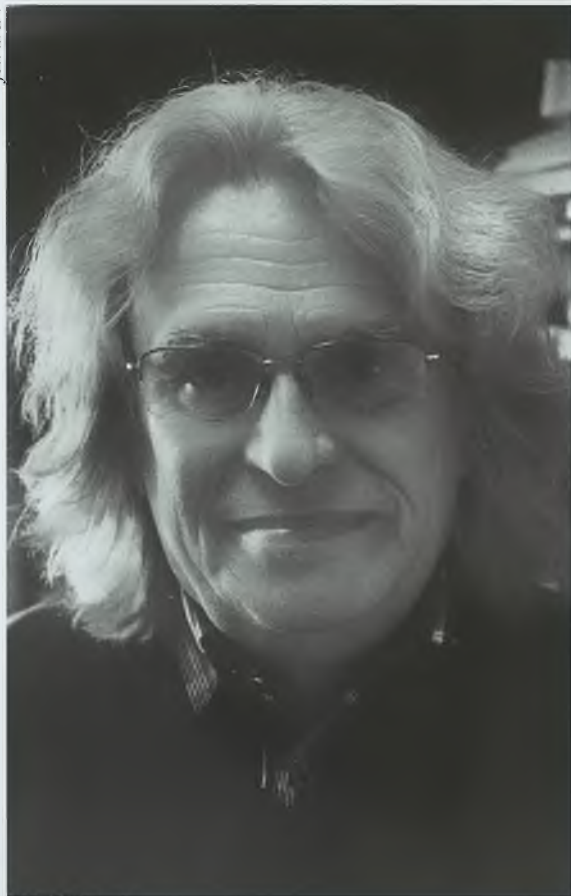
Kim byli zatem bohaterowie książki Turanta? Przedstawmy ich zatem z zachowaniem porządku, wzorem autora, który przydzielił każdemu z nich po cztery rozdziały powieści.

Anna ukończyła studia uniwersyteckie w Breslau. W ich trakcie odbyła podróż po Europie jako bona przy zamożnej rodzinie. Po krótkim pobycie w Oxfordzie, zdobyła dyplom i wyjechała do Lwowa, gdzie przystąpiła do pracy nad doktoratem w powstającej właśnie katedrze psychologii. Zachęcona dyskretnie przez współpracowników, związała się z Towarzystwem Eksperymentów Duchowych. Jednym z jej „zatrudnień” był związek z owdowiałym bankierem, którego systematycznie dręczyła, zapisując reakcje upokorzonego nieśczęśnika. Zaniepokojone władze uczelni przymusiły ją do opuszczenia Lwowa, dając w zamian możliwość kontynuacji nauki w Wiedniu, gdzie zajmowała się psychiatrią sądową. Wybuch wojny zastał ją w Anglii, więc jako poddana pruska musiał wracać do Niemiec. Czas

wojny spędziła jako pielęgniarka na obu frontach. Po skończeniu wojny, wróciła do siebie, na Śląsk, a stamtąd znów do Lwowa, gdzie pracowała naukowo już jako docent Uniwersytetu Jana Kazimierza. Kiedy rozpoczęła się wojna w roku 1939, była akurat na Harvardzie. Po inwazji w Europie, zgłosiła się do armii amerykańskiej, uczestnicząc w przesłuchaniach hitlerowskich jeńców. Wróciła do Polski w roku 1945. Po kilku tygodniach została aresztowana pod zarzutem szpiegostwa i poddana śledztwu w więzieniu na Mikołowskiej, ale – rozpoznana przez dawnego ucznia – po krótkim czasie wyszła na wolność, gdyż uznano, że jej zawodowe umiejętności warto wykorzystywać. Tu przerywam...

Jerzabek był wiejskim dzieckiem, ale, jak to bywało w wilhelmińskich Niemczech, niezłe wykształconym. Mówiono, że po maturze pójdzie do seminarium, ale tak się nie stało. Związał się z ruchem narodowym (na nazizm było jeszcze za wcześnie), który zwalczał lewicę, nie stroniąc od burd i rozpędzania zebrań, w czym młody Helmut znalazł upodobanie, jak i źródło dochodu w postaci wypłat za partyjną robotę. Gdyby tylko to... Otóż Helmut doszedł do wniosku, że musi odbyć swoją inicjację erotyczną w domu publicznym i do takiego dotarł poprzez adres zakładu fotograficznego w Katowicach wykonującego zdjęcia miejscowych paniątek. Doznał wówczas nie tylko zawodu, ale i trafił tu do aresztu na Mikołowskiej, jako że w zmysłowym zapale dotkliwie poturbował swą wybrankę. Uniknął odsiadki dlatego, że poratowali go koledzy z organizacji, przedstawiając pobitą prostytutkę jako agentkę obcego wywiadu, a jego samego jako patriotę nie lękającego się trudnych wyzwań. Szkołę policyjną odbył w Breslau. Po 1914 roku nie powąchał prochu, trafiwszy do żandarmerii polowej tropiącej dezertersów. Potem służył w policyjnej obyczajówce, wykazując się znajomością rzeczy i nadzwyczajną obrotnością. W roku 1939 skierowano go do okupowanych Katowic. Był nie tylko oddanym gestapowcem, ale i sadystycznym mordercą więźniarek, dbał o fotograficzną dokumentację swoich ekscesów (w późniejszym procesie przypisano mu setki zabójstw na tle seksualnym; ofiary chował w lesie koło Murcek). W styczniu 1945 roku zbiegł do zony okupowanej przez zachodnich aliantów i tam najspokoj-

fot. arch.

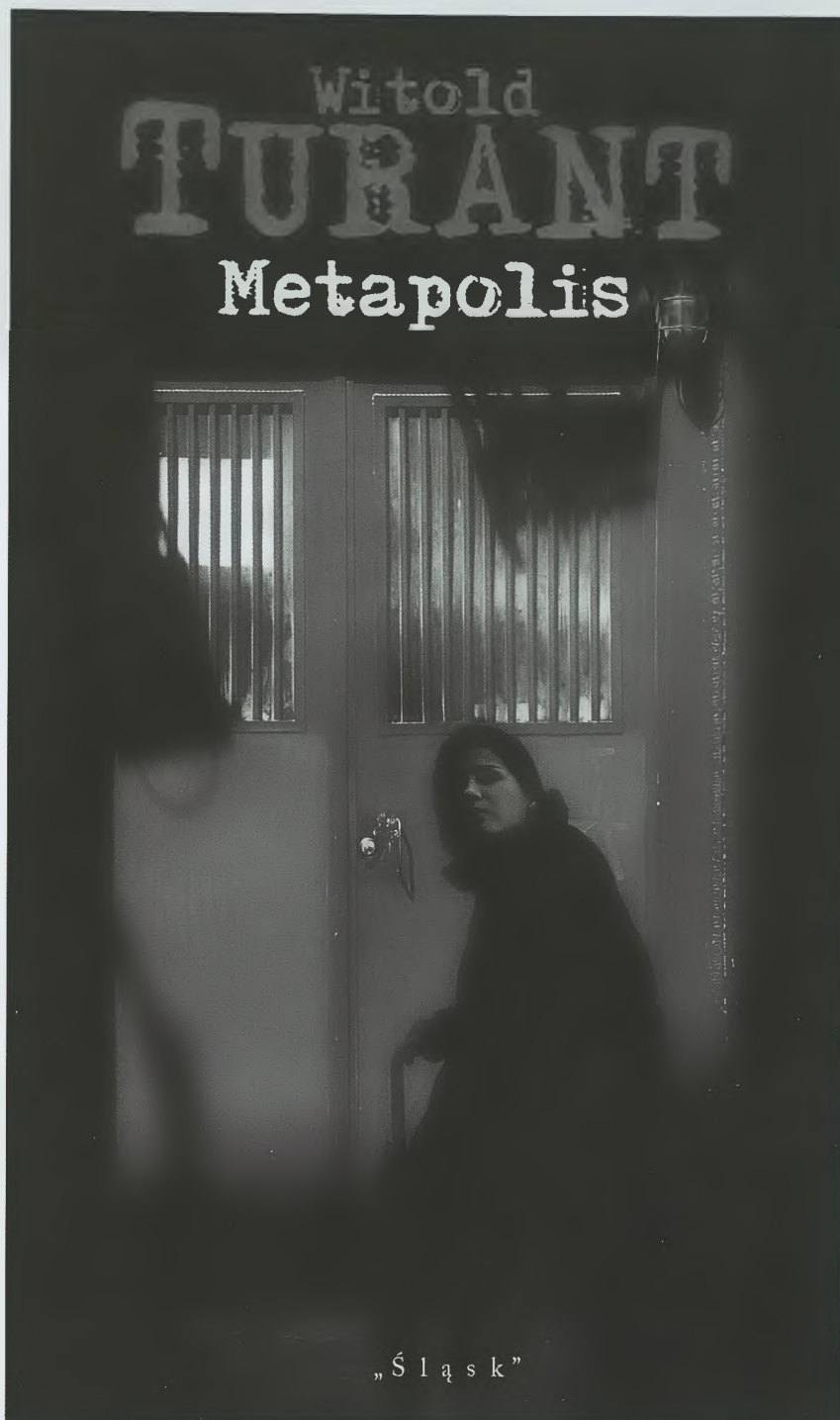


Witold Turant

niej handlował zdjęciami pornograficznymi zrobionymi jeszcze w czasie urzędowej prosperity. Wpadł, bo jeden z żołnierzy rozpoznał na zdjęciu znekanej kobiety swoją żydowską kuzynkę poznaną przed laty w Polsce. Aresztowany przez Amerykanów, został wydany Polakom. Umieszczono go w więzieniu na Mikołowskiej. Tu przerywam...

Najmłodszy z bohaterów przyszedł na świat w Katowicach około roku 1950 („w tym samym roku, w którym kilkadziesiąt metrów od miejsca mojego urodzenia powieszono zbrodniarza”). Wystarczy umiarkowana orientacja w topografii, by stwierdzić, że narrator mieszkał w pobliżu ulicy Kościuszki, gdzieś za kościołem św. Piotra i Pawła. Jego opiekunką była Hilda, Niemka, która z jakichś powodów została w Polsce (oto jej słowa: „Znowu te złe Niemce i ten potwór Hitler. Ludzie mieli pracę, autobahn i w sklepach wszystko było. On miał takie mniejsze Hitlerki – potworki”). Książkowy „ja” jako młody człowiek znalazł kiedyś w rodzinnym mieszkaniu kastet i zdjęcia „z kobietą nagością” – pozostałości po poprzednim lokatorze, w którym słusznie domyślamy się Jerzabka („Później dowiedziałem się, że ich prawdopodobny autor był poprzednim lokatorem naszego mieszkania”). Szkoła średnia, studia humanistyczne, a w ich trakcie udział w eksperymencie psychologicznym u cenionej powszechnie profesor Anny. Został przez nią wybrany do zapisywania zachowań osoby obserwowanej, lecz, jak się okazało, sam również był z ukrycia filmowany. Zniechęcony do zgłębiania ludzkich reakcji, wybrał dziennikarstwo (nie polityczne, ale sportowe), którym potem parął się w rozgłośni radiowej. Ale znajomość z wykładowniczą została... Profesor Anna opowiedziała mu swoje życie – a to, czego zaniechała, zostawiła w powierzonej mu teczce wraz z prośbą, by kiedyś opublikował jej zawartość. Jak mówiła, przed ponad półwieczem została portretowana przez mistrza Schmittke (!?) na zlecenie grona inteligentów szukających wytwornej rozrywki. Powstały wówczas bezpruderyjny akt młodzietki Fräulein Anetschki trafił po latach do domu narratora i dzielił z nim losy, raz wychwalany, raz ganiony przez jego kolejne kobiety: przyjaciółki, kochanki, żonę. Tu przerywam...

Jak była już mowa we wstępie, ludziom towarzyszą mury, ulice i gmachy. W powieści widzimy nie tylko kopy katowickiej katedry i wieże kościoła Mariackiego, ale też przemykamy oficynami czynszowych kamienic, spacerujemy na Wzgórze Beaty, czyli do dzisiejszego Parku Kościuszki, przechodzimy blisko hal dworcowych na Bahnhofstrasse, jedziemy dorożką z Chorzowa przez osiedle Alfred do Katowic, rozmawiamy z podróżnymi pociągu idącego z Breslau



do Kattowitz. Prócz tego kroczymy również ulicami Lwowa, gdzie Anna mieszkała przy ulicy św. Zofii. W książce jest wiele takich dróg, nieraz precyzyjnie oznaczonych – niektóre znamy z własnej codzienności...

Wróćmy teraz do przerwanych losów. Kiedy Anna wydała opinię przesądzającą psychiczną zbrodnię Helmuta Jerzabka, morderca został stracony. Po latach wyszło na jaw, że uczestniczyła ona również w śledztwach prowadzonych przez ubeków w okresie stalinowskim. Ta jej nieznaną rolę została ujawniona wtedy, gdy była już nieświadomą i schorowaną staruszką. Narrator, po osobistych zawirowaniach, utracie pracy w stanie wojennym i kilkuletnim pobycie za grani-

cą, powróciwszy na stare śmieci („Kiedy wróciłem, o mało nie umarłem z rozczulenia. Nic się nie zmieniło”) napisał książkę o Jerzabku – jego „Historia pewnego zbrodniarza” stała się literackim bestsellerem. I właśnie wtedy podrzuciono mu materiały kompromitujące Annę, on zaś dopiero wówczas sięgnął po powierzoną mu niegdyś teczkę z jej dziennikiem prowadzonym rzetelnie od roku 1912. Tak kończy się książka, ale zarazem rozpoczyna. To niezawodny sposób na pisanie dobrych powieści. ■

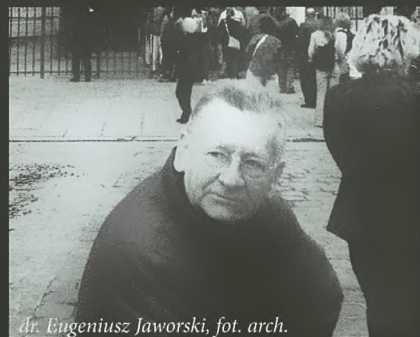
Witold Turant, „Metapolis”. Thesaurus Silesiae, Katowice 2019, str. 239.

# Sapere auso.

Pamięci dr. EUGENIUSZA JAWORSKIEGO

(31 października 1933 – 30 grudnia 2020)

EWA KOSOWSKA



Eugeniusz Jaworski był człowiekiem kwintynym. To niemal zapomniane dzisiaj słowo pasuje do niego w sposób szczególny. Elegancki i zadbany, zwracał na siebie uwagę wysmakowanym strojem, nienagannymi manierami, płynnością ruchów. Z dystansem przyjmował zarówno przeja wy uznania pod swoim adresem, jak i podejrzliwe spojrzenia tych, którzy nie rozumieli celu i sensu tej szczególnej dbałości o wygląd. Pefen kurtuazji, rozmowę zaczynał najczęściej od komplementów; umiał je prawieć z dużym wdziękiem i zawsze dostosowywał do rozmówcy. Każdego człowieka traktował indywidualnie i w każdym po trafił dostrzec coś wyjątkowego. Rokokowy styl jego błyskotliwych wypowiedzi zaskakiwał i przykuwał uwagę. Potrafił w drobiazgu dostrzec problem, rozwiniąć go, zainteresować nim słuchacza, przekształcić w zadanie badawcze.

Był prawdziwym erudytą. Wiadomościami z różnych dziedzin i własnymi przemyśleniami dzielił się bezinteresownie, z łatwością podejmował każdy temat, by go stopniowo poszerzać i pogłębiać. Często powtarzał, że antropolog powinien interesować się wszystkim. Dziś, w dobie daleko posuniętej specjalizacji takie podejście jest rzadkością. On jednak z konsekwencją i uporem podtrzymywał tę tezę. Przedmiotem jego najgłębszej fascynacji była szeroko rozumiana kultura. Studiował różne jej aspekty. Ogromna, stale uzupełniana wiedza pozwalała mu na dostrzeganie skomplikowanej sieci zależności, w jakich każdy ludzki wytwór pozostaje z innymi wytworami. Tropił te powiązania pozornie bez wysiłku, choć w rzeczywistości bardzo wiele czasu poświęcał rozmaitym studiom szczegółowym. Notatnik miał zawsze pod ręką. Każdy przedmiot, każde ludzkie zachowanie, mogły być dla niego wyzwaniem: obserwował je, opisywał, analizował, interpretował, ale też przyporządkowywał, klasyfikował, typologizował. Robił to z niezwykłą zręcznością intelektualną i pasją poznawczą; trudził się, by „odpowiednie dać rzeczy słowo”, unikał stereotypów i banałów. Z pozoru miał ogromne trudności z zakończeniem pracy nad konkretnym, wąskim tematem; w rzeczywistości wiedział, że każde formalne zamknięcie zafałszowuje poznanie, bo nieodwracalnie niszczy sieć związków wszystkiego ze wszystkim.

Stanowczy i konsekwentny, wiele wymagał od siebie i innych. Czasami może zbyt wie-

le. Był bardzo uważnym czytelnikiem i słuchaczem; w kameralnym gronie zawsze można było liczyć na jego cenne komentarze, podpowiedzi, korektury. Rzadko zabierał głos na konferencjach; nie interesowało go mówienie do wszystkich, ale chętnie podejmował dyskusję z każdym. Jego żywiołem były wielogodzinne rozmowy seminaryjne prowadzone w wąskim gronie. Jeżeli trafił na wytrwałego i spolegliwego słuchacza, to chętnie przekształcał dialog w monolog obfitujący w niebanalne skojarzenia i dygresje, często długi, ale zawsze zmierzający do puenty, w której postawiona na wstępie teza została wreszcie udowodniona lub przynajmniej gruntownie wsparta. Posiadał rzadki dar – intuicję naukową. Wyczułony na niekonsekwencje i niespójność myślenia był mądry mądrością odważną i odpowiedzialną; nie obawiał się konsekwencji wyborów często dokonywanych wbrew zewnętrznie narzucanym standardom i zaleceniom. Fascynował go sam proces poznawania; efekty własnych, indywidualnych studiów weryfikował w wielogodzinnych rozmowach. Natomiast publikowanie fragmentarycznych wyników badawczych niemal zawsze uznawał za przedwczesne; propozycja wydania książki Człowiek – przedmiot – reguła niedawno została przedłożona Wydawnictwu Naukowemu Śląsk.

Na jego naukową osobowość wielki wpływ wywarli dwaj wybitni profesoro wie: Eugeniusz Frankowski i Witold Dynowski; często odwoływał się do ich prac i ich autorytetu. Podjęta po studiach etnograficznych w Poznaniu i Warszawie praca zawodowa w Muzeum Górnośląskim umożliwiła mu intelektualny kontakt z doc. Józefem Ligezą i prof. Mieczysławem Gładyszem. Był to jednocześnie okres intensywnych badań terenowych, w wyniku których udało mu się zgromadzić cenne materiały, w tym także dane na temat tradycyjnej kultury Górnego Śląska. Wtedy też, przy okazji prac nad tworzeniem chorzowskiego skansenu, powziął decyzję o skoncentrowaniu własnych studiów wokół budownictwa drewnianego, które stało się wiodącym profilem jego naukowych zainteresowań. Pracując w muzeum bytomskim nie tracił kontaktu z ośrodkami akademickimi w całej Polsce; uczestniczył w seminariach prof. Marii Ossowskiej i prof. Witolda Dynowskiego, w posiedzeniach Śląskiego Instytutu Naukowego; aktywnie działał w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym,

Towarzystwie Kultury Teatralnej, współpracował z Polakami na Zaolziu.

W 1975 r. podjął pracę w Uniwersytecie Śląskim. Jego ogromna wiedza i naukowy temperament wywarły niezatarty wpływ na profil badań kulturoznawczych Zakładu Teorii i Historii Kultury, z którym do końca był silnie związany. Przed wybuchem pandemii uczestniczył w spotkaniach seminaryjnych i zebraniach naukowych; ostatnio ze względu na pogarszający się stan zdrowia i konieczność opieki nad małżonką te oficjalne kontakty osłabły. Był jednak stale obecny wśród nas; rozmowy z nim, bezpośrednie lub telefoniczne zawsze wносиły coś interesującego. Zyskał przyjaciół i kolegów, którzy na rozmaite sposoby dyskretnie pomagali mu zmagać się z trudami codziennego życia otrzymując w zamian wiele cennych informacji naukowych i nowinek politycznych. Uśmiechnięty i życzliwy z godnością znosił ubytek sił, problemy zdrowotne, domowe kłopoty. Z nieodłącznym papierosem, filiżanką kawy w ręce i nogą założoną na nogę stał się ikoną stylu bycia nawiązującego do wzorów zachowania dawnej elity intelektualnej i artystycznej. Był indywidualnością, człowiekiem wielkiej kultury osobistej; miał klasę. Wierny zasadom, które uznawał za słuszne, głęboko wierzył, że człowiek powinien nieustannie pracować nad sobą, walczyć z niemocą, przezwyciężać przeszkody, kształtować własną osobowość. Racjonalista i esteta, naukową prawdę wiązał z metodą, a piękno z porządkiem. Był wrażliwy, a przy tym niezwykle zdyscyplinowany intelektualnie i uporządkowany zewnętrznie. Słabości skrywał głęboko, bardzo rzadko się skarżył. Dlatego nikt z nas tak naprawdę nie liczył się z możliwością jego nagłego odejścia.

Podobno kultura nie znosi próżni, każdy człowiek jest wyjątkowy, a cmentarze są pełne ludzi niezastąpionych, ale pustka po odejściu dr. Eugeniusza Jaworskiego długo będzie odczuwalna i dojmująca dla każdego, kto go znał i cenił. ■

**Ewa Kosowska**, prof. dr hab.; pracownik Instytutu Nauk o Kulturze Uniwersytetu Śląskiego, autorka książek i artykułów naukowych z zakresu teorii i historii kultury, z których znaczną część przygotowywała wspólnie z dr. Eugeniuszem Jaworskim.

**nota nicotina, nota odorata**

Eugeniuszowi Jaworskiemu

wirgińskich czarnych  
wirgińskich żółtych

szczyptę holenderskich

litewskich w papuszkach  
węgierskich podolskich

sultana maior  
i minor rustica

utłuc w donicach  
wysiać  
zebrać  
przesiać

zielsko w ogrodzie  
świat w tabakierze

**nadobne ubiory**

szorstki szew  
suchy chrzęst

szypszyny  
tarniny

zapisz  
zaszyj

**quot generationes, tot gradus**

z popielnika  
z popielnicy

iskiereczka  
ruch powietrza

(*praesens*  
*urna docet*)

**Word 2018, aktualizacje**

przesuń  
zmień

dodaj  
liczbę znaków

kliknij dwukrotnie  
aby ukryć światło



foto arch.

dr Eugeniusz Jaworski

**po omacku**

Bóg  
jest wielkim  
semiotykiem

zgubiliśmy kod

**Małgorzata Rygielska**, dr hab.; pracownik Instytutu Nauk o Kulturze Uniwersytetu Śląskiego, autorka książek *Dwa guziki*, *Norwid i ewolucjonizm* (2011), *Przyboś czyta Norwida* (2012), *Monografia Ignacego Lubicz Czerwińskiego Okolice Zadniestrska. Studium kulturoznawcze* (2019), artykułów naukowych i popularnonaukowych, współredaktorka tomów zbiorowych. Debiutowała poetycko w „Śląsku” (1998). Wiersze publikowała także w „Toposie” i „Pracowni”, przekłady z języka włoskiego w „Nowej Okolicy Poetów” oraz „Tekstualiach”.

# Prestiz współczesnego inżyniera.

Artykuł dyskusyjny

STEFAN GIERLOTKA

**D**ziałalność inżynierska zajmuje szczególne miejsce w społeczeństwie. Bogactwa krajów są głównie wynikiem pracy inżynierów. Społeczeństwo jest bogate tym, co wytworzy. To nie bankowcy i biznesmeni przyczyniają się do tego, czy jesteśmy zamożni. Nowości techniczne wymyślają inżynierowie, a efekty ich dorobku twórczego są głównym źródłem zamożności wielu krajów naszego świata.

Nowoczesny przemysł potrzebuje inżynierów wysokokwalifikowanych o dużej wiedzy, jej pozyskanie wymaga odpowiedniego wcześniejszego starania przygotowania politechnicznego. Podstawę wiedzy inżyniera stanowią: matematyka, fizyka oraz nauki ogólnotechniczne. Wiedza jest użyteczna, gdy ktoś potrafi ją odpowiednio wykorzystać w pracy. Starsi wiekiem inżynierowie pamiętają, że dawniej bardzo duży udział zajęć dydaktycznych obejmowało nauczanie fundamental-

nych działów wiedzy, takich jak: matematyka, fizyka, mechanika, elektrotechnika, itd. Szerokie horyzonty wiedzy technicznej posiadają wyłącznie absolwenci o bardzo dobrych przygotowaniach matematycznym i fizycznym. Jakim inżynierem jest ktoś, kto ma trudności z trygonometrią, przeraża go logarytm, a pochodną czy całkę uważa za czarną magię?

Wiedza w wyniku postępu nauki ulega z czasem zesterzeniu i dezaktualizacji. Podstawowa teoretyczna wiedza matematyczno-fizyczna ulega rozszerzeniu, ale nie zdezaktualizowaniu. Obecnie znacznie ograniczono zajęcia na uczelniach z tych przedmiotów na rzecz rzekomo najbardziej użytecznych, praktycznych a więc tych, których wiedza ulega najszybciej zesterzeniu.

O karierze zawodowej inżyniera decyduje nie tyle zasób jego wiedzy, ale nabyte kwalifikacje i umiejętności zapewniające mu mobilność na rynku

pracy. Nauczanie takich umiejętności nie jest sprawą łatwą.

Zarządzania nie można nauczyć się z gotowych regułek, a jedynym źródłem doskonalenia jest własna kreatywność inżyniera wobec zaistniałego problemu.

Specjalizacja w zawodzie jest niezbędna, chociaż bardzo wąska specjalizacja może być szkodliwa. Wąska specjalizacja w zawodzie daje widzenie ostre, skupione na wyselekcjonowanych szczegółach. Gdy specjalista od początku kariery zajmuje się bardzo wąską dziedziną, nie jest w stanie znać dobrze całości dotyczącego go zagadnienia. Przełożeni zarządzający pracą zespołu specjalistów powinni mieć wiedzę szerszą, zwiększa ona skalę porównawczą i umożliwia racjonalną ocenę tego, co robi cały zespół.

Współcześnie obserwuje się masowość kształcenia na poziomie wyższym, a jednocześnie spadek presti-

fot. arch.



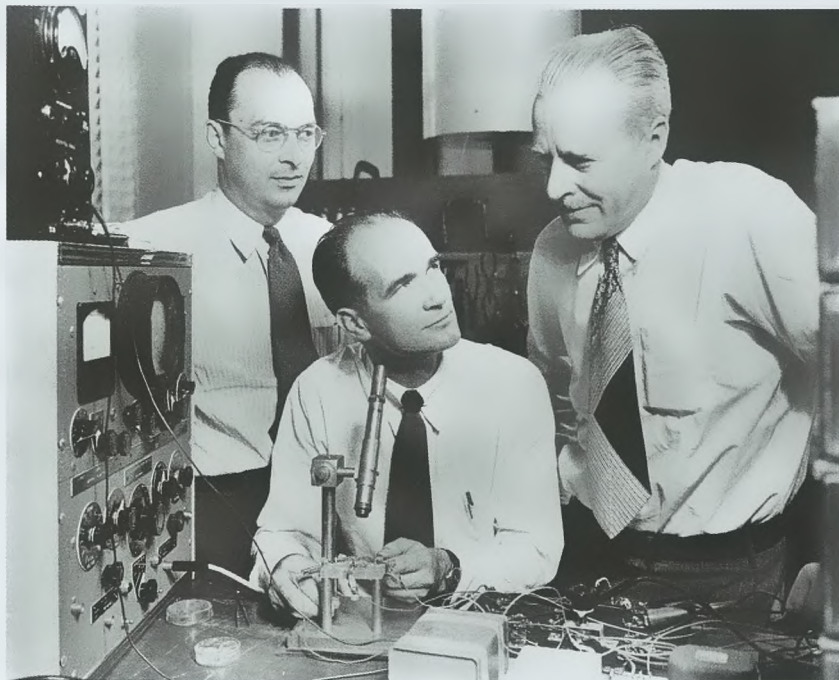
żu i popularności zawodów inżynierskich. Wielu starszych inżynierów zadaje sobie pytania „po co ja musiałem zdawać tyle egzaminów, skoro teraz stworzono takie warunki, że niemal każdy bez wysiłku może ukończyć studia z dyplomem inżyniera i magistra, a nawet doktora?”

W minionych latach „realnego socjalizmu” kształcenie inżyniera było podporządkowane celom rozwoju polityki gospodarczej kraju. Wysokie wymagania poziomu nauczania na politechnikach realizowano m.in. przez gęste sita egzaminacyjne w naborach na studia. Dopuszczano tylko najlepszych do kształcenia w tym zawodzie. Podczas studiów usuwano inercyjnych studentów nie udzielając wpisu w indeksie na kolejny semestr studiów. Przechodząc na tzw. urlop dziekański, dziekanat kierował informacje do komisji wojskowych WKU, a w konsekwencji zmuszało to studenta do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Uczelnia wydając absolwentowi dyplom specjalisty kończącego studia udzielała społeczeństwu rekomendację tej osoby pod względem: wiedzy, umiejętności wykonywania zawodu oraz odporności na stres. Dawniej studia i dyplomy były dla elit, zdolnych je wywalczyć wyjątkową pracą.

Pod koniec XX wieku nastąpiła moda na studia lekkie, łatwe i przyjemne. Według nowoczesnych pedagogów szkoła ma nauczać, ale wcale nie musi nauczyć. Na uczelniach politechnicznych rozpoczęto organizować różne specjalności *półinżynierskie*. Pojawiali się absolwenci z dyplomami inżynierskimi o charakterze *półhumanistycznym*, rzekomo rozwiązującymi problemy gospodarcze i ekologiczne. Upowszechnione zostało studiowanie na kilku kierunkach jednocześnie, co powoduje u absolwentów uzyskanie wiedzy powierzchownej i brak dogłębnej wiedzy z każdego studiowanego kierunku.

Ograniczono praktyki robotnicze i specjalizacyjne, co doprowadziło studentów do kojarzenia swojej przyszłej kariery zawodowej ze stanowiskami dalekimi od przemysłu. Dziś otrzymywane dyplomy inżyniera już nie stanowią potwierdzenia wiedzy, nawyku samokształcenia, odporności na porażki i stres. Etos inżyniera został zastąpiony prestiżem opartym na pieniądzu i bogactwie. To nie bycie głównym inżynierem w zakładzie, kierowanie zespołem projektantów, ale członkostwo w radzie nadzorczej stało się najbardziej pożądanym stanowiskiem u absolwentów.

W czasie, kiedy liczba szkół wyższych technicznych wzrosła, nastąpił spadek pasjonatów techniki. Książki dla młodzieży o tematyce technicznej są wydawane sporadycznie. Wiele niegdyś bardzo popularnych i wysokonakładowych czasopism technicznych (np. *Horyzonty Techniki*, *Młody*



John Bardeen, William Shockley, Walter Brattain – wynalazcy tranzystora

*Technik*), ograniczyło swoje nakłady lub zniknęło z rynku.

Szybko zniknęły księgarnie naukowo-techniczne i biblioteki zakładowe. Współczesna młodzież podejmując decyzję o kierunku przyszłego zawodu nie opiera się o fascynację techniką, uzyskiwaną na lekcjach fizyki, chemii i matematyki lub w szkolnych kołach zainteresowań. **Młodych ludzi na politechniki przyciąga pewność pracy i stosunkowo wysokie zarobki już na starcie.**

Dla inżyniera bardzo ważne jest posiadanie praktyki w zawodzie. W moim okresie studiów na politechnice (przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku) było dużo profesorów związanych z wcześniejszą pracą w przemyśle. Dla niektórych był to okres wojny i przymusowych robót na rzecz okupanta. Dla innych był to czas, kiedy po ukończeniu studiów otrzymali nakaz pracy w przydzielonym zakładzie. Byli też młodszy wykładowcy, którzy karierę akademicką rozpoczęli po dyplomie jako asystenci na wydziale. Nie byli oni doświadczonymi praktykami, ale znali się doskonale na projektowaniu i tego nauczali. Na studiach wykonywaliśmy projekty urządzeń i obiektów ze wszystkich zagadnień wybranego kierunku nauczania. Projekt techniczny na politechnice był podstawą kształcenia i kreatywności przyszłego inżyniera. Dziś można spotkać profesorów np. od górnictwa, którzy nigdy prawdziwego wydobycia w kopalni nie widzieli, czy też od spawalnictwa, co nigdy niczego konkretnego nie zespawali itd. Mimo tego są autorytetami w swojej branży.

Inżynierowie zazwyczaj ze swych osiągnięć zawodowych są zadowoleni, lecz nie przywiązują wagi do uznania publicznego. Osiągnięcia inżynierów

są przyjmowane jako rzecz oczywista, natomiast doniesienia o inżynierskich niepowodzeniach (np. katastrofy) zawsze są bardzo medialne i trafiają na pierwsze strony gazet. Przywykliśmy szanować dzieła wodzów, artystów oraz polityków, natomiast z lekceważeniem traktujemy dokonania inżynierów. Na zasadzie wyjątku zdarza się, że wybitny inżynier doczeka uznania potomnych. A przecież to właśnie dzieła inżynierów, a nie wiersze poetów, czy dzieła artystów przeobraziły cały współczesny świat, że warunki życia dzisiejszego mamy lepsze od warunków życia pokolenia naszych przodków.

*Na zakończenie zapytam Szanownego Czytelnika:*

*Kto potrafi odpowiedzieć na pytanie kim był John Bardeen? Natomiast gdyby ktoś nie wiedział kim był Pablo Picasso, to musiałby się wstydzić. Tymczasem Picasso i Bardeen żyli i tworzyli w tym samym czasie, tylko że Picasso malował obrazy, a Bardeen wynalazł tranzystor, za co jako jedyny dwukrotnie dostał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki.*

Zastanówmy się, jak by wyglądał świat, gdyby nie było na nim dzieł Picassa? Zapewne byłby uboższy, bo każde dzieło sztuki wzbogaca świat. Ale na nasze życie codzienne nie miałyby to zasadniczego wpływu. Tymczasem bez wynalezienia tranzystora nie byłoby dziś radia, telewizji, telefonów komórkowych, GPS, komputerów – w ogóle niczego, co ma jakkolwiek związek z elektroniką. Dzięki wynalazkowi tranzystora ludzkość wkroczyła w zupełnie nowy okres swoich dziejów. A jednak wynalazca tego epokowego urządzenia jest dziś dla większości ludzi całkowicie anonimowy. ■

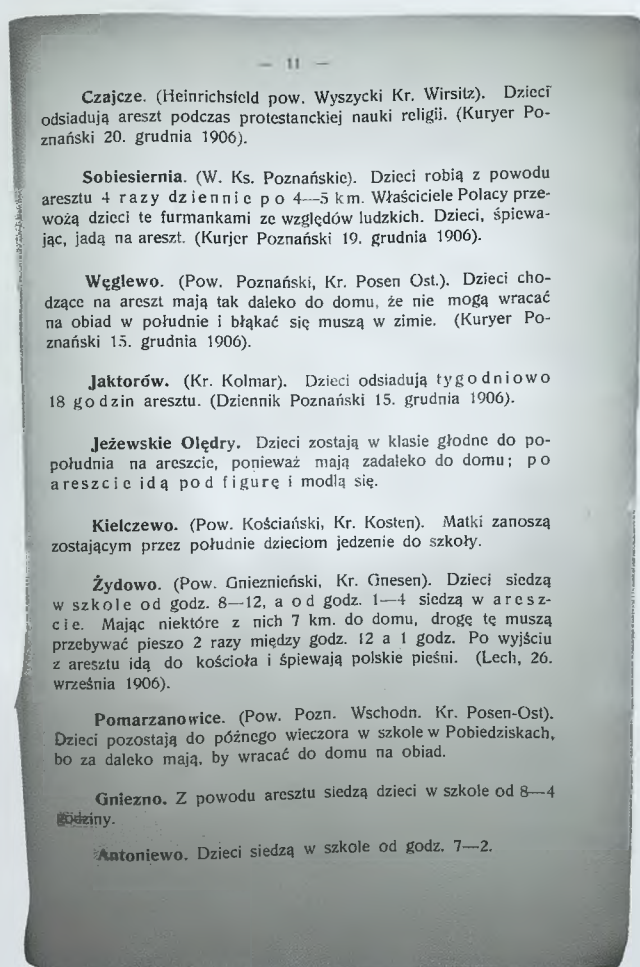
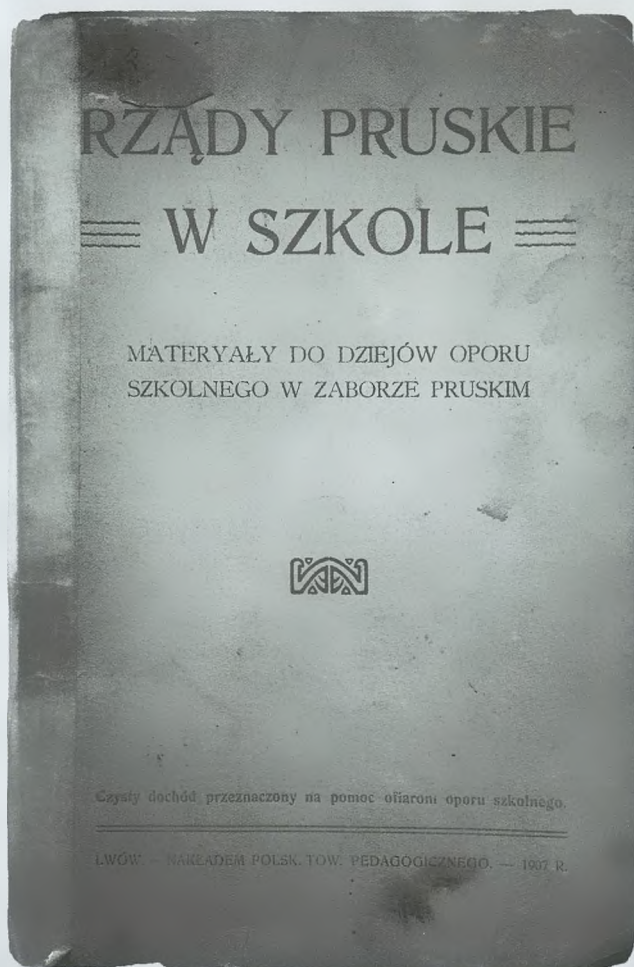
# Rządy pruskie w szkole. Materiały do dziejów oporu szkolnego w zaborze pruskim

JAN MALICKI

**T**a mała broszura nie cieszyła się zainteresowaniem uczestników jednej z ostatnich aukcji bibliofilskich. Bo – szara; bo – „kwaśny papier”, bo – już znacznie zniszczona i po przejściach z okładką ze śladami podklejeń taśmą, owym przekleństwem introligatorów; bo – z plamami, zartartym podpisem i trudną do odczytania datą 1920. Ale broszura licząca zaledwie 47 stron, która tak haniebnie została zlekceważona, denerwuje, porusza – przeproszam – wście-

ka, jest jednak o wiele starsza, niż ów rok. Czytamy: „Lwów – Nakładem Polsk. Tow. Pedagogicznego. – 1907 R.” Poniżej pieczętka: Księgarnia Jadwigi Jaroszowej w Rzeszowie. A nieco wyżej: „Czysty dochód przeznaczony na pomoc ofiarom oporu szkolnego”. Drucek został opublikowany w słynnej „Drukarni «Słowa Polskiego» we Lwowie pod zarządzeniem Józefa Ziemińskiego”, znanej z nowoczesnego jak na owe czasy sprzętu; dość powiedzieć, że posia-

dała pierwsze we Lwowie maszyny rotacyjne, umożliwiające nawet znaczne zwiększanie nakładu, a także i stwarzająca możliwości rozszerzania i wzbogacania przyjmowanego asortymentu. Justyna Maguś tak o tym pisze: „Znaczenie Spółki Wydawniczej «Słowa Polskiego» na rynku lwowskim podnosiły publikacje dzieł literatury polskiej i obcej. Jak podała Ewa Wójcik, w latach 1897–1914 ukazały się 84 pozycje, w tym utwory: Ewy Dzieduszyckiej, Arthu-



ra Conan Doyle'a, Maksyma Gorkiego, Rudyarda Kiplinga, Marii Rodziewiczówny, Gabrieli Zapolskiej. Poza tym drukarnia wykonywała zlecenie instytucji naukowych i społecznych". Wśród nich również interesującą nas książeczkę. Większość przywoływanych tu pozycji ukazała się właśnie „pod zarządem Józefa Ziemińskiego”, który prowadził ją aż do roku 1912. To zaledwie zewnętrzna otulina dokumentu sygnowanego przez dwie organizacje nauczycielskie z zaboru rosyjskiego i austriackiego: warszawskie Towarzystwo Nauczycieli i Nauczycielek Ludowych Królestwa Polskiego i lwowskie Polskie Towarzystwo Pedagogiczne w Galicji. Te dwie organizacje, poczynając od 1905 roku do 17 marca 1907, zbierały wszelkie informacje o represjach rządu pruskiego wobec polskich dzieci szkolnych i ich rodzicach. „Zupełnie pominięta są w tym obrazie – piszą autorzy – represje wobec duchowieństwa polskiego rzymskokatolickiego, którego wybitnych przedstawicieli skazano na nadzwyczaj wysokie kary pieniężne, a niezrędko na więzienie od paru tygodni aż do kilku miesięcy, a po wtóre nie są uwzględnione represje wobec prasy polskiej, na którą w czasie trwania oporu szkolnego nałożono wysokie stosunkowo kary pieniężne dochodzące do ogólnej sumy kilkudziesięciu tysięcy marek” (s.44).

Powstała zatem specyficzna odmiana „białej księgi”, traktującej o sytuacji dzieci, rodziców, nauczycieli w trzecim zaborze – pruskim. Nieprzypadkowo; bowiem chęć wyeliminowania języka polskiego w szkole przybrała w okresie pierwszej dekady XX stulecia formę skrajnie dramatyczną. By nie rzec – ostateczną. Walka w obronie języka polskiego stała się walką (używam tego określenia za autorami dokumentu) o najdalsze już rubieże żywiołu polskiego. Ale była też ogromnym zaskoczeniem dla mieszkańców dwóch pozostałych zaborów. „Poznańczyk w opinii Polaka innych dzielnic był istotą na poły zmienioną, zmaterializowaną, wyżyłą ideałów, u Niemców zaś rodowitych zaliczał się do ludów na pół dzikich. Zdawało się zatem, że Poznańskie, a tem więcej Prusy królewskie i Śląsk, ulegające już dawniej wpływowi niemieckiemu, dobiegają kresu swych dziejów rodzimych. Stało się inaczej” (s. 3). Nie czas na przedstawianie kolejnych faz unicestwiania żywiołu polskiego w zaborze pruskim wraz ze Śląskiem. Przytoczmy zaledwie kalendarium zdarzeń, które zmieniły tu obraz szkolnictwa i doprowadziły do tragicznych zdarzeń przywołanych w „białej księdze”. Jej

autorzy twierdzą, że „do roku 1871 rozwijało się szkolnictwo w zaborze pruskim w ogóle prawidłowo, także ze względu na język polski, zagwarantowany traktatem wiedeńskim i obietnicą monarchy przy objęciu Wielkiego Księstwa Poznańskiego” (s. 3–4). Dopiero po wojnie francusko-pruskiej władze prowincjonalne prostym, zwyczajnym rozporządzeniem (sic) wprowadziły język niemiecki jako podstawowy w nauczaniu. Dla Górnego Śląska – 20 września 1872, w Prusach Zachodnich – 24 lipca 1873, w Poznańskim 27 października 1873 roku. „W Prusach i na Górnym Śląsku rozporządzenie to tę samą zasadę także do nauki religii na wyższym i średnim stopniu, zostawiając tylko na najniższym wykład polski dla polskich dzieci” (s.5). Przełomowym rokiem dla lokalnej edukacji był rok 1887, kiedy to jeden z ministrów (nazwisko pominięty) 7 listopada znowu – a jakże, rozporządzeniem – skreślił zupełnie naukę w języku polskim, a czas przeznaczył na naukę języka niemieckiego, który miał też wyprzeć polszczyznę z nauki religii. „Idąc tym szlakiem – piszą autorzy – rząd zaprowadził stopniowo już w mniej więcej 700 szkołach w Poznańskim naukę religii niemiecką na wyższym i średnim stopniu, a od Wielkiejnocy 1906 zaczął się wdzierać nawet do stopnia najniższego, tj. do dzieci 6 – i 7 – letnich. I przebrała się cierpliwość polskiego ludu” (s. 7).

Odpowiedzią były wydarzenia z października tegoż roku szczegółowo opisane już w literaturze historycznej. Natomiast ta „biała księga” – tym mianem nazywamy zazwyczaj rodzaj raportu opisującego beznamiętnie zdarzenia ważne lub tragiczne – pokazała dramatyzm i ogrom nieszczęśliwych ludzi, rodzin lokalnych społeczności, płacących ogromną cenę za odwagę mówienia „nie” władzy. Gdzie najniższą ceną było pobicie w klasie przez nauczyciela, areszt szkolny; wyższą – pozostawienie na drugi rok w tej samej klasie za „niedojrzałość moralną”, jeszcze wyższą – „wilczy bilet”. Wstrząsające wrażenie robią takie oto zapisy:

IMIELNIA (Górny Śląsk). Nauczyciel Ołowiński przykłada do twarzy rozpalony hak od pieca (s.14).

KAMIEN (Stein, Górny Śląsk). Nauczyciel uderzył tak silnie w głowę Annę Stanulczyk, że ta upadła i przecięła sobie brodę na 1 1/2 cm szerokości (list oryginalny).

SIOŁKOWO (Górny Śląsk). Nauczyciel R. Demski pobił córkę 7-letnią Karola Kuliga za to, że owinęła szkolną książkę w polską gazetę (Lech 29 października 1905) s. 15.

Jednak najbardziej wstrząsające jest przesłedzenie losów dzieci zabieranych na przymusowe wychowanie. Jedno ze zdarzeń szczegółowo opisanych, wraz z dołączoną pełną dokumentacją sądową i uchwałą sądu ziemiańskiego w Gliwicach, dotyczy trojga dzieciaków.

ZABRZE (Górny Śląsk). Wyrokiem sądu okręgowego zabrano na wychowanie przymusowe 12-letnią Martę Zych oraz 12-letnią Marię Piechę i 11-letniego Franciszka Piechę za strajk szkolny.

U w a g a: we wszystkich powyższych przypadkach uchwały sądowe motywowano tym, że rodzice zakazując odpowiadać po niemiecku w nauce religii, nadużywali władzy rodzicielskiej i jako wychowawcy własnych dzieci okazywali się z państwowego punktu widzenia nieodpowiednimi (s. 34).

Ostatecznie dzieci zostały zwrócone rodzicom, ale ostrzeżono i pogroźono ojcom, a co ważniejsze wnikliwie obserwując ich poczynania. Nie zdziwiłbym się, gdyby inne źródła historyczno-archiwalne ujawniły dalsze losy tego człowieka. Mógł zostać wyrzucony z pracy, mógł emigrować, mógł też, jak to się zdarzało, zapłacić cenę najwyższą. Czytając te informacje uderza specyficzne uzasadnienie owej sądowej „Uwagi”. Ale jeszcze bardziej przeraża odnotowana przez „Dziennik Poznański” 21 listopada 1906 roku wypowiedź nauczyciela z Raciborza: „Profesor gimn. dr Machele rozwodząc się o walce szkolnej, powiedział: «Nie na drodze prawa nastąpi rozstrzygnięcie, tylko przez naszą przewagę. Musimy Polaków zwyciężyć, dopiero wtedy możemy nazwać polski kraj jako nasz własny, niemiecki. I to jest zadaniem nauczyciela i szkoły»” (s. 41).

Celem tej publikacji nie było wzbudzenie litości czy wzruszenia. Autorzy pragną jedynie przedstawić dramatyczny, zapętlony i niemożliwy do przerwania krąg zależności: między żelaznym ramieniem mocarstwa, hamletyzujących wykonawców ich woli, zawieszonych między sumieniem a zobowiązaniami; i dziećmi mówiącymi cicho „Ojciec nasz”, „Zdrowaś M a r i o” i „Wierzę”, tak, jak ojciec i matka uczyli. ■





### Domysły na temat Iskarioty

„Co masz czynić – czyni prędej”  
rzekł do niego Jezus  
gdy w sercu Iskarioty walczyły  
lojalność z chciwością

Wiedział co uczeń jego uczyni  
podał mu chleb zmiękczonej  
jak dziecku, które naiwne  
mogłoby skaleczyć swe dłoń

Nie wiedział nieszczęsny Judasz  
że czyn jego zapowiedziany został  
nim on sam pojawił się jako myśl na ziemi

„wziąłem więc trzydzieści srebrników  
i wrzuciłem je do skarbony domu Pańskiego”  
Skarbona stała się bramą

Pozostanie Judasz zagadką na wieki  
jako ten jedyny spoza Galilei uczeń.

A może z Galilei właśnie?  
A przydomek jego „kłamca”?

nie został papieżem  
nie spisał ewangelii  
nie wybaczył sam sobie

Wreszcie jako jedyny  
nie wyrzekł się Tego,  
który go uczniem wybrał

„Wylewacie krew niewinną”  
jedyne co dane nam było usłyszeć  
przed tym jak Judasza skryła  
wieczna cisza

Spisał więc swoje życie na sznur  
jemu uwierzył,  
bo w siebie wierzyć już nie mógł

W Szeolu przyszło mu spocząć  
blask został odebrany jego oczom

Jednak zszedł do piekieł  
pewien Skazaniec  
co na Golgocie  
po Judaszu Wiszącym  
„Dokonało się”  
szepnął konając

I spojrzął na ucznia  
uczeń na Pana

Co było dalej?  
Pozostało spisywać jedynie  
domysły na temat Iskarioty.



### Odys miasta

Narzucili mu cel  
ku Penelopie zmierza  
jej jednak brak

Odys został sam  
przemierza wciąż miasta  
nigdy nie wrócił do Itaki

Podróż jego bowiem  
weszła w niego  
a on w nią

Nie porzuca się bycia w drodze  
Homo viator – nowy gatunek  
odkryty na potrzeby nowej rzeczywistości

powszechnie znany Ulisses  
powszechnie prawy  
Jedyny a przy tym pospolity

Poznał zagubiony  
w objęciach Kirke  
smak spokoju

Kochała go  
on jednak w całym swym sprycie  
nie potrafił dostrzec  
tego co prawdziwe

Ruszył dalej  
tuła się po mieście  
Potwory stały się ludzkie

Wydaje się Odysowi,  
że dotarł do celu

Głupi ten, który ufa syrenom.

Widzi Penelopę, dzieci, Itakę  
pozostaje jednak w podróży  
naiwny w swej mądrości  
powszechny w swej niezwykłości

# Epitafium dla Lili Goldstein

**Dr med. Lili Maria Goldstein, mistrz, przewodnik, Mentor, dzięki której uratowano setki śląskich, polskich dzieci z wrodzonymi wadami serca. Założyciel, Lider i wieloletni Kierownik Kliniki Kardiologii Dzieci Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrze.**



**W** dniu 18 grudnia 2020 na cmentarzu ewangelickim w Łodzi spora grupa polskich lekarzy, kardiologów, pediatrów odprowadziła na wieczną drogę swojego mistrza i nauczyciela, okazując nieprzemijającą pamięć i wielki szacunek. Dr med. Lili Maria Goldstein to jedna z najwybitniejszych po wojnie polskich lekarzy, pediatra, kardiolog, urodzona 24.10.1925 w Łodzi, jej ojciec był cenionym i szanowanym księgowym, matka Maria, słynną pianistką.

Po wybuchu II wojny światowej, Lili Goldstein była zmuszona przerwać naukę szkolną i uczyła się sama w domu. W roku 1941 została skierowana przez okupanta to pracy początkowo w biurze, a następnie w fabryce butów. Po wojnie wznowiła naukę w liceum Marii Konopnickiej w Łodzi, które ukończyła w 1946.

Z wielkim trudem podjęła studia w dziale lekarskim Uniwersytetu Łódzkiego i 31 grudnia 1952 roku otrzymała dyplom lekarza medycyny ze szczególnym odznaczeniem, była najlepszą absolwentką tego rocznika. Od czerwca 1953 roku do września 1954 roku pracowała w Klinice Pediatrycznej Akademii Medycznej w Warszawie jako stypendystka Instytutu Doskonalenia Kadr Lekarskich. Na osobistą prośbę jej bliskiego przyjaciela z czasów wojny, dra Marka Edelmana, zajęła się szkoleniem pediatrów w warszawskiej Uczelni Medycznej, gdzie powojenne niedobory kadry specjalistów były dramatyczne. Ze względu na nieprzeciętną zdolności i nieprawdopodobną pracowitość, zauważył ją pionier kardiologii dziecięcej w Polsce prof. Antoni Chrościcki i zaproponował, aby kierowała oddziałem Kliniki Pediatrycznej w Łodzi. Ona jako pierwsza zorganizowała szczególną opiekę dla dzieci w powojennej Łodzi, gdzie bieda, niedożywienie, gruźlica, a także wyjątkowo duża liczba „dzieci wojennych”, rodzących się z ciężkimi wrodzonymi wadami serca, była szczególnym wyzwaniem dla ówczesnych lekarzy pediatrów.

W roku 1956 prowadziła wykłady szkoleniowe i seminaria w zakresie kardiologii dziecięcej w Instytucie Matki i Dziecka w Warszawie. To ona kształciła pierwsze pokolenie pediatrów, kardiologów w Warszawie

i Łodzi. W uznaniu szczególnych zdolności i wyróżniającej się pracy jako lekarza i nauczyciela akademickiego, otrzymała w drodze konkursu dziesięciomiesięczne stypendium British Council, w ramach którego pracowała i rozwijała się zawodowo w oddziale kardiologicznym szpitala uniwersyteckiego St. Georges w Londynie, jednego z najbardziej nowoczesnych wówczas szpitali w powojennej Europie, gdzie młodą, zdolną Polkę nie tylko szybko zauważono, ale wyróżniono awansowaniem jej na stanowisko Registrara, co oznaczało, że to jej powierzono nadzór nad szkoleniem młodych Brytyjczyków.

Rozgłos jaki uzyskała w Londynie i Wielkiej Brytanii sprawił, że zaprosił ją jako wykładownicę jeden z największych ówczesnych brytyjskich kardiologów dziecięcych, prof. Aubrey Leaham, twórca nowoczesnej szkoły diagnostyki wrodzonych wad serca. W klinice, którą kierował, powierzył dr Goldstein zadanie prowadzenia dwa razy w tygodniu seminariów edukacyjnych, na które przyjeżdżali kardiolodzy nie tylko z Londynu, ale całej Wielkiej Brytanii. Tam też powierzono jej rolę konsultanta – niespotykaną w ówczesnym czasie. Uczestniczyła wspólnie z brytyjskimi lekarzami w kwalifikacji dzieci z wrodzonymi wadami serca do leczenia operacyjnego. Odbywało się to w zniszczonej, powojennej Wielkiej Brytanii, gdzie kardiochirurgia dziecięca i operacyjne leczenie wrodzonych wad serca dopiero się zaczynało. Owocem tych kilku lat pobytu w Akademickich ośrodkach Londynu było nawiązanie współpracy i bliskiej przyjaźni z najwybitniejszymi wówczas kardiochirurgami z Niemiec, Holandii, Szwecji i Stanów Zjednoczonych. Nie było tajemnicą, że to oni przyjeżdżali z ośrodków zagranicznych, aby słuchać wykładów Lili Goldstein z jej cudownym językiem angielskim z oksfordzkim akcentem, a przede wszystkim z nieprawdopodobną umiejętnością wydobycia z badania fizykalnego, które osobiście przeprowadzała, informacji medycznych określających rodzaj wrodzonej wady serca oraz jej złożoność. Ten fenomen sprawił, że otrzymała propozycję pracy jako wykładownica w najważniejszych Uniwersytetach Medycznych ówczesnej powojennej Europy.

Zabiegali o jej pozyskanie wiedząc, że ta fenomenalna Polka z żydowskim rodowodem, która zawsze podkreślała publicznie swoją polskość i była – jak mawiali publicznie – świadkiem i jednocześnie zwycięstwem nad Holocaustem, stała się symbolem odradzającej się po wojnie z ruin Polski, polskiej nauki i medycyny. Ukochanie ojczyzny zdecydowało jednak, że pomimo bardzo atrakcyjnych zaproszeń zdecydowała się powrócić do Polski, aby służyć doświadczeniem i budować przyszłość kardiologii dziecięcej w Polsce. W roku 1965 w Łodzi obroniła pracę doktorską pod tytułem „Rozszczepienie drugiego tonu serca u dzieci zdrowych oraz u dzieci z ciężkimi, sinicznymi wadami serca”, za którą otrzymała w roku 1966 nagrodę Ministra Zdrowia. Rezultat tej pracy spowodował, że upomniał się o nią i po raz drugi zaprosił do wykładów i pracy w Londynie British Council, uznając, że powojenna Europa pilnie potrzebuje takich ekspertów. Wyjechała ponownie do Londynu, do szpitala akademickiego św. Grzegorza, otrzymując pozycję konsultanta, co dla obcokrajowca w owym czasie było niespotykanym wyróżnieniem. Interesujące jest i godne podkreślenia, że w jej gabinecie, w tymże szpitalu, było zdjęcie dra Marka Edelmana oraz liczne zdjęcia z Polski i duży widoczny orzeł z polską flagą narodową.

Ten dwuletni pobyt w Londynie zaowocował tak bogatym dorobkiem naukowym, że w pełni spełniał wymogi ówczesnej pracy habilitacyjnej. Dr Goldstein, zakochana w Polsce, zdecydowała się, pomimo propozycji objęcia kierownictwa tej kliniki w Londynie, powrócić do Polski, aby służyć swoim doświadczeniem klinicznym i naukowym polskiej medycynie. Niestety jej nieprawdopodobnie wysoki dorobek naukowy został w sposób podły i oszczerczy odrzucony przez polską uczelnię jako niegodny Polaka w czasie toczących się burzliwie w Łodzi wydarzeń marcowych.

Zarzut wobec dr Goldstein był podwójny: po pierwsze była obca klasowo, ponieważ ubiegało się o nią tak wiele najlepszych uniwersytetów medycznych Europy, a po drugie jej żydowskie pochodzenie w ówczesnej antysemitkiej Polsce, ogarniętej oszczerstwami

mi wydarzeń marcowych, wyrzuciło ją poza nawias akademickiej Łodzi i z konieczności musiała opuścić Akademię Medyczną w Łodzi, z której ją wyrzucono.

Sama wybrała ordynaturę oddziału dziecięcego w Łodzi i prowadziła go od roku 1974, tworząc tak bardzo potrzebny profil kardiologiczny dziecięcy i kształtując jako pierwsza w Polsce pracownię polikardiograficzną i pierwszą poradnię kardiologiczną dla dzieci.

W roku 1976 uzyskała w Polsce z wynikiem celującym tytuł specjalista pediatra, kardiolog. Jej zagraniczni przyjaciele upomnieli się o nią i ponownie wróciła do Londynu, a następnie w Szpitalu Uniwersyteckim w Rotterdamie, zawsze na stanowiskach ordynatora oddziału.

Miałem przyjemność jako stypendysta Uniwersytetu w Utrechcie któregoś dnia roku 1974 być zaproszony przez ówczesnego profesora Andrea Moularta do udziału w wykładzie dr Lili Goldstein na Uniwersytecie w Leiden, poświęconym nowym możliwościom leczenia jednej z najcięższych wrodzonych wad serca u noworodków, a mianowicie przełożenia wielkich pni tętniczych. Jej wykład był poprzedzony krótkim wystąpieniem nestora holenderskich, europejskich kardiochirurgów, prof. Broma, który we wprowadzeniu do wykładów powiedział w obecności polskiego ambasadora, ale także kardynała Prymasa Utrechtu Wilebramsa, że za chwilę będziecie mieli okazję wysłuchać wykładu dr Lili Goldstein dzięki talentowi której i niezwyklej umiejętności diagnostycznej, zdiagnozowaliśmy precyzyjnie wady wrodzone serca u 8 małych dzieci z ciężką siniczą wadą serca i wspólnie z Lili, jak mówił, korzystając z pierwszych amerykańskich doświadczeń pochodzących z Mineapolis, wypracować nową metodę operacyjnego leczenia. Podjąłem się tej operacji tylko dlatego, powiedział prof. Brom, że przekonała mnie o tym dr Lili Goldstein i dzięki temu uratowaliśmy dziecko, które zostało po tej operacji jako pierwsze w historii uratowa-

ne tą metodą. Chcę, żebyście wszyscy wiedzieli, że bez talentu i doświadczenia Lili Goldstein, tej charyzmatycznej Polki, byłoby to niemożliwe. Wykład był fascynujący i trwał dwie godziny, a sposób przekazu tak niezwykle, że Uniwersytet w Leiden poprzez wypowiedzi Rektora publicznie zakomunikował, że byłoby marzeniem Władz Uczelni, aby przyjęła propozycję kierownika Kliniki i stałego wykładowcy.

Miesiąc później otrzymałem od dr Goldstein piękny list przypominając nasze spotkanie po jej wykładzie.

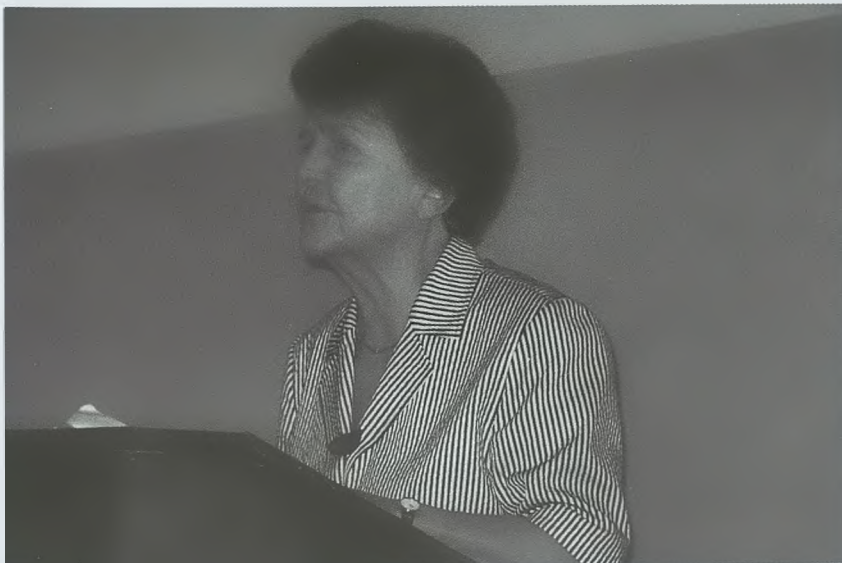
W liście tym przeczytałem, że otrzymała serdeczne zaproszenie do powrotu do Polski i pracy w Zabrzu od prof. Bożeny Hager Małeckiej, która napisała, że sytuacja dzieci z wrodzonymi wadami serca na Śląsku jest szczególnie dramatyczna, nie ma bowiem kadr lekarskich umiejących diagnozować wrodzone wady serca i jej pomoc jest na wagę złota. Lili Goldstein w liście napisała, że słyszała od Zbyszka Religi, że poważnie rozważyła, aby z Warszawy, gdzie operował także dzieci, przyjechać do Zabrze, bo taką propozycję złożył mu prof. Pasyk i namawia mnie, bym wrócił do Zabrze, wzbogacony o holenderskie doświadczenie, bo wszystko wskazuje na to, że ona to Zabrze wybierze, ponieważ w życiu trzeba jeszcze dużo dobrego zrobić. Wkrótce potem dr Lili Goldstein objęła kierownictwo Kliniki Kardiologii Dzieci w Wojewódzkim Ośrodku Kardiologii w Zabrzu, stając się obok prof. Zbigniewa Religi i prof. Pasyka pionierem nowoczesnej kardiologii, rozpoczynając cykl szkoleń śląskich, polskich kardiologów, pediatrów dziecięcych. To z jej inicjatywy i ze wsparciem prof. Pasyka oraz śląskich kopalń pojawiły się nowe urządzenia diagnostyczne do diagnostyki wrodzonych wad serca, takie jak echokardiografia. To dr Lili Goldstein rozpoczęła szkolenie pierwszej grupy śląskich kardiologów dziecięcych: dr Magdę Kowalską, Marię Frycz, dr Białkowskiego, Małgorzatę Szkutnik. Wobec potrzeb, aby rozwi-

nać diagnostykę wad serca u noworodków, poszerzono w Zabrzu z jej inicjatywy cewnikowania interwencyjne włącznie. Procentowała znajomość dr Goldstein z czołowymi europejskimi kardiologami, dzięki czemu zabrzańscy wychowankowie dr Goldstein szkolili się i rozwijali w słynnych ośrodkach zagranicznych. Wszędzie tam przestępka było nie tylko znakomite wykształcenie w Zabrzu, ale także nazwisko ich przełożonej, powszechnie szanowane. Na emeryturę w Śląskich Uniwersytecie Medycznym przeszła decyzją Władz Uczelni 30 września 1993 roku. Wcześniej bardzo przeżyła dramatyczną śmierć jej potencjalnej następczyni dr Magdaleny Kowalskiej. Po przejściu na emeryturę wyjechała na stałe do Szwecji w maju 1997 roku i stale utrzymywała bliską więź ze swoimi uczniami, którzy ją tam odwiedzali. Umarła w Warszawie, gdzie powróciła do syna, wybitnego matematyka wychowanego jako pozostałe dzieci w wielkiej miłości do własnej ojczyzny.

Dla nas uczniów, licznej grupy polskich lekarzy, kardiologów i kardiochirurgów, z Łodzi, Zabrze, Katowic, Krakowa i Warszawy, dr Lili Goldstein była i na zawsze pozostanie wielkim Mentorem, Nauczycielem i Przewodnikiem, która uczyła nas nie tylko nowoczesnej medycyny, ale przede wszystkim umiłowania pacjenta i rozumienia jego potrzeb. Dzisiaj, kiedy odeszła od nas, pozostaje w nas i w naszych uczniach trwała pamięć o tej niezwyklej osobie, która na trwałe weszła do historii medycyny Zabrze i Śląska, dzięki której zostały uratowane setki dzieci z wrodzonymi wadami serca. Ta pamięć jest na tyle trwała i niezniszczalna, że nowopowstający Akademicki Szpital Kardiologiczno-Kardiochirurgiczny w Zabrzu będzie nie tylko spełnieniem marzeń prof. Zbigniewa Religi, aby Śląski Uniwersytet Medyczny miał taki nowoczesny szpital akademicki, ale także aby zachować pamięć wielkich Pionierów Zabrze (Zbigniewa Religi, Stanisława Pasyka, Lili Goldstein). Z tego względu w powstającym szpitalu Oddział Kardiologii Dziecięcej będzie nosił jej imię, a decyzją Dyrektora Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu i współpracowników, rok rocznie od tego roku nagrodę specjalną Dyrektora SCCS za najwybitniejsze osiągnięcia w dziedzinie kardiologii dziecięcej w Polsce, zwanej nagrodą dr Lili Goldstein, będzie przyznawana najlepszym wśród najlepszych polskich lekarzy.

Odeszła od nas osoba, która w szczególny sposób pokochała Śląsk i dzieci Śląska, które pilnie potrzebowały jej pomocy. To śląskie dzieci, które dzięki niej przeżyły i zostały uratowane oraz ich lekarze i opiekunowie, dzisiaj odwzajemniają tę wielką miłość trwającą pamięcią i szacunkiem. ■

*Prof. Marian Zembala,  
Dyrektor Śląskiego Centrum Chorób  
Serca w Zabrzu, Kardiochirurg,  
Transplantolog*



*Dr med. Lili Maria Goldstein, mistrz, przewodnik, mentor, dzięki której uratowano setki śląskich, polskich dzieci z wrodzonymi wadami serca. Założycielka, lider i wieloletnia kierowniczka Kliniki Kardiologii Dzieci Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu.*

# Śląskie tajemnice cz. 34

## Gdzie jest generał?

JULIA MONTEWSKA

**N**a wstępie uprzedzę, że wcale nie chodzi o polski film z 1963 roku w reżyserii Tadeusza Chmielewskiego, czyli komedię o takim tytule. Tym razem jest to historia prawdziwa, smutna i niedopowiedziana, dlatego warto ją przedstawić. Jej główny bohater to Friedrich Wilhelm Freiherr von Seydlitz-Kurbach, pruski generał z XVIII wieku a miejscem akcji jest śląska wieś Minkowskie, konkretnie zlokalizowany tam pałac.

Friedrich Wilhelm Freiherr von Seydlitz-Kurbach urodził się 3 lutego 1721 roku w Kalmar niedaleko Kleve (Brandenburgia) w rodzinie oficerskiej. Jego ojciec był majorem kawalerii, jednak zrezygnował z wojska i po zakończeniu służby został leśnikiem; zmarł, gdy młody Wilhelm miał zaledwie sześć lat. Trudna sytuacja rodzinna miała ponoć dość duży wpływ na jego edukację i tak dla przykładu można przytoczyć, że o ile po niemiecku pisał poprawnie, to już francuski i łacina nie szły mu najlepiej, więc jeśli miał wybór, zawsze wybierał niemiecki. Dużo lepiej wychodziła mu za to jazda konna, bo już jako siedmiolatek bardzo dobrze jeździł konno, ba, ścigał się ze starszymi kolegami, a i niejeden dorosły miał z młodym Wilhelmem problemy w wyścigach. Od młodych lat był bardzo porywczy i lubił wyzwania, czym wzbudzał podziw i niedowierzanie, prawdopodobnie dzisiaj uznalibyśmy, że ma ADHD – niemniej w tamtych czasach nikt o tym nie słyszał, a wyczyny Wilhelma uznawane były za odwagę. W wieku czternastu lat trafił na dwór margrabiego Fryderyka Wilhelma Brandenburg-Schwedt, który, jak podają historycy, nosił przydomek „szalony”. Najwyraźniej obaj panowie bardzo przypadli sobie do gustu, a sam margrabia znalazł równego kompana do konnych wyczynów, które gromkim echem odbijały się na salonach. Wśród wielu opowieści na wyróżnienie zasługuje ta, w której to podczas jednego zakładu obojga panów młody Seydlitz dosiadł zamiast konia dzikiego jelenia. Sam Wilhelm lubił popisywać się swą odwagą, a jego jazda pomiędzy rozpedzonymi łopatami wiatra na pełnych obrotach obrosła legendami. Podobnie było z karierą wojskową, heroiczna odwaga – wręcz postrzegana jako skrajna głupota i szaleństwo sprawiła, że Seydlitz stał się bożyszczem, człowiekiem-legendą całej armii pruskiej. Człowiek z charyzmą, generał kawalerii, bohater wielu bitew i wojen, przyjaciel króla – prywatnie hulaka, swawolnik, kobięciarz niestroniący do alkoholu i tytoniu (palił od młodych lat). Ustatkował się w wieku 38 lat, niestety nie miał szczęścia w małżeństwie. Walczący z nawrotami choroby osiadł w Minkowskim.

Około roku 1765 zapoczątkował budowę okazałego pałacu w tejże miejscowości, niestety budowy nie ukończył – dopadła go śmierć, której przetrzył w oczy przez większość swego 52-letnie-



Odnaleziona przez autorkę płyta z grobowca generała

go żywota. Jako powód zgonu podaje się ciążącą się przez lata kiłę, chociaż niektóre źródła wskazują na udar, o czym miała świadczyć zdeformowana, wykrzywiona w nienaturalnym grymasie twarz. Złym stanem Seydlitza zaniepokoił się sam król, który w ostatnich dniach złożył mu wizytę w Minkowskim, namawiając do przyjmowania medykamentów. Ostatecznie sparaliżowany, czy to z powodu kolejnego udaru, czy leżącej u jego podstaw kiły trzeciorzędowej, Seydlitz zmarł w Oławie w listopadzie 1773.

Pochowano go w cieniu parkowych lip, jak na wielkiego generała przystało, z honorami, w pełnym rynsztunku, wnosząc grobowiec opatrzony marmurową tablicą inskrypcyjną oraz dla wiecznej chwały sentencją pióra Fryderyka Wielkiego: FRIDER. WILH. L.L. B. DE SEYDLITZ. NAT. A. MDCCXXI. DENAT. A. MDCLXXIII. CINERES. Obok pięknej amfory na grobowcu spoczął drzemający lew, ten odwieczny symbol majestatu i odwagi miał strzec wiecznego spoczynku generała.

Spokój ten został bezpowrotnie zmącony w 1967 roku, za cichym przyzwoleniem ówczesnych władz, gdy w biały dzień młotami rozbito grobowiec wywekając na zewnątrz doczesne szczątki arystokraty. Lew ponoć trafił do jakiegoś muzeum, biała broń, jak i reszta cennych przedmiotów z grobu, została najwyczejniej rozkradziona, a szczątki generała zakopano w pobliżu biorąc odwet za to, że był prusakiem.

Na pięćdziesiąt trzy lata świat o generale zapomniał, bo i kto miałby się upomnieć o los jakiegoś tam „prusaka”, być może to mój upór i fascynacja pałacem w Minkowskim przyczyniła się do tego, iż ta historia ożyła na nowo i dało się dopisać jej kolejne wersy. Okazało się, że płyta z grobowca rozbitego przed laty trafiła pod dom pracowni-

ka leśnego i przez długie lata służyła jako utwardzenie wejścia, a w końcówce lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, gdy nowym właścicielem pałacu stała się osoba prywatna – płyta została przez niego przywłaszczona i ukryta pod rumowiskiem cegieł i suchych gałęzi. Gdy przed domem leśnika budowano szambo, które wypadło w miejscu powtórnego miejsca pochówku, szczątki Seydlitza pogrzebano kolejny raz obok szamba, właściciel o tym wiedział i w jednej z rozmów wyznał „A czy pani wie gdzie jest tablica z grobowca generała? – ja ją mam”. Nie dawałam temu wiary i być może całą historię uznałabym za czcze przechwałki człowieka, który w pewnym sensie chce zrobić na mnie wielkie wrażenie, gdyby nie fakt, że tablicę odnalazłam.

Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków łaskawie objął tablicę inskrypcyjną generała indywidualną ochroną konserwatorską (cokolwiek to znaczy), pozostawiając ją w miejscu, w którym ją zostawiałam na przechowanie, a mianowicie w jakimś pomieszczeniu gospodarskim i na nic się zdały uwagi, że to miejsce najgorsze z możliwych – według służb konserwatorskich zabezpieczenie tablicy jest odpowiednie. Natomiast nadal nie do końca wiadomo, gdzie podziały się prochy Seydlitza, dosłownie przerzucane jak śmieć z kąta w kąt jego dawnej posiadłości. ■

**Julia Montewska** — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków dolnego śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.





Parowozownia Bytom-Karb Wąskotorowa



Rudy, lokomotywownia

## Początki

Od czasu kiedy w 1825 r. otwarto w Wielkiej Brytanii pierwszą publiczną linię kolejową na trasie Stockton-on-Tees – Darlington i kiedy w 1829 r. Georg Stephenson zbudował lokomotywę parową „Rakieta”, minęło zaledwie kilkanaście lat, a „machina żelazna”, bo różnie ją wówczas nazywano, dotarła na obecne ziemie polskie. W 1842 r. uruchomiono odcinek kolei Wrocław – Oława, zaś w 1845 r. ruszyły pociągi na pierwszym odcinku Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej (Warszawa – Grodzisk Mazowiecki). Nie trzeba było długo czekać, a sieć kolei normalnotorowych pokryła kraj.

W 1846 r. linia Kolei Górnośląskiej połączyła Wrocław z granicą z Galicji w Mysłowicach, zaś na Górnym Śląsku, obok linii normalnotorowych (1435 mm), niezwykle znaczenie zaczęły odgrywać linie wąskotorowe (785 mm), o których chcę tu napisać szerzej.

## Rosbanką do Bytomia

W połowie XIX w. za rozwijającym się żywiolowo przemysłem nie nadążała spedycja surowców i towarów, oparta głównie na transporcie konnym. **Wekturanci**, bo tak nazywano furmanów, transportowali rudę żelaza i kruszców, węgiel i półprodukty między coraz liczniejszymi zakładami przemysłowymi. Niezależnie od pogody i pory roku furmanki pokonywały swoje kilkunasto kilometrowe odcinki, brnąc w błocie lub rozsiewając tumany kurzu. Transport ten w końcu stał się niewydolny, a na dodatek uciążliwy dla mieszkańców miast, zwłaszcza położonego centralnie w tej sieci dróg Bytomia. Zaczęto zatem rozważać wykorzystanie transportu szynowego i po wielu dyskusjach i analizach powołano **Towarzystwo Kolei Górnośląskich**, któremu w 1851 r. udzielono koncesji na budowę i eksploatację kolei wąskotorowej.

W latach 1854–57 zbudowano linie: z Tarnowskich Gór do Rudy Śląskiej Wirku oraz drugą – z Bytomia Karbia do kątowickiego Janowa, budując jednocześnie szereg odgałęzień i bocznic do poszczególnych zakładów. Na początku do ciągnięcia składów użyto koni, więc mieszkańcy zaczęli wąskotorówkę nazywać **rosbanką** od niemieckiego Rossbahn (Ross to po niemiecku koń, rumak). Jednak już wkrótce na głównych liniach zastosowano trakcję parową. Przez prawie pół wieku operatorem przewozowym na **Górnośląskich Kolejach Wąskotorowych** był prywatny przedsiębiorca Rudolf Pringsheim, a od początku XX w. – rząd pruski.

**Do wszystkich zakamarków przemysłu** Śmiało można powiedzieć, że ówczesne Górnośląskie Koleje Wąskotorowe były krwioobiegiem górnośląskiego przemysłu. Docierały prawie wszędzie w trójkącie



# Wąskotorówką przez Śląskie

RYSZARD DĄBROWSKI

**Niegdyś sieć Górnośląskich Kolei Wąskotorowych była krwioobiegiem przemysłu, bowiem oplatała region dwustu trzydziestoma kilometrami torów, dzięki którym wszystkie ogniwa przemysłu były połączone. Po 140 latach nastąpiła likwidacja wąskotorówek. Został tylko odcinek Bytom – Miasteczko Śląskie i Stаницa – Rybnik Stodoły. Te dwa fragmenty służą turystom prawie od dwudziestu lat, przypominając o bogatej historii pociągów o rozstawie torów 785 milimetrów.**

Żyglin (na północy), Rudy (na południowym zachodzie) i Mysłowice (na zachodzie). Łączyły one setki kopalń, hut, fabryk i elektrowni. Koleją wożono rudę żelaza i galmanu wydobywane w okolicy Tarnowskich Gór i Miasteczka Śląskiego do hut; węgiel kamienny z kopalni do elektrowni, koksowni i hut; koks z koksowni do hut; odpady powęglowe i żużel spod wielkich pieców na hałdy; drewno z lasów do obudów chodników kopalnianych; dolomity z kamieniołomów do hut i wapienników; piasek z piaskowni do zamułki kopalnianej, piasek i żwir na budowy, glinę z pokładów do cegielni itd., itd. Górnośląskie Koleje Wąskotorowe nie miały jedynie licencji na przewóz osób.

## Kolejka „tramwajowa”

Ruch osobowy odbywał się natomiast na niektórych liniach, nienależących do GKW, m.in. na trasie Gliwice Trynek – Rudy. Uruchomiła ją spółka **Górnośląskie Tramwaje Parowe**, która wcześniej oddała do użytku pierwszą na Górnym Śląsku linię tramwajową: Gliwice – Piekary. Tramwaje na początku ciągnięte były przez małe lokomotywki, ale ha-

łas i dym przeszkadzał mieszkańcom i w 1898 r. tramwaje przeszły na trakcję elektryczną. Wówczas przesunięto lokomotywki na budowaną akurat linię kolei wąskotorowej Gliwice Trynek – Rudy – Racibórz Płonia, należąca także do Górnośląskich Tramwajów.

Zamiast niedoszedłego tramwaju, powstała kolej, ale z licencją na przewóz osób. Na odcinku Gliwice – Rudy (do 1934 także Gliwice – Racibórz Płania) prowadzono regularny ruch pasażerski, a pociągami (w pewnym okresie nawet „szynobusami”) dojeżdżali do pracy i szkół w Gliwicach i Raciborzu mieszkańcy wsi położonych wzdłuż linii.

Warto w tym miejscu wspomnieć też o **rollbokach**, platformach wąskotorowych do wożenia wagonów normalnotorowych, którymi z okolic Raciborza wożono do Gliwic świeże warzywa (wagon normalnotorowy załadowany produktami wjeżdżał na rollboka, a w Gliwicach zjeżdżał na torowisko tramwajowe i mógł dotrzeć pod targowiską).

W latach 90. XX w. duża konkurencyjność autobusów i starzenie się sprzętu spowodowały likwidację kolei Gliwice – Rudy.



Balkan

Dzisiaj pozostał po niej jedynie siedmiokilometrowy odcinek ze **Stacji przez Rudy do stacji Rybnik Stodoły** i obiekty z układem torowym w Rudach. Na stacji w Rudach utworzono skansen „Zabytkowa Stacja Kolei Wąskotorowej”, który jest jednym z obiektów Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego, a także Europejskiego Szlaku Dziedzictwa Przemysłowego ERIH.

Na torach postojowych stacji w Rudach zgromadzono unikatowe lokomotywy i wagony, a na szlaku spotkać można parowóz Las-49 czy spalinową lokomotywę Lxd2. **Okazjonalnie na tory jeżdżą najstarszy na świecie jeżdzący elektrowóz wąskotorowy**, wyprodukowany w 1896 roku przez firmę Siemens.

Turyści mają do wyboru dwie trasy: **Rudy-Rybnik Stodoły-Rudy bądź Rudy-Stanica-Rudy**. Jazda nie jest długa, ale na pewno emocjonująca; wagoniki kołuszają się rytmicznie po złączach torów, w otwarte okna wpada dym (jeśli ciągnie lokomotywka) lub spaliny, ale wielu turystom przypominają się czasy młodości, kiedy trakcją parową jeździło się do szkoły, na studia, czy do pracy. Podczas podróży rudzką kolejką można podziwiać przestrzeń **Parku Krajobrazowego Cysterskie Kompozycje Rud Wielkich**. Na stacji można skorzystać także z wielu innych atrakcji, takich jak przejażdżki drezynami, zwiedzanie z przewodnikiem lokomotywowni oraz kuźni kowalskiej, odwiedzenie muzeum kolejowego i izby śląskiej, skorzystanie z parku linowego (oferta dla milusińskich).

A skoro już będziemy w Rudach na pewno powinniśmy zajrzeć do dawnego zespołu klasztornego cystersów, z pięknym kościołem Wniebowzięcia NMP oraz na stary cmentarz z grobem **Juliusza Rogera**, wybitnego śląskiego etnografa, entomologa i filantropa.

### Balkan ekspres

W 1909 r. spółka „Spadkobierców Jerzego von Giesche” uruchomiła kolej

wąskotorową do spedycji towarów, ale także dowozu pracowników i urzędników spółki, nazywaną przez miejscową ludność popularnie „Balkanem”, albo „**Balkan ekspres**”. Początkowo woziła tylko robotników między różnymi zakładami spółki (np. różnymi szybnymi kopalni „Giesche”), ale od połowy lat 20. także mieszkańców Giszowca, Nikiszowca i Szopieniec (dzisiejszych dzielnic Katowic). Jeździło na zakupy, do szkół, do kościoła. Pociąg robił dziennie 23 pary kursów, a jazda była bezpłatna!

Przebudowa układu komunikacyjnego w rejonie Szopieniec spowodowała przecięcie i likwidację „Balkanu” pod koniec 1977 r. Mieszkańcy Giszowca i Nikiszowca musieli się przesiąść do autobusów, które jednak już nie były bezpłatne.

### W rękach pasjonatów

Po podziale Górnego Śląska w 1922 r. podzielono także Górnośląskie Koleje Wąskotorowe.

Z II wojny światowej Górnośląskie Koleje Wąskotorowe wyszły bez większych strat i od 1945 r. do swego końca

prowały normalną działalność. Kryzys wąskotorówek rozpoczął się dopiero u progu lat dziewięćdziesiątych XX w. Rozwijający się transport samochodowy, gwałtowny spadek przewozów i pierwsze likwidacje linii zanotowano po 1987 r. Zasadniczy wpływ na ten fakt miała stopniowa likwidacja górnośląskiego przemysłu ciężkiego. Kolej w tym regionie została stworzona przez przemysł ciężki i wraz z jego upadkiem została skazana na likwidację. Zakłady zaczęły się obywać bez kolei, kolej bez nich nie. I wydawać by się mogło, że przypadnie ona bezpowrotnie, jak całe odcinki torowisk rozkradzione przy milczącej akceptacji władz kolejowych.

Znalazła się jednak grupa pasjonatów ze **Stowarzyszenia Miłośników Kolei**, która przy zyczliwym stanowisku gmin Bytom, Tarnowskie Góry i Miasteczko Śląskie ocaliła 21-kilometrowy fragment – rozległej niegdyś, bo liczącej 230 km długości – sieci Górnośląskich Kolei Wąskotorowych. Dzięki nim liczący ponad 160 lat odcinek Bytom – Tarnowskie Góry – Miasteczko Śląskie ożył.

Linia liczy ponad 21 km; pociąg pokonuje tę odległość w nieco ponad godzinę, przewożąc turystów i wycieczkowiczów. Ci, którzy chcą poczuć atmosferę jazdy wąskotorówką, mogą skorzystać z regularnych kursów od czerwca do września (trzy pary dziennie). Stowarzyszenie Górnośląskich Kolei Wąskotorowych organizuje również „**Srebrny Pociąg**” – kurs kolejką z Bytomia do Zabytkowej Kopalni Srebra w Tarnowskich Górach, połączony ze zwiedzaniem kopalni i powrotem – oczywiście kolejką, bowiem obydwa obiekty, kopalnia i Górnośląskie Koleje Wąskotorowe w Bytomiu, znajdują się na Szlaku Zabytków Techniki województwa śląskiego.

Stowarzyszenie organizuje także zwiedzanie największej stacji GKW – Bytom Karb Wąskotorowa. Zachowały się na niej budynki lokomotywowni, gdzie



Lokomotywa tramwajowa



Rudy, lokomotywownia, pocz. XX w.



Stacja Bytom-Karb Wąskotorowa

zobaczyć można m. in. dwa parowozy, pojazdy spalinowe (w tym powszechnie stosowaną rumuńską lokomotywę typu Lxd2), wagony towarowe i osobowe oraz pojazdy pomocnicze (np. drezynę). Ciekawostką jest wagon salonka z 1912 roku.

Jazda na trasie Bytom – Miasteczko Śląskie pozwala na poznanie wielu atrakcji Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii. Jednym z pierwszych, widocznych z okien wagoniku jest Elektrociepłownia „Szombierki” w Bytomiu, nazywana przez niektórych „katedrą industrialu”. Potem mijamy stację wąskotorową Bytom-Karb z widocznymi wieżami szybowymi kopalni węgla kamiennego „Bobrek” i wieżami kościoła Dobrego Pasterza w Karbie. Później las bytomski i tereny wydobywania dolomitu na pograniczu Bytomia i Tarnowskich

Gór z głębokim na 70 metrów wyrobiskiem po kopalni dolomitu i hałdą popłuczkową, wpisana do rejestru UNESCO. Wreszcie pociąg dojeżdża do Zabytkowej Kopalni Srebra w Tarnowskich Górach i po jakimś czasie do samych Tarnowskich Gór. Pociąg omija łukiem stację osobową i rozległą stację rozrządową Tarnowskie Góry i wjeżdża w lasy tarnogórskie, w których schowane jest sztuczne jezioro Nakło-Chechło z plażą i licznymi ośrodkami wypoczynkowymi. Swój kurs wąskotorówka kończy na skraju Miasteczka Śląskiego. Jeśli mamy chwilę warto je odwiedzić.

\*\*\*

I tak kolej wąskotorowa na Górnym Śląsku, której pożytków nie sposób niegdyś zliczyć, skupiła się, na szczęście, na jednym – turystyce. Prowadząc przez malownicze okolice Bytomia, Tarnowskich Gór Miasteczka Śląskiego i Rud, daje pasażerom możliwość zwiedzenia Kopalni Zabytkowej Rud Kruszczośnych, Skansenu Maszyn Parowych i Aquaparku w Tarnowskich Górach, ośrodka rekreacyjnego z całorocznym stokiem narciarskim Sportowa Dolina w Bytomiu, ośrodka rekreacyjnego nad sztucznym zbiornikiem wodnym Nakło-Chechło, zespołu dawnego opactwa cysterskiego w Rudach i innych atrakcji, których nie brakuje w Parku Krajobrazowym Cysterskie Kompozycje Krajobrazowe Rud Wielkich i wspomnianych wyżej trzech miastach.

A jadąc kolejką, możemy sobie zanucić „Hymn kolejarzy wąskotorowych” Skaldów ze słowami Wojciecha Młynarskiego:

Bo pamiętajcie proszę to  
 Że prócz pociągów, co w dal mkną  
 Wiedzie je dróg żelaznych sto  
 Przez całą dobę  
 Są też kolejki wąskoto  
 Są też kolejki wąskoto  
 Są też kolejki wąskoto  
 Wąskotorowe.



Lokomotywa Górnośląskich Kolei Wąskotorowych

## Powrót do domu

WOJCIECH LIPOWSKI

Gdy opadł bitewny kurz, ucichły odgłosy walki, żołnierze polegli, gdy już dawno pochowaliśmy epickie opowieści o ich bohaterskich czynach, bo nas zwyczajnie znudziły, nieoczekiwanie znaleźliśmy się na wymazanym patriotyczną krwią cmentarzu, na którym ustawiono siedem białych trumien. Niby nic osobliwego, gdyby nie przejmujący śpiew. To śpiewała zapomniana przez wszystkich Oleńka, jakby chciała zbudzić śpiących rycerzy, nie tych spod Giewontu, ale zaklętych w powieści Sienkiewicza. Czy ktoś ją jeszcze czyta? Pamięta z lektury, nie adaptacji filmowej czy streszczenia? Może warto przyznać się przed samym sobą, okazją ku temu znakomitą jest najnowszy spektakl Teatru Śląskiego.

Potop, bo o nim mowa, przysposobił dla teatru i wyreżyserował Jakub Roszkowski. Po co mu to było? Może chciał coś istotnego zakomunikować widzom, których serc Sienkiewicz już nie pokrzepi. Może zapragnął przeczytać na nowo tego autora, ożywić jego mowę, ubrać w modne szaty, pokazać jak wiele współczesności, co prawda bardzo odległej od tamtych realiów, odbija się w opisanym zdarzeniach, wartkim toku akcji, postaciach, epizodach, obyczajowości. W końcu dotyczy to również nas, przegładających się w Sienkiewiczowskich bohaterach, którzy wskrzeszają w spektaklu szczególne cmentarzysko zapomnienia.

Nie ma przy tym większego znaczenia – mimo że Roszkowski uczciwie podąża za autorem Trylogii – wierność prawdziwej historycznej czy uproszczenia, które przez dziesiątki lat zarzucano pisarzowi. Sam kwitował je następująco: „czyż nie lepiej i zdrowiej, zamiast malować dzisiejszy stan umysłów i lu-



fot. Przemysław Jendroska

dzi, dzisiejszą ich nędzę, sprzeczność z samymi sobą, bezsilność i szamotanie się – pokazać swemu społeczeństwu, że były chwile jeszcze gorsze, straszniejsze i bardziej rozpaczliwe i że pomimo tego ratunek i odrodzenie przyszło. Tamto może do reszty zniechęcić i zrozpaczyć – to sił dodaje, nadzieję wlewa, ochotę do życia zagrzewa”.

I tu pojawia się zasadnicze pytanie: czy odkurzona galeria postaci, unieruchomiona przez szkolny kanon lektur, czytana przez stereotypy, znane od lat klisze, może dziś jeszcze stanowić pojemny w znaczenia materiał do opisywania obecnego świata i, co chyba najważniejsze, nas samych? Jak się okazuje może. Twórcy tego bardzo oryginalnego przedstawienia pokazali, że mają sposób, aby z powieści Sienkiewicza wydobyć

znane na pamięć historie, ożywić je w nieoczekiwanej, czasem prześmiewczej, groteskowej, ironicznej formie. Przerzucać karty powieści i kolejne epizody nie izolując się od rzeczywistości pełnej wrzenia i hałasu. To właśnie stamtąd dotrą do nas wplecione w kwestie aktorów współczesne, czasem kiczowate, popularne brzmienia, piosenki znanych wykonawców, obecne w zbiorowej pamięci w charakterze komentarza do tekstu, czasem aby podnieść atrakcyjność epizodu, czy pokazać, iż każda żenada i patos mogą docelowo przybierać formę parodii. Stąd ABBA, Elektryczne Gitary, a nawet Paktofonika, Dwa plus Jeden, czy religijna Barka oraz wiele znanych melodii pobrzmiewających zupełnie nieoczekiwanie w niektórych miejscach spektaklu i nie ma co wydziwiać, bo wszystko, co popularne, zrozumiałe dla ogółu odnaleźć można również na kartach powieści.

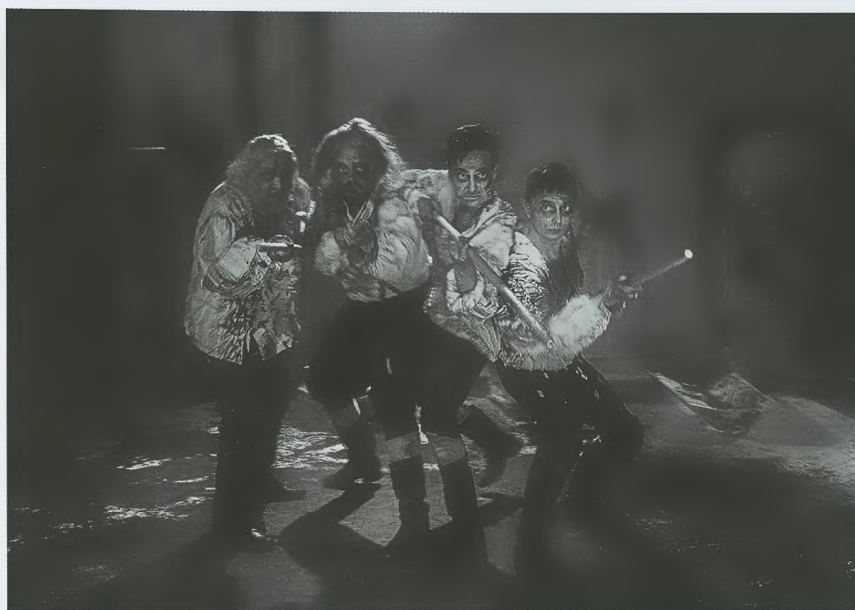
Ten spektakl to bardzo atrakcyjny ciąg pędzących obrazów, grany w dobrym tempie, pośród świetnej, funkcjonalnej scenografii oraz imponujących kostiumów autorstwa Mirka Kaczmarka i mimo ewidentnych ukłonów w stronę publiczności, żartów, czasem wziętych w cudzysłów scen, przynosi fragmenty, których wymowa zachwyca, skłania do myślenia. Jest taki moment, gdy znakomita Anna Kadulska w poplamionej krwią sukience, jako pomięta przez narodowe obowiązki Najświętsza Panienska, niczym w figurze piety, trzyma na kolanach zmęczonego Kmicica (dobra, grana z wyczuciem temperatury sytuacji rola, czasem zabawnego, innym razem refleksyjnego Michała Rolnickiego), który śpiewa parafrazu-

fot. Przemysław Jendroska



jąc słowa Agnieszki Osieckiej: „a ja jestem, proszę pani na zakręcie”. Podkreśla w ten sposób, że dość ma już tarzania się w pyłe bitewnym, nie obchodzą go narodowe tromtadacje a jego powrót zza światów na zbrukaną krwią powierzchnię świata, ma pokazać, że podobni bohaterowie mogą powiedzieć coś współczesnym tylko podejmując, nawet narażając się na śmieszność, dialog z nowocześnieścią. To chyba najbardziej nostalgiczne miejsce tego spektaklu, mimo ewidentnego dystansu, zwraca uwagę na bardzo istotny problem: powracającym zjawom coraz trudniej mierzyć się z życiem, wszak bardziej są przykładami nieprzystosowania niż bohaterstwa. Jak czytamy w innej powieści Sienkiewicza Bez dogmatu ten stan, który prezentują „pochodzi z wyłączenia się duszy z ogółu otaczających ją rzeczy”. Pozostała pustka, którą trzeba wypełnić.

Te oraz inne nawiązania, jak choćby w innej śpiewanej scenie, gdy Wołodziejowski (tę postać odtwarza bardzo oryginalnie i pomysłowo Mateusz Znaniński) przypomina słynną Pieśń o małym rycerzu śpiewaną kiedyś przez Leszka Herdegena, autorstwa Wojciecha Kilara i słowami Jerzego Lutowskiego z 1969 roku; uzmysławiają nam jak daleko jesteśmy dzisiaj od tamtego pojmowania bohaterskich dokonań i jakie zmiany zaszły w zbiorowej świadomości przez wszystkie dekady, że teraz z dystansem, ironią i humorem patrzymy na pełne patosu rytuały. Spektakl Roszkowskiego za bardzo atrakcyjną, barwną fasadą kryje także gorzką prawdę o współczesnym sposobie pojmowania narodowych mitów i w ogóle wszelkich pokrzepień. Wobec faktu, że nasza świadomość opiera się na fragmencie, coraz trudniej jest nam pojąć, jak może wyglądać wspólnota, życie zbiorowe opisywane przez Sienkiewicza. Należy pamiętać, że u niego za idealizowaną przeszłością funkcjonowała bolesna, nieakceptowalna teraźniejszość, więc może i my czytamy opisywane historie w perspektywie współczesnej, jak w spektaklu, nieoczywistej, pełnej zdarzeń dokonanych, fikcyjnych i dziś nieco zetłałych.



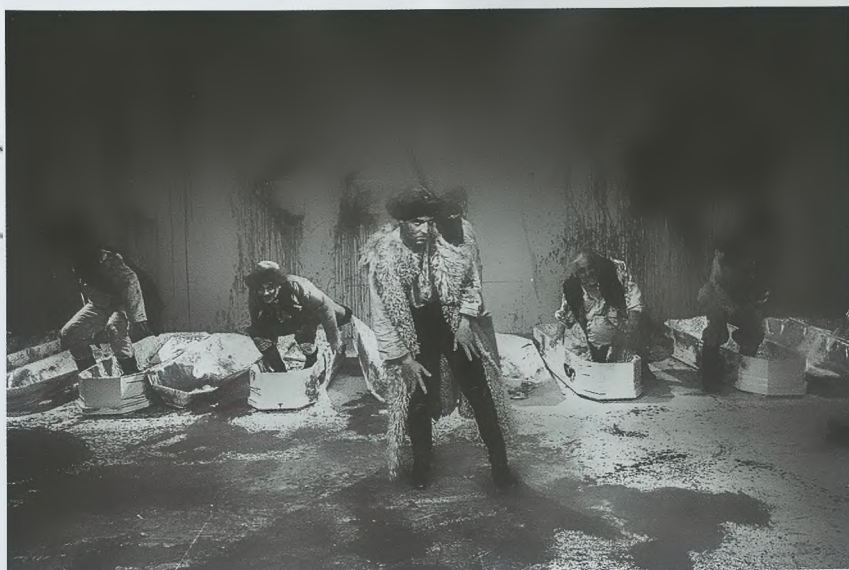
fol. Przemysław Jendroska

Twórcy Potopu wyciągają z cmentarzyśka zapomnienia Kmicica, Oleńkę, czy Wołodziejowskiego nie po to, by krzepić współczesnych, ale poprzez umieszczenie ich w popkulturowym otoczeniu, przypomnieć, że gloryfikowana kiedyś przeszłość nie była tak postrzegana przez tych, którzy w niej żyli. Gdy wspomniana Oleńka (pokazana niezwykle atrakcyjnie przez Klarę Brodę) nuci pieśń otwierającą spektakl, towarzyszy nam przecucie, że step szeroki nie będzie miejscem odtwarzania kolejnych, znanych na pamięć Sienkiewiczowskich historii, adorowania wytartych powiedzonek, znanych niektórym już tylko z reklam, ale dokona się tu coś więcej niż tylko grzebanie w idealizowanej literacko przeszłości. Z sensów, znaczeń, pomysłów, conceptów powieści udało się reżyserowi wydestylować to, co z trudem poddaje się przedstawieniu i może jedynie zaistnieć jako pogłos przeszłości, coś niespodziewanego, zaskakującego w zestawieniu z kultowymi tekstami naszych czasów. Gdy śledzimy dobrze zagrane potyczki, całe układy choreograficzne, spory bohaterów tej historii, gdy Zagłoba (Marcin Gaweł), Skrzetuski (Kamil Suszczyk) i Wo-

łodziejowski przerzucają się dialogami budując ciekawe sytuacje znane nam od zawsze, gdy Roch Kowalski, przeor Kordecki, Janusz Radziwiłł uzupełniają miejsca w barwnym i szalonym korowodzie przypominającym o dziejowych momentach historii – mamy wrażenie, iż spotkanie z ich obecnymi wcieleniami jest szczególnego rodzaju przyjemnością, bo wyjętą z mogiły zapomnienia, nie stawiającą już żadnych wymagań, nie będącą zagrożeniem, która w pełni podlega władzy naszej wyobraźni. Tłem dla niej jest ciekawa muzyka Dominika Strycharskiego. W tym wszystkim nawet ból, by zacytować autora Potopu, przechodzi w rozkosz.

Nie wiadomo dlaczego, gdzieś pod koniec tego tętniącego kolorami, muzyką, ruchem i słowem widowiska przypomniła mi się znana piosenka Bułata Okudźawy o odważnym żołnierzu, który nie zdając sobie sprawy, że jest jedynie papierową zabawką, ginie wchodząc w ogień. Może sprawiła to świadomość płynąca z teatralnej lektury Sienkiewicza, że chyba żaden inny naród nie jest tak mocno przywiązany do rzeczy martwych i mimo upływu czasu wciąż nie umie obchodzić się z pamięcią o przeszłości, wyzwolić się z idealizującego ją postrzegania. Widzowie oglądającemu przedstawienie na szczęście towarzyszy nadzieja, bo przekonano go w prosty sposób, że przeszłości nie należy traktować jako ideału i takie o niej myślenie trzeba odsunąć w historyczny oraz materialny niebyt. A Sienkiewiczowski obraz życia ukazany na kartach poczytnej kiedyś powieści niech stanie się, jak w opisywanym tu teatralnym spektaklu, pełnym blasku i barw powrotem w przeszłość z wszystkimi możliwościami, jakie daje współczesna lektura. ■

**H. Sienkiewicz**  
**Potop**  
 reżyseria, adaptacja, opr. muzyczne  
 Jakub Roszkowski  
 pokaz on-line 18.12.2020  
 Teatr Śląski w Katowicach



fol. Przemysław Jendroska

# Turandot i jubileusz we Lwowie

MARCIN HAŁAŚ

**P**od koniec roku we Lwowie obchodzono jubileusz 120-lecia gmachu tamtejszego Teatru Wielkiego, w którym działa Opera Lwowska. W grudniu na jej scenie „Turandot” Donizettiego wyreżyserował Polak Michał Znaniecki. Niestety, nie doszło do koprodukcji tego spektaklu z Operą Śląską.

Reżyser Michał Znaniecki i włoski scenograf Luigi Scoglio to duet realizatorski doskonale znany w naszym regionie. W Operze Śląskiej wspólnie przygotowali inscenizację „Romea i Julia” Charlesa Gounoda, zdobywając Złote Maski 2017 w trzech najważniejszych kategoriach: spektakl roku, najlepsza reżyseria i najlepsza scenografia. Z kolei w Teatrze Rozrywki wspólnie firmowali „Producentów”, a sam Znaniecki wyreżyserował w Chorzowie „Jekylla i Hyde’a” – również te spektakle zostały obsypane Złotymi Maskami. Michał Znaniecki ostatnio dużo pracuje w Bytomiu, wyreżyserował w Operze Śląskiej także „Traviatę” Verdiego, „Flis” Moniuszki oraz autorskie widowisko muzyczno-literackie „Czekając na Chopina”.

Właśnie via Opera Śląska Znaniecki i Scoglio trafili do Opery Lwowskiej, gdzie przygotowali „Turandot”. W zamierzeniu miała to być wspólna produkcja obu teatrów z podwójną premierą, odbywającą się niemal równolegle w Bytomiu i we Lwowie, gdzie Opera Śląska posiada swoje korzenie. To przecież artyści zespołu operowego Teatru Wielkiego we Lwowie w 1945 roku po ekspatriacji (czyli wysiedleniu) utworzyli w Bytomiu zespół Opery Śląskiej. Koprodukcja nie doszła jed-

nak do skutku – uniemożliwiła ją epidemia koronawirusa. Ostatecznie „Turandot” zrealizowano tylko we Lwowie – na Ukrainie rząd nie zdecydował się na wprowadzenie twardego lockdownu i zamknięcie teatrów (a także restauracji czy np. jarmarków bożonarodzeniowych). Premiera „Turandot” miała miejsce we Lwowie na początku grudnia; właściwie było to kilka premierowych spektakli, gdyż ze względu na obostrzenia epidemiczne ilość publiczności na jednym przedstawieniu musiała zostać ograniczona

Właśnie względu na pandemię przygotowania do lwowskiej premiery „Turandot” przebiegały nietypowo. Michał Znaniecki reżyserował on-line: kamera transmitowała mu obraz ze sceny za pośrednictwem Internetu, a reżyser wirtualnie przekazywał aktorom swoje instrukcje i uwagi. Dopiero na sam koniec, na trzy dni prób generalnych, Znaniecki przyjechał do Lwowa. Z kolei Włoch Luigi Scoglio zaprojektował scenografię, nie będąc fizycznie w budynku lwowskiego teatru.

Efekt pracy międzynarodowego zespołu realizatorów (drugim reżyserem była Ukrainka Halyna Wołowicka, a choreografem Diana Theocharidis z Argentyny) należy ocenić wysoko – zobaczyliśmy naprawdę dobre przedstawienie. Warto zaznaczyć, że spektakle operowe we Lwowie wystawiane są w bardzo tradycyjnej formie. Scenografia sprowadza się najczęściej do tła malowanego na wielkich płótnach. Jeśli pojawiają się większe dekoracje, to „wejżdżają” na scenę pchane siłą mięśni ubranych na czarno pracowników ob-

ługi. Zapewne od czasów Schillera i Horzycy zaplecze techniczne lwowskiego teatru niewiele się zmieniło. Mimo to, jak na tradycję wykonawczą i przyzwyczajenia lwowskiej publiczności, Znaniecki zaproponował nowoczesny spektakl, pozbawiony inscenizatorskich anachronizmów, a jednocześnie... tradycyjny w sensie sztuki i nie epatujący ekstrawagancjami.

## Opera w Teatrze Wielkim

To było pierwsze w historii wystawienie „Turandot” Gaetano Donizettiego na scenie Teatru Wielkiego we Lwowie, który jest obecnie siedzibą Opery Lwowskiej. Mając świadomość, iż jest to swoiste zawracanie kijem Wisły – z uporem Syzyfa zwracam uwagę, że mówienie o samym budynku „Opera Lwowska” należy uznać nieprecyzyjne, a nawet błędne. Gmach powstał jako Teatr Miejski we Lwowie, który w czasach II Rzeczypospolitej zyskał status Teatru Wielkiego. Działy w nim wówczas trzy zespoły: dramatyczny, komediowy i operowy. Pojęcie „Opera Lwowska” wprowadzono dopiero w czasach ZSRS. Warto więc pamiętać o różnicy: gmach to budynek Teatru Wielkiego, a działająca w nim współcześnie instytucja to Lwowski Narodowy Akademicki Teatr Opery i Baletu im. Salomei Kruszelnickiej, czyli mówiąc w skrócie – Opera Lwowska.

O to, by gmachu Teatru Wielkiego we Lwowie nie nazywać Operą Lwowską, dopomina się jego historia. Bo mamy przecież do czynienia z jednym z najpiękniejszych (o ile nie bezapelacyjnie najpiękniejszym!) i najważniejszych budynków polskich teatrów. Został zaprojektowany przez Zygmunta Gorgolewskiego, stanowiąc z jednej strony dzieło sztuki inżynierskiej (budowano go na podmokłym gruncie, na dawnym korycie rzeki Pełtew, którą wpuszczono w podziemny kanał). W chwili otwarcia budynek Teatru Miejskiego we Lwowie był jednym z najnowocześniejszych tego typu obiektów w Europie. Z drugiej strony jest to arcydzieło architektury i sztuki samo w sobie, a wystrój wnętrza przyprawia o przysłowiowy zawrót głowy. Sztukaterie zdobią prawdziwym złotem, rzeźby dekorujące gmach wewnątrz i zewnątrz wykonali najwięksi lwowscy rzeźbiarze, a monumentalną kurtynę namalował na specjalne zamówienie Henryk Siemiradzki. Tę kurtynę Siemiradzkiego można oglądać do dzisiaj – obecnie opuszczana jest podczas niedzielnych spektakli.

Gmach oddano do użytku 120 lat temu – 1 października 1900 roku. Na uroczystości otwarcia obecni byli m.in. Henryk Sienkiewicz oraz Ignacy Jan Paderewski. „W tym

foto. Marcin Hałas



Scena z „Turandot” na scenie Opery Lwowskiej reżyserii Michała Znanieckiego. Premiera: grudzień 2020

gmachu i z niego brzmieć będzie zawsze nasza droga mowa ojczysta na pożytek miasta, narodu i wiekopomną sławę polskiego imienia” – mówił podczas otwarcia Teatru prezydent Lwowa Godzimir Małachowski. Tak się, niestety, nie stało.

### Wagner zamiast Fredry

W październiku tego roku dyrekcja Opery Lwowskiej zorganizowała obchody 120-lecia... Opery Lwowskiej. Kto zna lwowskie realia, tego nie powinno zdziwić, że wątki polskie „wygumkowano”, usunięto i pominięto na tyle, na ile tylko było to możliwe. 120 lat temu na inauguracji działalności Teatru Miejskiego we Lwowie zagrano specjalnie na tę okazję zamówioną i skomponowaną przez Władysława Żeleńskiego operę „Janek”, a także komedię Aleksandra Fredry „Odludki” i widowisko „Baśń nocy świętojańskiej” ze słowami Jana Kasprowicza. Podczas oficjalnej części odegrano trzy hymny: Polski, Austrii i Czech (w takiej właśnie kolejności). Natomiast podczas galowego jubileuszowego koncertu z okazji 120-lecia budynku Teatru Miejskiego we Lwowie wykonano muzykę kompozytora... niemieckiego. Konkretnie – fragment „Tanhausera” Ryszarda Wagnera. Wszystko dlatego, że któryś z ukraińskich archiwistów wynalazł informację, że właśnie kompozycję Wagnera zagrano w roku 1897 w czasie wmurowania kamienia węgielnego pod przyszły Teatr Wielki.

Niestety, całość tę w jakimś sensie weksolowali polscy dyplomaci. Na koncercie galowym pojawiła się z wiązką kwiatów konsul generalna RP we Lwowie Eliza Dzwonkiewicz i wygłosiła kilka gratulacyjnych banałów, zgrabnie nie akcentując polskiego dziedzictwa. A przecież Pani Konsul mogła wypowiedzieć się merytorycznie, mówić o znaczeniu tej sceny teatralnej dla teatru europejskiego, o Schillerze, Horzycy etc., o wielkich kreacjach modernistycznych, ibsenowskich, o Pawlikowskim oraz wspomnieć nazwiska innych polskich twórców – z Heleną Modrzejewską na czele. Tym bardziej, że kultura to jedna z wielu dziedzin, w których prawdę można przypominać bez naruszania „historycznej wrażliwości” naszych „strategicznych partnerów”. Niestety, po raz kolejny polska dyplomacja pokazała, że zamiast robić efektywną polską dyplomację – woli ważne sprawy „odfajkować” na poziomie szkolnej akademii.

### Fontanna, która tańczy

Tymczasem po prawie roku prac, przed budynkiem Teatru Wielkiego we Lwowie zaczęła działać nowa fontanna. Teatr Wielki zamyka perspektywę Wałów Hetmańskich, noszących dzisiaj nazwę Prospektu Swobody (Wolności). Wkrótce po otwarciu Teatru planowano postawić przed nim pomnik Juliusza Słowackiego, wmurowano nawet kamień węgielny, ale



Gmach budynku Teatru Wielkiego we Lwowie. Październik 2020

przygotowania przerwał wybuch I wojny światowej. Do idei wrócono w czasach II Rzeczypospolitej, w 1925 roku rozpisano i rozstrzygnięto nawet konkurs na projekt tego pomnika, ale przedsięwzięcia znów nie doprowadzono do finału. Ostatecznie przed Teatrem Wielkim stanęli zupełnie inni (anty)bohaterowie. Niemcy po zajęciu Lwowa w 1939 roku postawili tam obelisk ku czci... Adolfa Hitlera. Obalili go Sowieci, którzy w 1952 roku wzniesli w tym miejscu pomnik Lenina.

Lwowski Lenin został zburzony 14 września 1990 roku, a podczas jego rozbioru odkryto, że pod fundamentem coło kładziono m.in. rzeźby zagrabione z Cmentarza Obrońców Lwowa. Wydobyto wówczas m.in. posąg orła, zdobiący kiedyś pomnik nagrobny generała brygady Bolesława Popowicza. Dzięki staraniom Konsulatu Generalnego RP we Lwowie w 2013 roku rzeźba ta po renowacji wróciła na COL i obecnie przechowywana jest w Kaplicy Orłąt.

Natomiast w 2009 roku przed obecną Operą Lwowską uruchomiono fontannę, którą teraz zdecydowano się zastąpić no-

woczesnym wodotryskiem – tzw. suchym, czyli bez misy, w którym strumienie wody strzelają w górę z dysz wmontowanych w powierzchnię trotuaru. Starą fontannę rozebrano jesienią 2019 roku, a prace nad montażem nowej instalacji trwały równy rok. Nowa fontanna została uruchomiona w październiku ubiegłego roku, krótko przed wyborami samorządowymi, w których reelekcję uzyskał dotychczasowy mer miasta Andrij Sadowy.

Nowa fontanna nie tylko tryska, ale również tańczy, świeci, a nawet... gra i śpiewa. Oprócz wodotrysków w płycie zamontowano również zmieniające kolory reflektory. Zmieniające się rodzaje strumieni nazywane są „tańcem wody” z grą świateł, a wszystko zintegrowane zostało z systemem głośników, z których płynie muzyka operowa i operetkowa. Nowa fontanna po uruchomieniu przyciągała tłumy mieszkańców miasta, doczekała się tysięcy fotografii zamieszczanych w mediach społecznościowych, ale pojawiły się również opinie, wedle których całość jest zbyt jarmarczna jak na to miejsce i na takie otoczenie architektoniczne.

# Polonistyczne podsumowania

## O księgach-manifestach trzech ostatnich zjazdów filologów

JERZY PASZEK

O kres zasłużonej emerytury badacza języka ojczystego może sprzyjać przyjaznemu spojrzeniu na własne i cudze osiągnięcia. Eksplozją erudycji bywają tomy zbiorowe, które powstają na podstawie wystąpień plenarnych i bardziej specjalistycznych (czyli w szczupłych zespołach, zajmujących się, np., kwestiami tak elitarnymi, jak edycje tekstów łacińskich, litewskich, judaistycznych w Polsce), a także na fundamencie długich dyskusji oficjalnych bądź też kuluarowych. Chcę się więc przyjrzeć księgom, podsumowującym kolejne zjazdy w Warszawie (1995), Krakowie (2004) oraz Katowicach (2011). W jednym z referatów wyczytałem, iż filolog powinien być wdzięczny państwu „jako instytucji finansującej nasze hobby” (3, 279).

Co z mojego hobby zyskało państwo? Po pierwsze, uczyłem pisać po polsku młodzież szkół średnich i wyższych przez półwiecze (od 1963 do 2015). Po drugie, wykonałem ponad 50 naukowych recenzji w ważnych czasopiśmie („Teksty”, „Pamiętnik Literacki”, „Ruch Literacki”, „Stylistyka” i innych), a powszechnie wiadomo, iż nie wszyscy uczeni garną się do wykonywania tej użytecznej, lecz niewdzięcznej roboty (m.in. traci się niektórych przyjaciół, a także i ewentualnych protektorów; znalazłem w opisywanych tomach wyrazy wsparcia w głosie Bożeny Witoszowej; 2a, 68). Po trzecie, wydałem w opracowaniu naukowym *Popioły* Stefana Żeromskiego, a w popularnonaukowym *Próchno* Wacława Berenta (dwukrotnie w serii „Biblioteka Narodowa”) i *Szyfrowe prace* Żeromskiego (z moim wstępem i nowymi przypisami). Nie wspominam tu o własnych książkach, z których połowa miała charakter popularny, m.in. w serii „A To Polska Właśnie” zarysowałem portret Żeromskiego (Wrocław 2001). Jak na zajęcia hobbystyczne (które też uprawiam, grając 30 lat w scrabble) jest w tym wyliczeniu kilka ziarenek działalności pożytecznej, w której nie każdy (np. przebranżowiony) Polak mógłby mnie zastąpić. Szczególnie polecam uwadze te

52 lata mojej pracy dydaktycznej, począwszy od ZSZ w Tarnowskich Górach do ponad trzech dekad w US oraz pół dekady w Wyższej Szkole Humanitas w Sosnowcu. Ilu wychowałem magistrów, doktorów, habilitantów i profesorów (prowadząc i recenzując ich dysertacje i książki)? Trudno doprawdy mi wszystkich zliczyć!

Zgadzam się z autorem wystąpienia pt. *Polonistyka – czy jesteśmy jeszcze potrzebni?*, który podkreśla (tłustymi czcionkami, co tu pomijam), iż poloniści nasi są najważniejszą z ogółu globalnych i lokalnych ośrodków placówką zgłębiającą problemy literatury i języka polskiego! Prof. Jacek Popiel bowiem słusznie zauważa niepodważalny fakt: „u podstaw wszystkich działań ludzi odpowiedzialnych za naukę i szkolnictwo wyższe powinna tkwić myśl, że światowe centrum badań polonistycznych i kształcenia polonistycznego znajduje się w Polsce. Decydentom trzeba to uświadczać i może nawet dodać, że być może we współczesnej nauce jest to jedyne światowe centrum, ulokowane w naszych ośrodkach badawczych” (3, 432). Ze swej strony mogę ujawnić, iż jako badacz twórczości dwu pisarzy, tzn. Berenta i Żeromskiego, jestem cytowany w książkach cudzoziemskich (jak to miło czytać np.: „Paszek said”) i wielu czasopiśmie naukowych (tam także jako pół wieku pisujący o powieściach Jamesa Joyce’a, czyli o *Uliście* oraz o *Finnegans Wake*). Ja i inni poloniści z Katowic (np. prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz) mamy po 10 tomów autorskich, a także opracowanych przez nas edycji, w Bibliotece Publicznej Nowego Yorku (w co samemu trudno mi uwierzyć, gdyż promuje się u nas stale i „na bogato” polonistów piszących po angielsku!).

Językoznawca, prof. Maciej Grochowski, który zasłynął jako autor *Słownika polskich przekleństw i wulgaryzmów* (Warszawa 1995; Piotr Zmigrodzki pisze o burzliwej recepcji tego tomu; 2a, 528), w swoim referacie wskazuje, jakie poacie tematów obejmuje lingwistyka. Są to m.in. kwestie aksjoma-

tyczne, komputerowe (przetwarzanie języka naturalnego), logopedia z takimi działami, jak balbutologopedia [zaburzenia płynności mowy], surdologopedia [uczenie mówienia ludzi niesłyszących], neurologopedia, glottologopedia, a również neurolingwistyka („badająca procesy fizjologiczne zachodzące w mózgu, które umożliwiają tworzenie i rozumienie wypowiedzi oraz akwizycję języka”; 3, 394). Widząc takie nagromadzenie dziwacznych określeń, niejeden czytelnik pomyśli: do czegoż to zdolni są nasi lingwiści! A przecież obliczono, iż potocznie, w rozmowach środowisk dalekich od uczelni humanistycznych, 90% użytkowników polszczyzny przypuszcza, że „językoznawca” to człowiek ‘znający kilka języków’ (mnie wcale nie denerwuje, gdy przedstawiając się jako „filolog” – mylony jestem z „fizjologiem”!).

Ambitne plany dla studentów wydziałów filologicznych (które zmieniają teraz swoją nazwę na bardziej nośne i znośne szyldy, czyli na „wydziały humanistyczne”) snuje pisarka i profesorka ze Szczecina, czyli Inga Iwasiów w odczycie *Od polonisty do artysty*. Pisywałem kiedyś w „Słasku” o trzech tomach antologii, dotyczących dociekań analitycznych nad sensem dzieł literackich, czyli *Sztuki interpretacji*. Iwasiów opowiada ciekawą anegdotę z własnego życia komputerowego: „Oto próbuję sprawdzić datę pierwszego wydania *Sztuki interpretacji* Henryka Markiewicza, korzystając oczywiście z Google, co dodaje sprawie dodatkowego smaczku. Na pierwszej pozycji bowiem pojawia się sztuka interpretacji EKG” (3, 395). Autorka nie namawia polonistów do tego, by poczuli się kardiologami, ale wskazuje kłopoty, na jakie napotyka użytkownik laptopa. Sam poszukując danych na temat Wiktora Dody, nauczyciela przedwojennego, badającego teksty pism Żeromskiego, natrafiałem na lawinę informacji o Wiktorach [nagrodach muzycznych] piosenkarce Dody! Sama Iwasiów zresztą ucieka się do tajemniczych skrótów, które

powinien znać czytelnik: „KRK [Krajowe Ramy Kwalifikacji] są sposobem na uporządkowanie rynku pracy i rynku nauki”; „w radiu TOK FM [Radio RMF FM, prywatna rozgłośnia radiowa od 1990 roku; FM = Fakty i Muzyka]” (3, 396). Po lekturze jej eseju sam czytelnik staje się nieco artystą, a to, że polonista musi być człowiekiem giętkim i dać sobie radę w najtrudniejszych opresjach (zob. wyżej o lingwistycie, co to przebranzawia się w balbutologopedę), jest oczywistą oczywistością, by zacytować złotoustych naszych polityków.

Warto jeszcze przyjrzeć się kilku głosom, podnoszącym różnorodność zainteresowań i stanowisk we współczesnym literaturoznawstwie i lingwistyce. Teresa Walas, towarzysząca Wisławie Szymborskiej w podróżach (także po Nagrodę Nobla), mówi poetycko, iż zaledwie „ogłoszono śmierć jednogłowego smoka strukturalistycznej Teorii, [a już] w jego miejsce pojawił się smok wielogłowy – spluralizowane teorie [...]”. Ta partyzantka teoretyczna [...] bez przeszkód działała na obszarze literaturoznawstwa w postaci praktyk [takich], jak dekonstrukcja (teoria krytyczna), feminizm czy postkolonializm” (3, 168–169). Koleżanka Walas, Marta Wyka, postuluje dodać do propozycji Janusza Sławińskiego (*Teksty i teksty*, Warszawa 1990, s. 24–37), wliczającej pomniejszych badaczy („dyletant, snob, modniś, specjalista szeregowy, wyrobnik nauki, dłubacz epigon, przeżuwacz kompilator”), żartobliwe nieco kompetencje: „strukturalista spóźniony, postmodernista upolowany, dekonstrukcjonista bezwzględny, antropolog dyskursywny, pop-badacz, kulturoznawca za wszelką cenę, dyktatorka genderowa” (2a, 520).

Piotr Żmigrodzki cytuje Ireneusza Bobrowskiego, autora „efektownego porównania polskich lingwistów do zbieraczy grzybów, którzy po opuszczeniu autokaru, podzieliwszy się na grupki, udają się w głąb lasu; poszczególne grupy stopniowo tracą ze sobą kontakt, sporadycznie słychać tylko słabe nawoływania” (2a, 526). Katowicki badacz dorzuca od siebie, iż w lingwistyce pojawiają się dzisiaj „różnice metodologiczne tak istotne, że uniemożliwiają dyskusję” (ib.). Pojedyncze i koncyliacyjne wnioski wysuwa natomiast Jerzy Bartmiński w poince swojego wystąpienia (podkreślonej spacją, której tu nie powtarzam): „Nowocześnie rozumiana tekstologia jest terenem spotkania polonistów (językoznawców i literaturoznawców) i otwiera perspektywę dla integracji całej dyscypliny filologicznej” (2a, 47). Ja też tak uważam, ale z Bartmińskim i polonistami-edytorem (czyli ludźmi troszczącymi się o jak najwłaściwszy i jak najauten-

tyczniejszy tekst publikowanych dzieł) jesteśmy chyba w mniejszości! Bo chociaż Anna Łebkowska pociesza nas, że reklamowana „antropologizacja literaturoznawstwa” nie stwarza już niebezpieczeństwa (3, 333), to jednak Michał Paweł Markowski z satysfakcją dwukrotnie cytuje zdanie Ewy Pobratyńskiej z *Dziejów grzechu*: „Antropologia jest to śliczna, przesłiczna nauka!” (2a, 282, 292).

Powracam do miłośników skrótów i „separatystów”. Andrzej Markowski, popularyzator wiedzy o języku w czasopiśmie i radiu, potrafi wyprodukować takie oto zdanie: „Wypracowaniem nowych kryteriów oceny innowacji zajęłyby się KKJ KJ PAN wspólnie z RJP PAN” (2a, 544), co oznacza współpracę Komisji Kultury Języka Komitetu Językoznawstwa PAN z Radą Języka Polskiego PAN! Uff! Wyrazów i skrótowców w czterech omawianych woluminach jest pełno, bo autorami wszak są różni fachowcy, spierający się, czy iść w kierunku wąskiej specjalizacji, na stronę m.in. „mocnej” (naukowo) antropologii, czy podążać – śladem Ingi Iwasiów – wysoko ponad ludzi przyziemnych i filistrów, do kondycji artystów, a nawet „multiinstrumentalistów” (zob. M. Rabizo-Birek: *Polonista jako „multiinstrumentalista”*; 3, 439–447). Dodam, iż ilościowo mowa najczęściej o powiązaniu się i ślubach z ponętą antropologią: *Antropologia, humanizm, interpretacja* (M.P. Markowski; 2a); *Folklorystyka jako antropologia słowa mówionego* (R. Sulima; 2a); *Nauki o kulturze wobec literatury. Przypadek antropologii* (WJ. Burszta; 2b); *Romantyzm i pozytywizm – dwie antropologie literackie* (W. Szturc; 2b); *Po dzikiej stronie tekstu. O antropologii i literaturze* (M. Czubaj; 3); *Antropologia literatury jako możliwy rozsądny jej odnowionej historii i słabej teorii* (T. Walas; 3). Czyli jednak „szary człowiek” ma rację: filolog będzie fizjologiem!

A wtedy nic nie będziemy wiedzieć – przykładowo – o tym, jak zgodnie z prawdą edytorską i wolą autora kończy się *Faraon* Bolesława Prusa (zob. M. Prusak: *Konsekwencje założeń i decyzji edytorskich*; 2a, 454–457). Pojawiają się wątpliwości, dotyczące tekstu Jędrzeja z Dobczyzna Gałki: czy jeden wers brzmi „co [z k]siąż rozkazują” czy „Co są[ć] rozkazują” (zob. W. Twardzik: *Co ma historyk literatury?*; 2a, 463–464). Gdy zabraknie filologów i tekstologów, któż ustali brzmienie *Ody do młodości* Mickiewicza (zob. Z. Stefanowska: *Status tekstu kanonicznego (romantyzm)*; 2a, 446)?

Najbardziej skorzystałem ze studium Seweryny Wysłouch pt. *Nowa genologia – rewizje i reinterpretacje* (2a, 97–113). Praca ta podejmuje temat słynnej rozprawy Ireneusza Opackiego pt. *Krzyżowanie się postaci gatunkowych jako*

*wyznacznik ewolucji poezji* („Pamiętnik Literacki” 1963, z. 4, s. 349–389). Wysłouch zajmuje się jednak głównie rodzajami, a nie gatunkami literackimi. Sięgając po tradycję Johanna Wolfganga Goethego, podjętą po latach przez Emila Staigera w *Grundbegriffe der Poetik* (1946), przedstawia rysunek (2a, 109), który powinien być powielany w liceach oraz w uczelniach jako synteza genologiczna. Cóż my tu mamy? Jądrem jest najmniejsze koło, oznaczające akty mowy. Są to: życiorys, opowiadanie, protokół, list z podróży, zajmujące mniejszą część okręgu pod nazwą EPIKA; szerszy zaś okrąg wyznaczają takie gatunki, jak: powieść przestrzeni, powieść symultaniczna, gawęda, dramat epicki, poezja opisowa, kołaż; część diagramu należąca do DRAMATU wyznaczana jest przez: rozmowę, kłótnię, dyskusję, wywiad, list gończy (akty mowy), a samo koło tytułowe przynosi gatunki: dramat właściwy, psychodramę, monolog wypowiedziany, powieść akcji, scenariusz filmowy. W LIRYCE mogą się odnaleźć: powieść strumienia świadomości, liryka wyzwania, monodram, wywodzące się z: listu miłosnego, spowiedzi, wyznania, lamentu. Na samym szczycie najdłuższego koła znajdziemy współczesną SFERĘ MULTI-MEDIALNĄ. I jak tu polonista może pogardzić ambicją zabyśnięcia swoimi zdolnościami multiinstrumentalisty? Ale według najwybitniejszych teoretyków i praktyków polonistycznych konieczne musi (nawet najslabszy nauczyciel szkoły podstawowej czy średniej?) zmierzać do tego, by być antropologiem!

Nie miałbym nic przeciwko temu (no, prawie Derridiańskie NIC z jego różnicy!), gdyby nie zreferowana przez uczonych sytuacja edytorstwa polonistycznego. O ogromnych zaniedbaniach mówili tu m.in. Zbigniew Gołiński („Bilans jest pod każdym względem ujemny”; 1, 817); Adam Karpiński („nachodzą mnie czarne myśli, że – w sytuacji powszechności Internetu [skąd „papka” i byle jak skanowane teksty dzieł] – prace edytorskie, w tradycyjnym rozumieniu, mogą się stać swoistą sztuką dla sztuki, uprawianą na absolutnym marginesie kultury”; 2b, 715); Andrzej Borowski („Nie ma potrzeby, aby negować fakt, że tekst (jak i seks) uwikłany bywa w kontekstypieniędzy [...]”. Byle tylko sama filologia, którą w ramach polonistyki uniwersyteckiej uprawiamy, była coraz bliższa swojej tożsamości, czyli – bardziej>texty< niż>sexy<”; 3, 248). Oby te skrzydlate słowa stały się „sakralnymi słowami” dla naukowego polonistycznego edytorstwa, jak są nimi, wedle Władysława Panaśa, trzy słowa incipitu *Pana Tadeusza* (1, 613).

Książka Eweliny Suszek *Figuracje braku i nieobecności. Miłobędzka – Białoszewski – Koziół* zasługuje nie tylko na druk, ale także na najwyższe uznanie. Głęboko przemyślana, precyzyjnie skomponowana, odkrywczą interpretacyjnie i bardzo dobrze napisana monografia podejmuje kwestie przedstawiania braku i nieobecności w poezji wybranych przedstawicieli pokolenia 56, każdorazowo poszukując idiomu poetyk indywidualnych analizowanych twórców. Duża świadomość literaturoznawcza i znakomita orientacja wśród najnowszych propozycji teoretycznoliterackich pozwoliły Ewelinie Suszek wypracować zamysł książki, która ukierunkowana na kategorie negatywne, oświetla je wielostronnie, poddaje zniuansowanej analizie, a nade wszystko frapująco pokazuje, w jaki sposób brak staje się impulsem sztuki, a środki retoryczne, jednocześnie manifestujące i zakrywające brak oraz nieobecność, konstruują nieoczywisty ontologicznie podmiot poezji. Wrażliwość na brakujące i nieobecne, podstawa badawcza książki Eweliny Suszek, pozwala jej autorce pochylić się nad „językową egzystencją unicestwionych przedmiotów”, w zgodzie z derridiańską *différance* tropić szczeliny bytu, które uniemożliwiają pełną obecność i wielorakie ślady tejże obecności, do czego nakłania tzw. „myśl słaba” w filozofii, zastanowić się nad tym, co nie podlega reprezentacji i nad figuracjami procesów mentalnych i przestrzeni językowej niewyraźności. W efekcie, książka *Figuracje braku i nieobecności*, która swoimi głównymi bohaterami czyni twórczość Krystyny Miłobędzkiej, Mirona Białoszewskiego i Urszuli Koziół, podnosi pytania najważniejsze. Pyta zatem o pękniętą tożsamość podmiotu, o nieoczywistość istnienia, o niewystarczalność tego, co realne i o pustkę, która w szczególnych przypadkach otwiera się na transcendencję.

Ewelina Suszek konceptualizuje tytułową figurację następująco: „W figuracji dostrzegam przenikanie się dwóch pierwiastków. Rozpięta jest ona między literacką grą w (nie)obecne, artystyczną iluzją (nie)obecności, wyobrażaniem sobie „fenomenów” negatywnych, zabawą w pozorowanie (nie)obecności a artykulacją jednostkowego doświadczenia, które się „przydarza”, indywidualnie angażuje afekty i dotyka „prawdy” egzystencji w jej najbardziej intymnym, trudnym do zakomunikowania Drugiemu, wymiarze.” Ta podwójność spojrzenia daje bardzo dobre efekty poznawcze. Nie tracąc z pola widzenia tego, co dotyka filozofii języka i literatury, świadomości gry i pozorowania, praw iluzji i reguł wyobraźni, pozwala szukać w literaturze jednostkowego wymiaru, tropów indywidualnego doświadczenia, prawdy egzystencji w jej prywatnej, intymnej odsłonie.

Ważność i zarazem różnorodność prywatnej wersji doświadczenia braku i nie-

# Brak, nieobecność, figuracja

KSIAŻKI

obecności, przyjęta przez autorkę książki jako podstawa wyboru materiału poetyckiego, poddanego w niej drobiazgowej analizie i finezyjnej interpretacji, przekonuje mnie i ujmuje szczególnie. Bohaterowie monografii Eweliny Suszek nie zostali zestawieni przez nią przypadkowo, związani z pokoleniem debiutującym około roku 1956, prezentują charakterystyczną dla niego „ofertę różnorodności” także w zakresie intymnych figuracji (Suszek za Mieke Bal przekonuje mnie, że każdorazowo figuracja jest aktem jednostkowym i prywatnym) doświadczenia braku i nieobecności, pojawiających się w ich poezji w różnym zakresie i nasileniu (stanowią constants twórczości – Miłobędzka; narastają z czasem, warunkowane nieuniknionym rytmem egzystencji – Białoszewski; mają charakter okazjonalny, związany z przeżywaniami żałoby – Koziół).

Twórczość poetycką Krystyny Miłobędzkiej Ewelina Suszek wpisuje w koncepcję poetyki śladu, wprowadzonej z pism m.in. Gianniego Vattima i Constantina Noika przez Andrzeja Zawadzkiego. To znakomity pomysł syntetyzujący dorobek wybitnej poetki od swoich początków naznaczony brakiem i nieobecnością, poetki, dla której istnienie i znikanie stanowią dwie nierozłączne strony bytu. Autorka książki zna twórczość Miłobędzkiej „na wylot” i doskonale ją „czuje”, wybornie wybiera przykłady, z precyzją i dyscypliną buduje wywód wyłącznie z elementów koniecznych, które uzupełniają się i oświetlają wzajemnie. Aktywna nicość Miłobędzkiej – jak pokazuje Suszek – ma walor pozytywny, uwalnia od istnienia jednostkowego, zacierając granice, paradoksalnie scala ze światem. Poetyka śladu i poetyka przyspieszenia znakomicie ze sobą się łączą, znikanie/zanikanie ma swoją dynamikę, ruch ontologicznej niestałości znajduje natomiast



JOANNA KISIEL

przeciwagę w wartościach etycznych – troski, uważności, daru. Z lektury Miłobędzkiej Ewelina Suszek wydobywa subtelne niuanse, nie zadowala się uproszczeniem, podejmuje mikropolemiki z interpretacyjnymi ustaleniami poprzedników. Uważność ma zatem swoją drugą stronę w postaci redukcji percepcji i wywołuje poczucie winy, wrażliwość jest dotkliwa w podwójnym sensie, wystawia na zranienia i rani, zaś ubywanie podmiotu pomija śmiertelne konteksty i jawi się jako droga do doskonałości. W spotkaniu z poezją Miłobędzkiej świetnie sprawdzają się koncepty Tadeusza Sławka – podmiotu ubywającego i uchodzącego ze swych ról, nicująca dynamika podmiotu jej twórczości jest daniem do samozatrącenia, zaniek „ja” prowadzi do „my”, gubienie siebie zyskuje walor lekkości i przezroczystości, uwolnienia od ciężaru. Interpretacja Eweliny Suszek to propozycja lektury spójnej i jednocześnie zniuansowanej, wyczułonej na paradoksalność istnienia/zanikania i nieoczywiste waloryzacje, a przy tym konsekwentnie poszukująca w porządku retoryki i kompozycji podstaw dla figuracji braku, nieobecności, gubienia i wymykania się świata, podmiotu i języka. „Sztuka śladu” Krystyny Miłobędzkiej – jak przekonująco pokazuje Suszek – bywa też „sztuką niepozostawiania śladu”.

W przypadku Mirona Białoszewskiego autorka książki dostrzega podobnie jak u Miłobędzkiej podmiot osłabiony od samego początku, inaczej jednak niż w jej twórczości to byt wyodrębniony, z lękiem doświadczający nicości i możliwości nieobecności „ja”. Lękiem i utratą, mającymi swe źródła w doświadczeniach wojennych i powojennych lat pięćdziesiątych, podszyci jest nawet afirmacja istnienia, intensywne doznawanie chwili, zadziwienie cudowną zwykłością rzeczy. Twórczość Białoszew-

skiego w stopniu o wiele większym niż tak często komentowana w ostatnich latach poezja Miłobędzkiej obrosła w interpretacyjne komentarze, istotną trudność dla piszącego o nim autora stanowi zatem zarówno ustosunkowanie się do rozpoznania poprzedników czy choćby ich odnotowanie, a zwłaszcza odnalezienie w ich gąszczu własnej ścieżki lektury. Z tą trudnością Ewelina Suszek radzi sobie doskonale. Rzetelnie, skrupulatnie odnotowuje pomysły interpretacyjne wcześniejszych badaczy, czyni to jednak z biegłością i lekkością, która pozwala zachować jej wyrazistość własnego głosu i siłę swojego sądu. Lektura Białoszewskiego ujawnia co rusz temperament polemiczny autorki, realizowany z delikatną stanowczością i niezmienną elegancją wywodu. Ewelina Suszek wyczytuje z wielokroć komentowanych tekstów poetyckich „swojego Białoszewskiego”, który jest mniej ludyczny, ekstatyczny, afirmatywny niż w przypadku lektur poprzedników, a bardziej zniuansowany, ambiwalentny, ciemny, zagrożony niepewnością, lękiem, dotkliwą samotnością. To ważne przesunięcie akcentów w wywodzie autorki książki składa się na konsekwentny i spójny obraz podmiotu i bohatera poezji autora *Młynych wzruszeń*. Siłą pisarstwa Eweliny Suszek jest znakomity warsztat analityczny i inwencja interpretacyjna, jej propozycje odczytania poszczególnych utworów są przenikliwe i przekonujące. Sprawności analiz formalnych towarzyszy postawa rozumiejąca i empatyczna, co sprawia, że retoryka i ślady egzystencji dostrzegane w porządku wiersza pozostają ze sobą w ścisłym związku. Brak i nieobecność w poezji Białoszewskiego pełnią istotną rolę zarówno w odniesieniu do niepewności bytowej i poznawczej podmiotu, jak i w perspektywie egzystencjalnej i eschatologicznej. Z czasem ta druga strona coraz bardziej nabiera na znaczeniu, warunkowana doświadczeniami choroby, starzenia się ciała, przeczuć śmierci. Wywód Eweliny Suszek pełen błyskotliwych i świeżych pomysłów, wsparty imponującą wiedzą teoretycznoliteracką i odkrywczością stron pisania Białoszewskiego, pozostających dotąd w cieniu rozpoznania jego poetyki (np. elementy obrazowania surrealistycznego) wydobywa nade wszystko niepoznawalność i dezintegrację podmiotu, zagrożenie jego istnienia, w końcu dramatyzm figuracji śmierci, lęk ukryty pod ludycznym osławianiem umierania.

Z kolei część książki poświęcona twórczości Urszuli Kozioł zogniskowana została wokół doświadczenia żałoby i tomu *Klanogor*, ukazanego z interpretacyjnym rozmachem na szerokim tle zarówno poezji i poetyki jego autorki, ale także i przede wszystkim rozpatrywanego w rozmaitych uwikłaniach kontekstowych, od literatury staropolskiej po współczesność. Wielostronna analiza i interpretacja żałobnej poezji Kozioł, precyzyjna, drobiazgowo

i zarazem pełna finezji w żadnym miejscu nie nuży, pokazana w nieustannych spotkaniach z literacką tradycją staje się na drugim poziomie rozpoznania rozprawą o możliwościach poezji wobec dojmującego doświadczenia braku i nieobecności w sytuacji śmierci bliskiej osoby. Ewelina Suszek interesują w stopniu szczególnym utrata i uobecnianie braku, z którym nie można się pogodzić, budowane w języku przestrzenie obcowania ze zmarłymi, figuracje niewyraźnej i niepojętej dotkliwej nieobecności i zarazem paradoksalnie intensywnej obecności tych, którzy odeszli, ale także figuracje utraty siebie (zatrącenia) sięgające podmiotu żałoby. Znakomity tom Urszuli Kozioł – to wielka zasługa autorki książki – nie niknie wśród wielości literackich przywołań, zachowuje swój rys indywidualny, powracające toposy żałobnych ptaków, rzeczy po zmarłym, skamienienia z bólu i samotności są świadectwem „mądrości” tradycji, która przez wieki pracuje nad językiem utraty, ale w realizacjach językowych Kozioł i odczytaniach Eweliny Suszek obrazy te współtworzą opowieść o jednostkowym bólu. Niezwykle ważną rolę w tej opowieści pełni somatyzacja języka, kapitalnie opisana przez autorkę książki, zwłaszcza koncept „pisaną raną” i „tekstu, który sączy jak rana” wpisany w kontekst akwatywny wyobraźni Kozioł – zasługuje na uznanie. Ewelina Suszek-interpretatorkę nie zadowolają rozwiązania połowiczne, nie cofa się przed trudnościami opisu, każdorazowo głęboko sięga w tekst, nie tracąc z pola widzenia erudycyjnej wiedzy, która jej lekturkom towarzyszy, w końcu interesuje ją zarówno wielostronność spojrzenia, szeroka perspektywa oglądu, jak i dobitność i głębia rozpoznania szczegółowych.

Trzy zasadnicze części książki, poświęcone tyleż problematyce figuracji braku i nieobecności w poezji, co indywidualnym realizacjom poetyckim świetnie dobranych przez autorkę głównych bohaterów pracy, poetów związanych z lingwistyczną orientacją pokolenia 56, to imponująca konceptualnie, znakomicie zrealizowana, dopracowana w szczegółach propozycja literaturoznawczego myślenia. Ewelina Suszek za każdym razem pokazuje coś innego, inaczej profiluje spojrzenie, szczerze nad dochoowaniem wierności analizowanemu tekstom, pilnując niezmiennie dyscypliny całościowego oglądu, warunkowanego zakreśloną w tytule książki problematyką badawczą. W rozpoznaniach ogólnych jest niezwykle precyzyjna, w odkryciach szczegółowych – finezyjna, chciałoby się dodać: miejscami bywa olśniewająca. Poświęcone Krystynie Miłobędzkiej, Mironowi Białoszewskiemu i Urszuli Kozioł części monografii wzajemnie się dopełniają, indywidualną odmienną poezji analizowanych autorów w wywodzie Eweliny Suszek łączą nie tylko lingwistyczne związki pokoleniowe i nadrzędna problematyka różnych wariantów braku i nie-

obecności poddanych lekturze tekstów, ale także wspólnota literackich mistrzów języka braku (np. Leśmian, Norwid) i metodologicznych patronów autorki książki (Vattimo, Noica, Bal, Derrida i in.).

Dodatkiem kontekstowym przekonująco pomyślanej całości jest rozdział: *Zanikanie. Inne figuracje*, w którym poddane zostały analizie i interpretacji dwa „erotyki negatywne” – *Epizod* Zbigniewa Herberta i *Wdowiec* Stanisława Grochowiaka. Ewelina Suszek w interpretacji nigdy nie zawodzi, także i tutaj utrzymuje wysoki poziom rozbudowanych mikroanaliz, jednocześnie pokazując jak „poetyka śladu” i „poetyka braku” znajdują zastosowanie w badaniach tekstów poetyckich spoza przyjętego w monografii „kanonu” twórców, związanych z lingwistycznym skrzydłem poezji. Gest włączenia tej części do książki odczytuję zatem nie tylko jako rozszerzenie kontekstu twórczości jej głównych bohaterów o innych poetów formacji 56, ale także jako rodzaj metodologicznego otwarcia, rozluźnienia sugestii pełni oglądu ukrytej w symbolice trójki, zaproszenia do tropienia śladów, braku i nieobecności w poezji. I tutaj wybór materiału w żadnym mierze nie jest przypadkowy, nie tylko dlatego że interpretowane wiersze eksplorują motywy śladu i żałoby, tak ważne w badaniach twórczości trojga lingwistów, ale także ze względu na postawiony kolejny problem – figuracji braku i nieobecności w erotyku, przybierającym wówczas postać „erotyku negatywnego”.

Książkę wieńczy ostatecznie właściwe posumowanie, które stanowi przymiarka do katalogu figur najczęściej wykorzystywanych w poezji poszukującej języka dla wyrażenia kategorii wyróżnionych w tytule książki. Jej celem jest zakreślenie perspektywy dalszych badań, których etap wyjściowy wyznacza autorski katalog, sporządzony na podstawie analizy wybranych twórców. Zakończenie monografii przynosi ostateczny dowód na to, że monografii Eweliny Suszek przyświecają w istocie dwa cele, poetologiczny i interpretacyjny. Ramy książki wyznaczają rozważania problemowe i syntetyzujące, dyscyplinujące i porządkujące wywód, jej serce natomiast stanowią przenikliwe mikroanalizy i finezyjne interpretacje, będące wynikiem prawdziwego spotkania z jednostkowym światem wiersza. I chociaż autorce książki nie sposób odmówić rzetelności i precyzji ustaleń ogólnych, uznanie budzi także umiejętność wyważania proporcji między dwoma porządkami myślenia i dyscyplina kompozycyjna wypowiedzi, niekłamana i nieodpartą siłą jej pisarstwa pozostaje żywiół interpretacji. ■

**Ewelina Suszek: *Figuracje braku i nieobecności. Miłobędzka – Białoszewski – Kozioł*. Universitas, Kraków 2020, 328 s.**

**T**wórczość Zofii Kossak-Szczuckiej cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem również z tego względu, że pozwala na konfrontowanie współczesności z przeszłością, przywołaną we wznowionych reportażach *Szukajcie przyjaciół* oraz *Laska Jakubowa*. Pierwsze powojenne ich wydanie miało miejsce w 1957 r., po reaktywowaniu ruchu harcerskiego i wypełniło próżnię lat 1949–1956. Autorem wstępu był działacz harcerski, Józef Kret. Redakcję naukową i przypisy do obecnego wydania zawdzięczamy Krystynie Heskowej-Kwaśniewicz – harcmistrzyni, która również jest autorką wnikliwego opracowania reportażu powiązanych z przedwojennym programem harcerskim wywodzącym się ze skautingu Baden Powella, w którym nazwała Kossak-Szczucką „Autorką jamborowych tekstów” związanych z międzynarodowymi zlotami harcerskimi zwanymi jamboree. Pisarka uczestniczyła w ostatnich przed II wojną światową: w Godollo na Węgrzech (1933) zapisanym w reportażu pt. *Szukajcie przyjaciół* oraz w Holandii w Vogelensang (1937) zrelacjonowanym w *Lasce Jakubowej*.

Lektura tych interesujących relacji wymaga odpowiedzi na pytanie: skąd u Kossak-Szczuckiej tak wnikliwa znajomość harcerstwa? Odpowiedzi udziela Krystyna Heskowa-Kwaśniewicz. Kossak zamieszkała w Górkach k. Skoczowa w 1923 roku. Zafascynowana harcerstwem nawiązała kontakt z grupą instruktorów kierujących pierwszą w Polsce żeńską szkołą instruktorską i stanicą harcerską otwartą w 1931 roku na Buczu oraz z Harcerską Męską Szkołą Instruktorów prowadzoną w Górkach i Szkołą Instruktorów Zuchowych w Nierodzimiu, gdzie poznała Aleksandra Kamińskiego – wybitnego pedagoga, instruktora i metodyka ZHP, twórcę systemu zuchowego w Polsce.

Wymieniam ów ruch harcerski związany ze szkoleniem instruktorów nie bez powodu – do tych sprawdzonych form przygotowania kadry należałoby znowu powrócić. Ośrodek górski stanowił znane w kraju centrum doskonalenia instruktorów harcerskich m.in. dzięki wsparciu wojewody, Michała Grażyńskiego, więc nie dziwi aktywność Kossak-Szczuckiej, która uczestniczyła w życiu harcerzy, wygłaszając gawędy przy ogniskach, upowszechniając harcerski system wartości. „Mówiła tak, jak to sugerowały harcerskie „przepisy”. Treści ideowe, moralne nie występowały jako abstrakcje – sugerowały je przykłady przygód, wydarzeń, sytuacji życiowych; życie bieżące wiązała z tradycją, z historią; obrazowała plastycznie i emocjonalnie swe wypowiedzi, których sens przeważnie wiązał się z harcerstwem pojmowanym jako służenie wartościom moralnym i społecznym” (A. Kamiński).

Przez pryzmat wyznawanego harcerskiego etosu opisała oba międzynarodowe zloty. Wybrała adekwatną metodę reportażu w celu przedstawienia zlotowych wrażeń zmierzających do rekonstrukcji wydarzeń. Myśl przewodnią węgierskiego zlotu zaprezentowana w tytule *Szukajcie przyjaciół* uzmysławiać miała, że obowiązek harcerzy mieścił się w poznawaniu dorobku kulturalnego i duchowego innych narodów, co mogło być wzorem do naśladowania, a także „wykazać nawzajem innym

## Autorka jamborowych tekstów

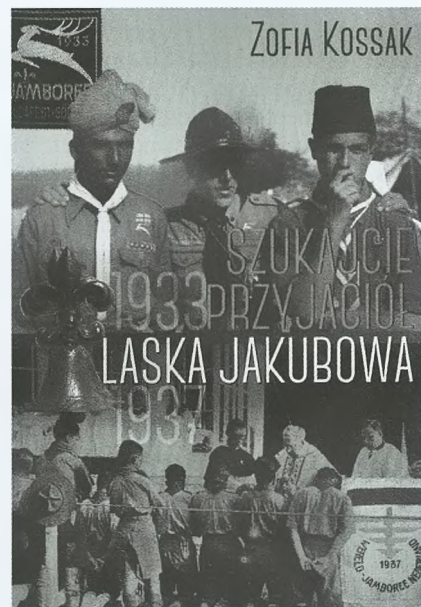
KSIAŻKI

polską sprawność, energię i organizację”. Idee międzynarodowej przyjaźni uzmysławia opis uroczystej defilady różnorodnego o różnych kolorach skóry radosnego tłumu: „objęci ramionami skauci biali, czarni, żółci... Aż dziw. Po raz pierwszy może w życiu przestaje się widzieć Polaka, Francuza, Czecha, Araba, Chińczyka, widząc jedynie – człowieka”.

Kossak poświęciła szczególne miejsce polskim harcerzom, dokonując nie tylko zewnętrznego opisu tej grupy, ale prezentując program, zachowania i harcerską działalność na tle obozów różnych krajów i narodowości. Ono również swoim pięknym dorobkiem budziły refleksję dotyczącą idealizmu młodzieży, „której żadni dyplomaci nie potrzebowali sztucznie podtrzymywać ani sklejać”. Wzruszają wyeksponowane przez autorkę tradycyjne symboliczne harcerskie gesty, jak zabieranie do swojego kraju płonącej żagwi z ogniska zlotowego, a także wielki szacunek dla narodowej flagi.

Wartość informacyjną reportażu Kossak-Szczuckiej uzupełniały pozytywne emocje wyrażające się w pięknych opisach przyrody, w nazywaniu pozytywnych odczuć, ujawniających autentyczne przywiązanie do Ojczyzny, zaznaczone np. w poincieniu sceną, gdzie stary człowiek dogania grupę polskich skautów, „oczami obłapia chciwie lilijki, orzełki, znaki i tę białą-czerwoną chorągiew na przedzie. Płacze. Powtarza raz po raz: »Czterdzieści lat... Czterdzieści lat ja Polski nie widział...«.

Świadectwo drugiego jamboree zwołanego w Holandii w 1937 roku stanowi reportaż zatytułowany *Laska Jakubowa*. W Europie panowała atmosfera niepokoju i z pewnym zdziwieniem padają pytania o znaczenie godła tego zlotu – Jakubowej laski. Patyk przecięty czterema ramionami? Tak, w duchu harcerskiej totemistyki „to średniowieczny przyrząd żeglarski zastępujący niegdyś busole”. I zamyślenie nad przyszłością, ponieważ daremne by było szukanie nastrojów radości sprzed czterech lat. Nawet defilada przebiegała inaczej; w atmosferze przedwojennego napięcia.



EDYTA KOREPTA

Autorka konstatuje: „Jak dziwnie prosta i celna bywa symbolika zdarzeń [...] życie przynosi nowe problemy, kierunek rozwidla się, mąci i trzeba szukać busoli”.

Trasa podróży do Holandii prowadziła przez Śląsk Polski germanizowany przez długie lata, mimo to autorka znajdowała na tej ziemi mocne ślady polskości, a wśród nich zbiorowe i pojedyncze mogiły powstańcze. Wynikające z tego refleksje polityczne stały się przedmiotem interpretacji, którą dokonała Heskowa-Kwaśniewicz, nawiązując do tragicznych przeżyć Kossak-Szczuckiej na Kresach. Ale największe napięcia rozdzielił przejazd przez Wrocław. Tu spostrzeżenia reportażystki przybrał wymiar profetyczny, również w kontekście dyskusji nad przyszłością skautingu.

Pozwolę sobie przytoczyć trafną ocenę sytuacji dostrzeżoną w reportażu przez autorkę opracowania: „Wśród wielu dyskusji wynikających z aktualnej sytuacji skautingu, jak coraz częstsze w poszczególnych państwach łączenie organizacji z przysposobieniem wojskowym czy stosunku do rodzących się nacjonalizmów, pojawią się rozważania o charakterach narodowych”. Jako przepowiednię odczytać można również słowa Naczelnego Skauta Świata, Baden Powella: „To moje ostatnie posłanie do was: roszerczajcie przyjaźń i braterstwo po świecie! Żegnajcie! Niech was wszystkich Bóg błogosławi” (K. Heskowa-Kwaśniewicz).

Powrót do harcerskiej przeszłości wrzuca i siłą rzeczy zmusza do zestawienia ze współczesnością. Jeśli na historii naszego kraju mamy budować terazniejszość, to książka Kossak-Szczuckiej powinna znaleźć się w kanonie lektur szkolnych.

**Zofia Kossak: *Szukajcie przyjaciół. Laska Jakubowa*. Oprac. K. Heskowa-Kwaśniewicz. Fundacja Servire Veritati, Instytut Edukacji Narodowej, Lublin 2020, 226 s.**

Najnowszy tomik Barbary Gruszki-Zych nie zaskoczy czytelników jej wcześniejszych zbiorów. Odnajdą w nim bliskie jej od zawsze tematy i treści: są tu wiersze „szpitalne”, „podróźne”, „domowo-rodzinne”, „miłosne”, „sakrałne” oraz pojawiające się w kilku jej poprzednich zbiorach znaki rozpoznawcze i leitmotywy. Miłośnik wierszy Barbary Gruszki-Zych odniesie wrażenie, że powierzono mu kolejny rozdział jej poetyckiego dziennika intymnego. Czytelnik ten wie jednak także, iż nie otrzymuje porcji ekshibicjonistycznej „literatury wyznania”, epatującej odbiorcę fajerwerkami wybujałego „ja”. Przeciwnie, jak to się zdarza w przypadku najlepszych przejawów sztuki słowa, poetka przetwarza indywidualne doświadczenie w artystyczny wyraz egzystencjalnych zdziwień, w sytuacji i obrazy, poprzez które możemy rozpoznać także nasze własne – i ogólnoludzkie – tęsknoty i dylematy. Stosowaną przez nią technikę poetyckiego reportażu o samej sobie można by określić jako tworzenie odcinków wielkiego wywiadu-rzeki, prowadzonego z życzliwą, ale i dociekliwą atencją z dobrze sobie znanym rozmówcą. Warto w tym miejscu przypomnieć, że poetka ta jest autorką wielu reportaży na temat znanych postaci świata kultury i innych interesujących osób, a także książek-wywiadów z Wojciechem Kilarzem, czy małżeństwem Zanussich. Wszystkie te teksty nacechowane są silną empatią wobec „przepytywanych”, a w wielu przypadkach są intymnym dialogiem pomiędzy znającymi się od wielu lat osobami.

W nowym tomie poetka obdarza nas raz po raz znakomitymi, aforystycznymi w formie, krótkimi wierszami lub fragmentami poetyckiej prozy przypominającymi, że poezja jest sztuką kondensacji: „dwie ławeczki unosi woda / nas zdmuchnął z nich wiatr / tylko trzcina trzyma w pionie / nadłamany świat” (\*\*\*, s. 9). Także w dłuższych wierszach stosuje zasadę mocnej puenty – „prześlań”, przypominających *les envois* średniowiecznych ballad, lecz aktualizowanych nowoczesnym skrótem: „bo człowiek to gwiazda na nocnym niebie / kiedy spada umiera w ciszy / jakby ktoś odciął internet” („pod którym kryje się dusza”, s. 41).

Zgodnie z deklaracją poetki, opublikowane w tym zbiorze wiersze powstały wiosną 2020 roku, w czasie oznaczonym pojawieniem się niespodziewanych zmian w stylu życia, związanych z ogłoszeniem w Polsce i na świecie stanu pandemii. Reporterska żyłka poetki, każąca jej rejestrować nastrój chwili zdaje się sugerować problematykę utworów, jednak bezpośrednio nawiązania do tej sytuacji nie narzucają czytelnikowi prostych, jednoznacznych skojarzeń: „Światło się pali w tylu oknach nocą. Ogniska nie zgaszone przez tysiące lat. Podłogi i sufity odbijają blask tęsknoty przepływającej przez oczy i ekrany telefonów. [...] Głód budzi ich w biały dzień [...]. Głód, z którym zaczynają grać [...]. Chcą czy nie, przegrają z nim [...]. Błękitne twarze samsungów i maców pozwalają na wszystko, dopóki nie porażą ich zimnym piorunem nieobecności” (s. 72).

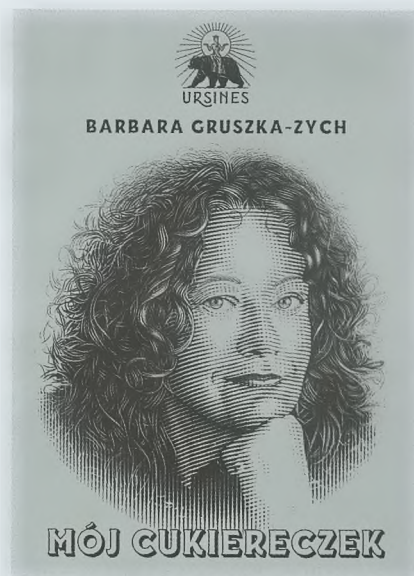
# Lekarstwo na trudny czas

KSIĄŻKI

W zmediatyzowanym świecie nienasyconie to głód, który nie jest poszukiwaniem jakiegokolwiek prawdy lub chęcią stworzenia trwałej relacji z innym człowiekiem, lecz coraz częściej polega na przepuszczaniu przez „pragnący umysł” zdjęć zjedzonej potrawy, konsumpcji memów, tweetów, instagramowych migawek, youtubowych filmików o kotkach i przyłączaniu się do orgii hejtu. Jak w rozpływającym się bez końca kalejdoskopie, kiedy wyobraźnia nie sięga już do ery „przed”, a tym bardziej – „po” Internecie.

Podobny, profetyczny ton wybrzmiewa mocno w końcówce wiersza „Polska” (s. 73): „opuć więc można tę Polskę od a do z / od najczulszego Norwida / do bajki – kto ty jesteś Polak mały – / a potem z suchymi ustami / poprosić o szklankę wody”. Ta surowa przestroga zdaje się wywoływać kilka ważnych pytań jak to, czy poczucie wspólnoty nie zaczyna się od najbardziej podstawowych gestów – troski o najbliższych, wzajemnego wspierania się ludzi na trudnej drodze życia? Poetka pyta ponadto: „człowieku, kto poda ci przysłowiową (i realną!) szklankę wody, jeśli wzgardziłeś wspólnotą w czasie, gdy tak łatwo jest nienawidzić, a coraz trudniej kochać i kiedy kurs waluty o nazwie „dobro wspólne” spada do niebotycznych wcześniej poziomów? „Polska” to wiersz skromny, nie uderzający w patetyczne tony i nie odwołujący się do jakichkolwiek wątków aktualnej politycznej debaty. Jego najgłębszym źródłem zdaje się „sprawa smaku”, jak w pamiętnym wierszu Zbigniewa Herberta, pisanym w zupełnie innych – jak mogłoby się wydawać – czasach.

Podejmując w zbiorze niejednokrotnie motyw *memento mori* poetka nie pomija żadnego z trudnych momentów istnienia: zarówno poczucie zagrożenia własnego życia, jak i towarzyszenie w chorobie i odchodzeniu bliskich jej osób są kolejnymi lekcjami *artis bene moriendi*. Należą do tej grupy utworów wiersz „Ciocia” jest przykładem zastosowania swoistej poetyckiej hermeneu-



STANISŁAW JASIONOWICZ

tyki ludzkiego losu, kiedy to „zaangażowane zrozumienie” innego człowieka pozwala lepiej zrozumieć samego siebie. Wiersz ten należy do wybitnych osiągnięć Barbary Gruszki-Zych i choć chciałoby się uzasadnić ten sąd, zatrzymując się choćby przez chwilę nad jego wybranymi frazami, lepiej będzie zaproponować czytelnikowi jego uważną, może nawet kilkukrotną lekturę.

Poetka nie byłaby sobą, gdyby nie skorzystała także i w tym zbiorze z ważnego dla niej kodu poezji miłosnej, łącząc swoje pragnienie harmonii i pełni (np. świetny wiersz „z drewna”) z doświadczeniem o wymiarze erotycznym, cielesnym. Jak przystało na nowoczesną poetkę, także w wierszach z tej grupy autorka eksploruje sensotwórcze pokłady języka, wykorzystując lubiane przez siebie gry słów, tym razem używając ich w sposób bardzo oszczędny i – może dzięki temu – wyjątkowo skuteczny (zob. np. wiersz „kogo”).

Kończąc, spróbujmy odpowiedzieć na jedno tylko pytanie: skąd intrygujący, tytułowy „cukiereczek”? Kim jest ów tajemniczy „słodki”? „Krótkim przebłyśkiem słonka”, „lekiem na całe zło”, a może po prostu „niezłym ciachem”? Kim jest ten, który uczy nas, jak „być gruboskórnym / wobec deszczu i wiatru”? A może „jest taki Jeden [...] kto [...] moje prochy wyniesie na wysokości”? („przy okazji zdjęcia rentgenowskiego”, s. 40).

„Mój cukiereczek” Barbary Gruszki-Zych to znakomity zbiór wzajemnie uzupełniających się i komentujących utworów: dobrze zakomponowany, pełen wyobrażeńowych, intelektualnych i duchowych niespodzianek. Ta dyskretna, a jednocześnie chirurgicznie precyzyjna poezja pozwala zachować nadzieję na możliwość sensu. W tym, a może i w każdym czasie *marnym*.

Barbara Gruszka-Zych: *Mój cukiereczek*. Ursines, Czeladź 2020, 88 s.

# Smutni ludzie w wesołym mieście O poezji Jana Zahradnika

ANTONI WILGUSIEWICZ

Czy Lwów był wesołym miastem? Starzy lwowianie, których już bardzo niewiele pozostało, twierdzą, że tak... a symbolem tej wesołości pozostaje do dziś audycja radiowa Wesoła Lwowska Fala. Dialogi Szczepka i Tońka, a także innych lwowskich wykonawców (jak słynna ciotka Bańdziuchowa – Anastazja Lisiewicz) rozbawiały nie tylko lwowian, ale całą Polskę. Szacuje się, że audycji nadawanej w niedzielne wieczory słuchało około 1/6 mieszkańców Polski, a radiodbiorniki nie były wówczas dobrem dostępnym dla każdego, szczególnie na ws! Humor kwitł wśród lwowskich artystów, skupionych najczęściej w działającej do dziś na Rynku knajpie „U Atlasa”, tu prym wodził Henryk Zbierzchowski, ale także wśród batiorów z Lyczakowa, Zamarstynowa, Kleparowa, ci ostatni najczęściej bawili się w słynnym lokalu na rogu Janowskiej i Kleparowskiej, gdzie reklamowano jako najnowszy wynalazek uwieczniony w piosence „elektryczne oświetleni!”

Na co dzień jednak z tym humorem i wesołością różnie bywało. W swoim monumentalnym *Kalendarium Lwowa 1918–1939* Agnieszka Biedrzycka odtwarza dzień po dniu wszystko to, co zdarzyło się w tym czasie we Lwowie. Są tu wiadomości bardzo różne, jak różne bywa ludzkie życie, nie tylko we Lwowie, wiele z nich z pewnością nie napawa optymizmem. 90 lat temu, w lipcu 1930 roku, donoszono, że zakład psychiatryczny w Kulparkowie został przepełniony i wstrzymał przyjmowanie pacjentów, jak twierdzili lekarze, wzrost liczby chorych związany był z niezwykłymi upałami, a także trudną sytuacją gospodarczą. Jej oznakami były ogłoszenia typu: „Dam patefon z 20 płytami i miesięczną pensję za wyszukanie mi jakiegokolwiek stałej roboty”. Bezrobotni aktorzy zwrócili się o pomoc w założeniu Teatru Ludowego, ich reprezentantką była słynna Wanda Siemaszkowa (jej imię nosi dziś teatr w Rzeszowie). W tym samym dniu, potrącony przez motocyklistę, zginął rektor Uniwersytetu, wybitny okulista, profesor Edmund Machek. Aktywnie działali komuniści – wydali oni wyrok na Leona Wolfenhaut, podejrzanego o współpracę z policją, którego zwłoki znaleziono w Pełtwi, a także nacjonalisci ukraińscy, którzy od lipca do listopada dokonali 191 aktów terroru na terenie Małopolski Wschodniej. To tylko kilka przykładów z jednego miesiąca jednego roku... Ale były też wydarzenia takie, jak uchwała magistratu o pozłoceniu pomnika hetmana Stanisława Jabłonowskiego (od niego pochodzi używana do dziś przez Polaków nazwa Wały Hetmańskie, sam pomnik zginął podczas II wojny światowej). To właśnie był Lwów...

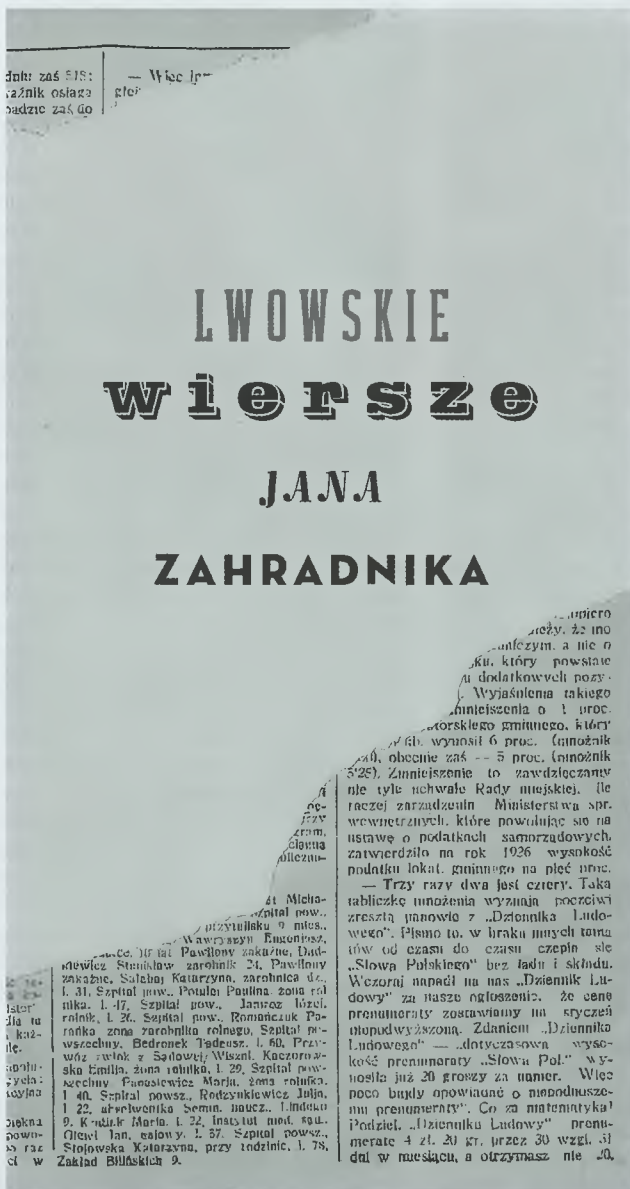
W takim właśnie Lwowie żył i tworzył Jan Zahradnik, zmarł niedługo, bo już w wieku 25 lat, 22 października 1929 roku zmarł, jak na poetę przystało (przynajmniej w owym czasie), wskutek gruźlicy i „artystycznego” trybu życia. Jego twórczość, niemal całkowicie zapomnianą, przypomniał stosunkowo niedawno, bo w 2009 roku w czasopiśmie „Cracovia Leopoli” Waclaw Gaberle, a okolicznościowe wierszyki, najczęściej satyryczne, zamieszczone w lwowskiej prasie, zebrała i wydała w 2016 roku Karolina Grodziska (pod tytułem *Lwowskie wiersze Jana Zahradnika*). Tak więc to „weselsze oblicze” poety jest stosunkowo łatwo dostępne osobom zainteresowanym, a wierszyki, ułożone w formie kalendarzowej stanowią satyryczne przypomnienie wielu lwowian i lwowskich obyczajów.

Dla przykładu wierszyk o lwowskim dorożkarzu (taksówkarze też już byli we Lwowie, ale nieliczni):

*To nie dorożkarz, to literat  
Oraz lingwista niezrównany.  
Dziw, że miał czas na swoje studia,  
Skoro od dziecka jest pijany.*

*Zapas wyrażeń ma bogatszy,  
Niżli Lindego dykcyjonyarz,  
Zapłać mu tylko według kursu,  
Niechybnie o tym się przekonasz.*

*Jak ci tą swoją piękną mową,  
Co tak jest bujna i bogata,  
Całą rodzinę porozstawia,  
Po wszystkich kątach tego świata.*



*Bowiem dorożkarz miasta Lwowa –  
To sobie snadnie uprzytomnij –  
Czasem zapomni wydać reszty,  
Języka nigdy nie zapomni.*

Wiersze wydane przez Karolinę Grodziską to jednak margines twórczości Zahradnika, powstający w dużej mierze „dla chleba” i nie decydujący o jego randze artystycznej jako poety. Jest on interesujący dla miłośników historii Lwowa jako ciekawy dokument dziejów miasta w latach dwudziestych XX wieku, swoisty odpowiednik *Kronik tygodniowych* Bolesława Prusa, tyle że wierszowany (to zresztą zadecydowało o przypomnieniu tych wierszy przez Karolinę Grodziską). Swoje miejsce w historii polskiej literatury Jan Zahradnik zawdzięcza jednemu tomowi wierszy, jaki wydał w swoim krótkim życiu – *Ludziom smutnym* (Towarzystwo Wydawnicze Ateneum, Lwów 1925). Tytuł ten symbolizuje opinię, jaką autor posiada wśród znawców literatury, piewcy smutku, wyjątkowego nawet jak na polską literaturę, w której smutku, zarówno osobistego jak i „narodowego”, nie brakowało. Tomik nigdy nie wznawiany, jest dziś rzadkością bibliograficzną, tak się składa, że znalazł się w moim posiadaniu i mogę z jego lektury osobiście przekonać się o słuszności wyżej przytoczonej opinii.

Już pierwszy utwór, noszący charakter manifestu poety, *List otwarty*, pokazuje jego stosunek do otaczającego świata.

*Nigdy już i nigdzie nie zrobię kroku,  
Położę się, zamknę oczy; w ziemi jest spokój.*

*Zamknąć spokojnie oczy, kamień do piersi włożyć,  
Musi być taki ciężki, żeby nie umiał żyć.*

*Niech tylko łaza ostatnia ujdzie z pod powiek,  
Niech się obejrzy za mną ostatni człowiek...*

Zawarte w tomiku wiersze (łącznie 50 utworów) są ujęte w trzy cykle: *Na trzecim brzegu*, *Ballady – groteski*, *Przychodzą takie chwile*. Brak w nich jakichkolwiek odwołań do Lwowa czy ogólnie realnego świata otaczającego autora; jedynym skojarzeniem literackim jest Hamlet, do którego autor odwołuje się w parafrazie jego słynnego monologu – *pić albo nie pić – oto jest pytanie*. Wiersz ten, *Hamlet w knajpie*, nawiązuje do wspomnianego „artystycznego trybu życia” i knajpy, jak można sądzić „U Atlasa”, gdzie autor spędzał wiele godzin w towarzystwie pokrewnych mu duchem poetów, aktorów i innych „dusz artystycznych”. Poza tym wierszem poeta porusza się głównie w sferze abstrakcyjnych rozważań o sensie, a raczej – bezsensie bytu; nawet Bóg nie jest w stanie udzielić mu pociechy, bo po spotkaniu z Nim

*Potem ja, smutny człowiek, i On, Bóg przesmutny,  
Miniemy się z westchnieniem, wiekuiście sami.*

Także utwory, które można określić jako erotyki, skierowane do bliżej nieznaney kobiety, nacechowane są niepewnością co do przyszłości łączącego kochanków uczucia (*Nie patrz na mnie tak smutno czy Te usta dziwnie są świeże*).

*Doprawdy, nikt z nas nie wie o tem,  
Choć twój i mój czas niedaleki –  
Czyż wiedzą coś o wieczności  
Najdłuższe godziny i wieki?*

Tytuł tomikowi dał wiersz *Ludziom smutnym*, którego początek można uznać za kwintesencję poglądów autora na życie swoje i innych:

*Ludziom smutnym cóż można powiedzieć na drogę? –  
Tak bardzo jestem smutny, że nic rzec nie mogę.*

Życie w interpretacji poety jest tylko oczekiwaniem na śmierć; pesymizm jest tu posunięty do ostatnich granic, a wszelkie ludzkie uczucia czy wysiłki nie są w stanie niczego zmienić. Jednocześnie nie ma w nim buntu czy próby zmiany lub choćby odsunięcia w czasie nieuchronnego losu; poeta biernie poddaje się temu, co przyniesie mu przyszłość, a śmierć traktuje jako ukojenie, które da mu wieczysty spokój.

*Na wieki wieków podróżni,  
Przez próźnię idziemy do próźni.*

*Wieczność, jak grób, nam otwarli –  
Jesteśmy biedni umarli.*

Jest oczywiście sprawą otwartą, w jakim stopniu osobiste przeżycia Jana ukształtowały taką jego postawę (na przykład fakt wczesnego osierocenia go przez rodziców – matka zmarła w 1914 roku, zaś ojciec w pół roku później). Jego młodszy brat Adam, nauczyciel gimnazjalny w Wielkopolsce, popełnił samobójstwo w 10 lat po śmierci Jana, jako przyczynę podano problemy emocjonalne. Jako czternastoletni chłopiec, a więc rówieśnik słynnego Jurka Bitschana, Jan Zahradnik walczył w listopadzie 1918 roku, za co otrzymał Krzyż Obrony Lwowa. Później jednak nie zdał matury (rzecz jasna: z matematyki!), a zatem nie mógł śladem swego starszego brata Andrzeja Ludwika podjąć studiów uniwersyteckich, co także było dla niego źródłem frustracji. Końcowe lata życia spędził w sanatorium przeciwgruźliczym w Hołosku koło Lwowa, gdzie też zmarł.

Mimo wszechogarniającego, niemal manifestacyjnego smutku (ale nie rozpacz!) utwory Zahradnika są poezją wysokiej próby. We wstępie do wspomnianego tomu Karolina Grodziska przytacza opinie współczesnych mu krytyków, jak Stanisław Wasylewski czy Marian Hemar, którzy bardzo wysoko oceniali talent liryczny autora. Zupełnie innego zdania był Władysław Broniewski, który wiersze Zahradnika uznał za „gruby anachronizm”, echo wierszy Tetmajera i Staffa. Trzeba jednak zaznaczyć, że była to odpowiedź na atak Zahradnika pod adresem samego Broniewskiego, którego docenił za talent, przekreślony jednak przez komunistyczne poglądy poety, wyrażone przez niego wraz z towarzyszami Standem i Wandurskim w słynnym tomiku *Trzy salwy*. Krytykował także Skamandrytów, a jedynym z tej grupy, którego ocenił wysoko był Jarosław Iwaszkiewicz.

Jedynym w praktyce źródłem wiedzy dla współczesnego czytelnika na temat życia i twórczości Jana Zahradnika pozostaje obszerny wstęp Karoliny Grodziskiej, która sama, jak przyznaje, dość przypadkowo zapoznała się z twórczością tego poety. Na wznowienie jego tomu *Ludziom smutnym* liczyć raczej trudno. Miłośnikom Lwowa pozostaje jednak w pamięci utwór poety, który znajduje miejsce w każdej antologii poezji o Mieście Semper Fidelis.

*Nie rzucę, nie zostawię najdroższego miasta –  
Dlaczegoż ma mi życia zamierać połowa?  
Może się poza Lwowem jakiś świat rozrasta,  
Ale cóż mi po świecie, w którym nie ma Lwowa!*



Grób Jana Zahradnika na cmentarzu Łyczakowskim

# Potwór na skraju otchłani

WIESŁAWA KONOPELSKA

Czym jest malarstwo, a dokładniej proces powstawania obrazu, co to jest działanie twórcze, w czym leży istota piękna, jak jest rola twórcy stojącego na skrzyżowaniu osobistego świata wewnętrznego, otaczającej go rzeczywistości w której funkcjonuje i zamysłonego obrazu, który na początku jest zawsze dokładnie taki sam – to biała, niezapisana karta, która pod wpływem setek, a nawet tysięcy gestów ręki prowadzonej przez wewnętrzną energię i determinację artysty odróżni ją od tych już zapisanych; stanie się kolejną próbą wykładni zagadnień, które – rzecz można – od zawsze interesują Lecha Kołodziejczyka – artystę, który od 40 lat przekłada na język malarstwa swoje wewnętrzne stany i doznania, sytuując je w szerokim kulturowym kontekście.

Całe dotychczasowe twórcze życie Lecha Kołodziejczyka ma swoje źródło w stawianiu pytań. Konfrontuje świat wewnętrzny z tym, który go otacza, którego dotyka na co dzień – z rzeczywistością, od której nie ma ucieczki – chyba że do kapsuły własnej pracowni, gdzie odizolowany od szumu mediów, gwaru ulicy, problemów i spraw koniecznych do funkcjonowania we współczesnym świecie może – jak doktor Jekyll i Mister Hyde stawiać pytania sobie samemu i próbować podjąć bodaj tysięczną, czy dwutysięczną próbę analizy i poszukiwania odpowiedzi.

Według mnie malarstwo, a raczej sam proces malowania, jest dla Lecha Kołodziejczyka swego rodzaju notesem, w którym w przy pomocy farb i pędzla zapisuje wszystkie możliwe odpowiedzi. Stąd być może adekwatną formą tych zapisków są polipytki i cykle malarskie.

Charakterystyczną cechą malarstwa tego artysty jest, że obraz nie jest dla niego formą komentarza sytuacji społecznych, światopoglądowych, nie interesują go problemy opisywane w bieżącej publicystyce. Kołodziejczyk penetruje zupełnie inne rejony. W centrum swojego malarskiego świata stawia egzystencję człowieka w jej filozoficznym wymiarze.

Poprzez obraz artysta zdaje się pytać: a gdzie jest moje miejsce, czy jeszcze nadążam za zmieniającym się światem, czy w ogóle chcę za nim podążać, poddawać się jego wpływom, histeriom, pozornym koniecznościom, społecznym przymusom i tzw. poprawności politycznej.

Często prezentując swoje kolejne dzieło ustawa się obok niego – oto ja, a to moja kolejna próba znalezienia odpowiedzi. Jego obrazy – cykle obrazów są jak zdania wielokrotnie złożone lub zbudowane z naddawanych znaczeń utwory poetyckie, są też jak dzieła muzyczne z jednej strony precyzyjnie zapisane jednak dopuszczające swobodną interpretację. Każde odczytanie tekstu lub wykonanie utworu stwarza nową sytuację i kontekst dla stawianych pytań. Lech Kołodziejczyk znakomicie funkcjonuje w każdym z tych światów. Sam będąc nie tylko malarzem, ale i teoretykiem sztuki poszukuje adekwatnych sytuacji we wszystkich tych obszarach. Jako malarz – poszukiwania zamienia w kolor, światło, ruch, przestrzeń i rze-

czywistość obrazu zamkniętego w określonych ramach; jako profesor i wykładowca posługuje się słowem, opisując stany i konteksty swojej twórczości, podbudowując wszystko przemyśleniami wywiedzionymi z szerokich kontekstów istnienia człowieka. Wydawać by się mogło, że Kołodziejczyk tworzy światy odległe, poza realne, wymaginowane, wręcz abstrakcyjne. Według niego samego, nic bardziej błędnego. W swojej najnowszej książce zatytułowanej „Pamięć czasu – malarstwo w czasach duchowego bankructwa” (Uniwersytet Śląski 2020) napisał, m.in.: „Nigdy [jednak] nie pojmowałem swojego doświadczenia malarskiego w kategoriach abstrakcji – zawsze obrazy te stanowiły dla mnie rodzaj egzemplifikacji ważnych i istotnych spraw oraz treści dotyczących zarówno mnie samego, jak i tych dziejących się wokół mnie. Podstawą mojej pracy nad obrazem nadal jest poszukiwanie takich cech koloru, światła, materii, przestrzeni, które uruchomiłyby cały proces malarski, wyzwoływałyby moją osobistą aktywność pojmowaną jako spotkanie mnie samego z tym, co poza mną”.

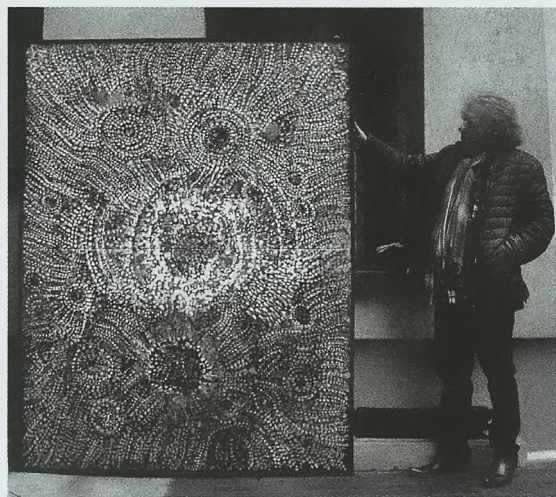
W innym miejscu dodaje: „Moje poszukiwania artystyczne to [...] usiłowanie zdefiniowania, określenia za pomocą znaków malarskich mego rozumienia i przeżywania świata, tego wszystkiego, co we mnie i poza mną”. Dodaje także: „Współczesny świat to zespół sprzecznych informacji, opinii, sądów, wykluczających się postaw i działań. Brak uniwersalnych wartości i wyolbrzymienie partokularnych interesów pewnych grup społecznych spowodowały rozpad idei i zasad scalających ten chaos. [...] Człowiek osaczony chaosem i destrukcją to człowiek złamany i kaleki – świat sztuki to unaocznienie wyższych wartości i nieustanne pokonywanie własnych ograniczeń”.

Przed laty o malarstwie Lecha Kołodziejczyka tak napisał prof. Zygmunt Lis: [...] obrazy bliskie doskonałości niwelują z pola naszego widzenia problemy warsztatowe, przemieniając się w zdematerializowane zjawiska piękna, wielkości lub brzydoty”. Zdaniem profesora Lisa Lech Kołodziejczyk wpisuje się w rolę malarza – szamana, który „wędrując do innych światów, przynosi stamtąd ślady gorących doznań – w tym znaczeniu jego obrazy posiadają znamiona religijne [...]”. Po upływie blisko 20 lat od konstatacji prof. Zygmunta Lisa, Lech Kołodziejczyk zadaje i sobie, i profesorowi takie oto pytanie: – Czymże więc jest owa przestrzeń sacrum dla człowieka XXI wieku – „istoty pozabawionej punktów odniesienia”? Poprzez swoje obrazy Kołodziejczyk próbuje do-

tknąć owych punktów odniesienia, bada ich istotę i sens – czasem są to bardzo konkretne przestrzenie – jak obiekty poprzemysłowe, w których urządził swoje wystawy, gdzie duch pracy, ludzkiej egzystencji i duch twórczy łączą się, przenikają, zacierając granice między tym co materialne i duchowe, wszak i jedno, i drugie to wytwór pracy rąk i umysłu. Sztuka zajmuje nieznaną jej dotąd miejsce – czy na pewno nieznaną, czy tylko jest zmianą planów – na czoło wysuwa się nie fizyczność, lecz duchowość – a jeśli jej coraz bardziej brakuje, jeśli otaczają nas ersatze, nieprawdziwe wartości, jeśli funkcjonujemy nie w życiu, ale przemyślnie stworzonej scenografii jednorozowego użytku? Jaki sens ma obecność sztuki w naszym dzisiejszym życiu? Warto przyglądać się kolejnym odsłonom malarskich wykładów Lecha Kołodziejczyka. Nie padnie jednoznaczna odpowiedź, ale droga dochodzenia czasem jest ważniejsza od osiągnięcia celu. Być może zdołamy odpowiedzieć na pytanie artysty: „[...] czy nasza wyobraźnia jest sparaliżowana, czy mamy jeszcze oczy, którymi moglibyśmy dostrzec drugie dno, potencjalne zagrożenie unicestwienia?” i „odzyskamy „dramatyczny” typ człowieka, zdolnego przywołać „potwora na skraju otchłani”

Korzystałam z książki:

Lech Kołodziejczyk *Pamięć czasu – malarstwo w czasach duchowego bankructwa*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego 2020.



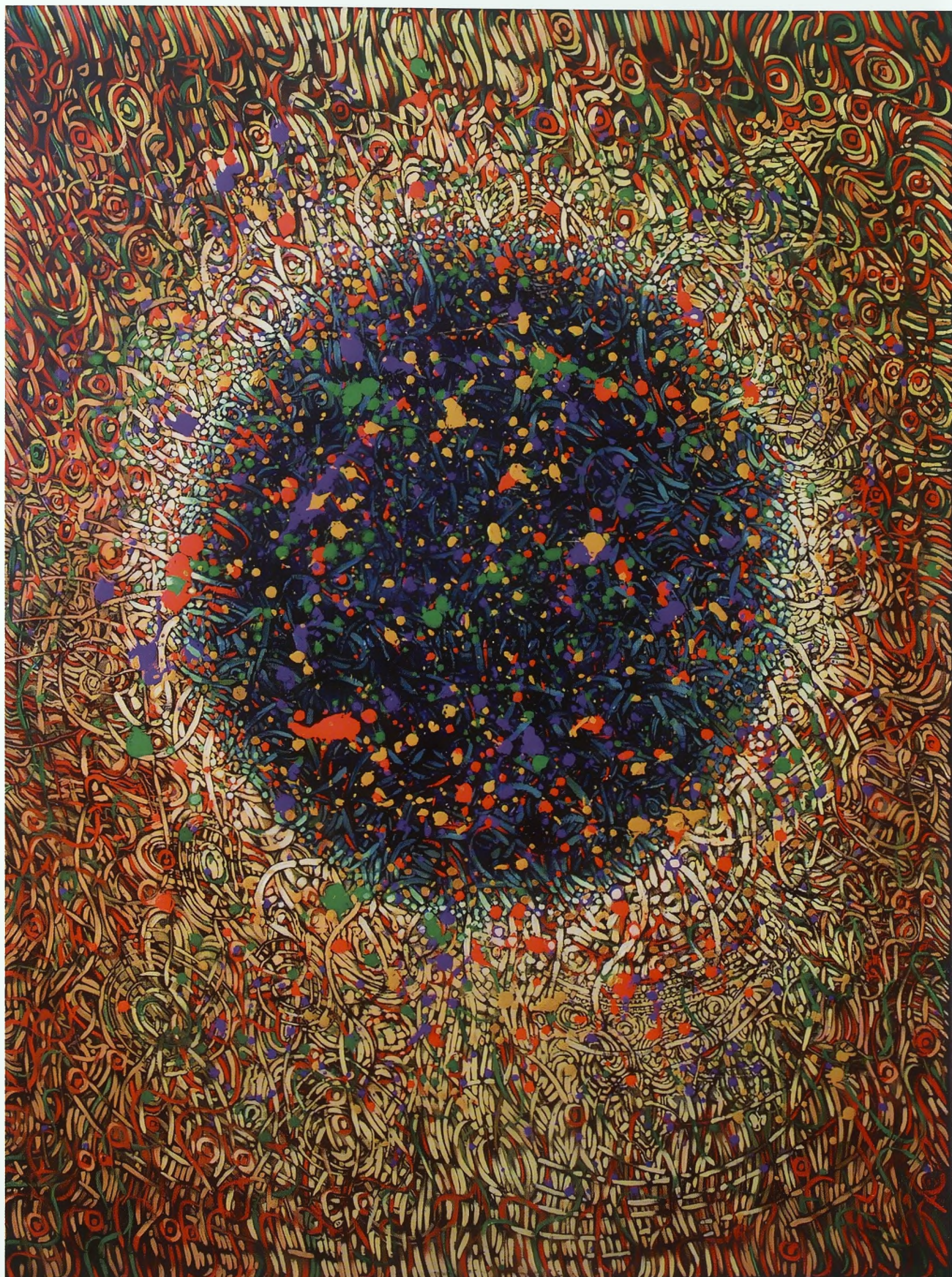
fol. arch.

**Lech Kołodziejczyk** – profesor w Instytucie Sztuki (obecnie Instytut Sztuk Plastycznych) Uniwersytetu Śląskiego, w latach 2004–2014 kierownik Katedry Malarstwa. Autor ponad 100 wystaw indywidualnych i uczestnik kilkudziesięciu wystaw zbiorowych na terenie kraju i za granicą. Najważniejsze cykle malarskie: *Fantomanie*, *Kosmogonie*, *Luminofory*, *Księga słońca*, *Ogrody ciemności*, *Lirykony*, *Księga nocy*, *Głowy*, *Zapomniany horyzont*, *Wirtualne ikony*.



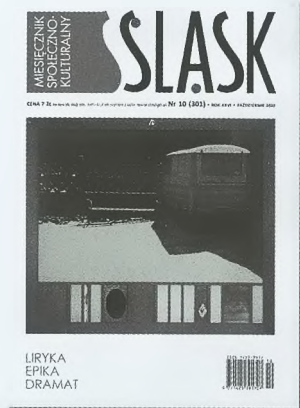
Lech Kołodziejczyk, „Niebieska głowa”, 2005, olej na płótnie, wymiary 179x104 cm





Lech Kołodziejczyk, „Głowa”, 2002, olej na płótnie, wymiary 200x151 cm





## Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2021 rok!  
Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

\*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

\*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

\*

Prenumerata roczna – 84 złote  
Prenumerata półroczna – 42 złote  
Prenumerata kwartalna – 21 złotych

\*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

\*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

\*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

\*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej [www.slaskgtl.com](http://www.slaskgtl.com)

\*

**POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!**

odnłek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy G I Ó R N Ó S Ł A Ś K I E T O W A R Z Y S I T W Ó L I T E R A C K I E  
nazwa odbiorcy cd. U L I J U L I U S Z Ą L I G O Ń I A 7, 4 0 - 0 3 1 6 K A T Ó W I C Ę  
I.k. nr rachunku odbiorcy 0 8 2 0 3 0 0 0 4 5 1 1 1 0 0 0 0 0 0 4 0 7 9 4 9 0  
kwota W P P L N  
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)  
nazwa zleceniodawcy  
nazwa zleceniodawcy cd.  
tytułem  
tytułem cd.  
PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA  
„ŚLĄSK”

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Oплата:

odnłek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy G I Ó R N Ó S Ł A Ś K I E T O W A R Z Y S I T W Ó L I T E R A C K I E  
nazwa odbiorcy cd. U L I J U L I U S Z Ą L I G O Ń I A 7, 4 0 - 0 3 1 6 K A T Ó W I C Ę  
I.k. nr rachunku odbiorcy 0 8 2 0 3 0 0 0 4 5 1 1 1 0 0 0 0 0 0 4 0 7 9 4 9 0  
kwota W P P L N  
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)  
nazwa zleceniodawcy  
nazwa zleceniodawcy cd.  
tytułem  
tytułem cd.  
PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA  
„ŚLĄSK”

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Oплата:

# K S A L S

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO -  
KULTURALNY

## NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:  
Anna Gaitoer

### Rok Stulecia Wybuchu III Powstania Śląskiego

**KATOWICE.** Sejmik Województwa Śląskiego uchwała ogłasza rok 2021 Rokiem Stulecia Wybuchu III Powstania Śląskiego.

### Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego

**KATOWICE.** Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego za wydarzenie muzealne roku 2019

#### Kategoria WYSTAWY

Nagroda główna (5.000 zł) – **Muzeum Historii Katowic** za wystawę „Z fabryki na salony!”, Wystawa porcelany „Giesche”, „Czuday”, „Huta Franciszka”

Nagroda główna (5.000 zł) – **Muzeum w Tarnowskich Górach** za wystawę „Miasto z porcelany”. Widoki Tarnowskich Gór na Serwisie Carnalla

Wyróżnienie – **Muzeum Górnośląskie w Bytomiu** za wystawę „Zwierzęta przekłete. Wilk?”

#### Kategoria PUBLIKACJE KSIĄŻKOWE

Nagroda główna (10.000 zł) – **Muzeum Górnośląskie w Bytomiu** za publikację „Zanim nastąpiła Polska... Praca społeczna kobiet w okresie powstań i plebiscytu na Górnym Śląsku. Wybór relacji”. Oprac. Joanna Lusek

Wyróżnienie – **Muzeum Historii Katowic** za publikację „Waleska von Tiele – Winckler: Tradycje rodzinne”

Wyróżnienie – **Muzeum Śląskie w Katowicach** za dwutomową publikację „Górny Śląsk z powietrza. Przed stu laty” (t.1) oraz „Górny Śląsk z powietrza. Dzisiaj” (t.2). Red. naukowa: Łukasz Galusek, Dariusz Gierczak

Wyróżnienie – **Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej** za publikację Teresa Dudek Bujarek: „Fałatówka – wielowątkowa opowieść”

Wyróżnienie – **Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej** za publikację Piotr Kenig: „Dawne atelier fotograficzne Bielska-Białej”

Kategoria DOKONANIA Z ZAKRESU INICJATYW EDUKACYJNYCH I POPULARYZACJI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO w tym wydawnictwa multimedialne Nagroda główna (10.000 zł) – **Muzeum Górnośląskie w Bytomiu** za projekt „Pogotowie kulturalne”

Wyróżnienie – **Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach** za projekt „Obchody 100-lecia I Powstania Śląskiego”

Wyróżnienie – **Muzeum Śląskie w Katowicach** za projekt „Muzeum Młodych”

Wyróżnienie – **Muzeum Śląska Cieszyńskiego** – Oddział Muzeum Beskidzkie im. Andrzeja Podzorskiego w Wiśle za projekt „W poszukiwaniu piękna w kulturze Górali Śląskich – poszerzenie oferty kulturalnej pogranicza polsko-czeskiego”

# Indeks alfabetyczny nazwisk autorów i ich publikacji zamieszczonych w miesięczniku „Śląsk” w roku 2020

## B

**Baron** Jan: Godka; Karawana; Maszkyty; Ostatniego dnia; Pokrzywy i dżdżownice; Spitsbergen; \*\*\* Jeszcze się nie urodziłam; \*\*\* Kilka razy sprawdzam alarm nr 12, s. 44–45.

**Bąba** Aleksander: Kapliczki „Czerwonego Zagłębia” nr 6, s. 53–55; Foto nr 6, s. 52–55.

**Bąkiewicz** Marta J.: Tropem kultury nad brzegiem Odry. (...) w rozmowie z Januszem I. Wójcikiem nr 9, s. 9–11.

**Bednarczyk** Dariusz Jacek: Cieszyn w dwóch odsłonach; Dwa kolory – trzy barwy, czyli dwa razy Cieszyn; Pocztówka z Cieszyna nr 8, s. 40–41.

**Bielecka** Sylwia: Adriatyk; Las aniołowski; Promenada Niemena; Zielona Częstochowa nr 6, s. 10–11.

**Bieliński** Krzysztof: Foto nr 2, s. 2 okładki; nr 5, s. 43; nr 10, s. 3 okładki; nr 12, s. 3 okładki.

**Biemek** Tomasz: Forteca, gdzie gościł polski król. Historia zamku w Głogówku nr 4, s. 47–48; Łambinowicka ziemia oddaje wojenne relikty (75 rocznica wyzwolenia największego obozu jenieckiego na świecie) nr 3, s. 53–55; Park z potencjałem. Z Agnieszką Bożek, prezes Parku Śląskiego rozmawia (...) nr 6 nr 6, s. 8–9; Ten zamek inspirował Beethovena. Z Aleksandrem Devosges Cuberem dyrektorem Muzeum Regionalnego w Głogówku rozmawia (...) nr 4, s. 49–50; Foto: nr 1, s. 2 okładki; nr 3, s. 2 okładki, 52–55; nr 4, s. 2 okładki, s. 12; nr 7, s. 2 okładki, s. 18, 19; nr 8, s. 24, 40, 41; nr 9, s. 14, 15; nr 11, s. 2 okładki.

**Bies** Łukasz: Pożegnanie. Arkadiusz Kremza 24 września 1975–24 kwietnia 2020 nr 5, s. 46–47.

**Bieszczad** Maciej: Obecność; Pisząc; Pragnąc; Starożytna skarga; W kolebce; Wspomnienie o świcie; Życzenie nr 9, s. 40–41.

**Bloom** Jeanne: Foto nr 10, s. 61.

**Blok** Aleksander: Ramzes. Sceny z życia dawnego Egiptu. Przeł. Marian Kisiel nr 10, s. 54–58.

**Błyszczek** Aneta: Zdzisława Górską Nieć: Zielona i uroczą. Miejsce w którym złapiesz wewnętrzny balans nr 5, s. 13.

**Bożek** Agnieszka: Park z potencjałem. Z (...) prezes Parku Śląskiego rozmawia Tomasz Biemek nr 6, s. 8–10.

**Broll** Urszula: Grafika nr 3, s. 30.

**Brzeska** Magda: Bielska Jesień – Bielsko Autumn – ogólnopolski przekrój wysiłków malarskich 2019 nr 1, s. 74–75.

**Buksa** Michał: Foto nr 2, s. 8, 9; nr 5, s. 26.

**Bzdok** Henryk: Foto nr 6, s. 69–72; nr 11, s. 3, 4, okładki.

**Bzinkowski** Michał: Cień; Gondola; Igły; Toń; Żółwie nr 7, s. 14–15.

## C

**C.** Ewa: Foto nr 6, s. 9.

**Carusotti** Marco: Foto nr 12, s. 31.

**Chełstowski** Jakub: Tylko synergia działań może przynieść efekty. Z Marszałkiem Województwa Śląskiego (...) rozmawia Tadeusz Sierny nr 12, s. 5–7.

**Chmiel** Anna patrz: **Musialik** Chmiel Anna.

**Chojnacki** Dariusz: Stworzony z miłości do Śląska. Z (...) aktorem teatralnym i filmowym związanym z Teatrem Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach rozmawia Grzegorz Cwiertniewicz nr 2, s. 40–42.

**Chudyba** Ewa: „Życ sztuka”. Porcelana Rosenthal. Dar Wolfganga Domagalli dla Muzeum w Gliwicach nr 6, s. 50.

**Chwastek** Karol: Śląskie drogi. Pierwsza „Solidarność” z perspektywy Śląska i Zagłębia nr 8, s. 8–10; Krzysztof Grządziel malarz historii dojmującej. Z artystą rozmawia (...) nr 1, s. 32–35; Buntownik od zawsze. Z Romanem Kostrzewskim rozmawia (...) Marek Lyszczyna nr 11, s. 7–9.

**Chyczyński** Stanisław: Kurza gęś nr 4, s. 26–29.

**Cieplak** Anna: Śląska herstoria? Z dr Małgorzatą Tkacz Janik rozmawia (...) nr 9, s. 65–68.

**Cierniak** Henryk: Żółte ściany: Przypadkowe brzoskwinie; Trzy i pół zwrotki; \*\*\* Stan mojej świadomości; \*\*\* złota jesień jest koloru nr 3, s. 16–17.

**Cieślak** Kazimierz: Olej nr 5, s. 1 okładki, prace nr 5, s. 69–72.

**Cofałka** Jan: Nasz Hanik. Ks. Jana Machy ciernista droga na ołtarze nr 12, s. 16–20; Linijki papilarne. Rec.: Marian Buchowski: Linijki papilarne. Opole 2019 nr 2, s. 63; Górny Śląsk w systemie „demokracji ludowej”. Rec.: Michał Lis: Górny Śląsk w warunkach niedemokratycznego systemu „demokracji ludowej”. Opole 2019 nr 11, s. 63.

**Cortez** Aleksander: Foto nr 10, s. 7.

**Cuber** Devosges Aleksander: Ten zamek inspirował Beethovena. Z (...) dyrektorem Muzeum Regionalnego w Głogówku rozmawia Tomasz Biemek nr 4, s. 49–50.

**Cybul** Dariusz: Foto nr 5, s. 20.

**Cybulscy** B. i K.: Foto nr 10, s. 20, 21.

**Cyganek** Joanna: Foto nr 12, s. 35.

**Cygańczyk** Łukasz: Rosja 2020. Praktyczne refleksje podróжного ze Śląska nr 8, s. 73–75; Foto nr 8, s. 2 okładki, 69–72, 73, 74.

**Czaadajew** Piotr: Fragmenty i różne myśli. Cz. II. Przeł. Marian Kisiel nr 4, s. 10–13; O architekturze. Przeł. Marian Kisiel nr 2, s. 6–7.

**Czech** Alojzy: Trudne sąsiedztwo. Kopalnia doświadczalna „Barbara” nr 10, s. 20–21; Znany, znaczący absolwent Kazimierz Zarzycki w oczach własnych nr 8, s. 61–63; Śląskie watki u polskiego germanofila nr 11, s. 64–65.

**Czerwiński** Wiesław: Foto nr 9, s. 50.

**Czyż** Zbigniew: Foto nr 4, s. 33; nr 8, s. 34, 35.

## Ć

**Ćwiertniewicz** Grzegorz: Stworzony z miłości do Śląska. Z Dariuszem Chojnackim aktorem teatralnym i filmowym związanym z Teatrem Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach rozmawia (...) nr 2, s. 40–42; Teatr jest świątynią wyobraźni. Z Teresą Sawicką, aktorką teatralną i filmową związaną z Teatrem Polskim w Wrocławiu rozmawia (...) nr 1, s. 44–46.

## D

**Daniec** Zdzisław: Foto nr 5, s. 28.

**Derejczyk** Jarosław: Zestarzeć się zdrowo na Śląsku nr 1, s. 6–9.

**Devosges** Aleksander patrz: **Cuber** Devosges Aleksander.

**Długajczyk** Edward: Charles de Gaulle w Nowym Bieruniu nr 4, s. 54–57.

**Dorot** Mariusz: Wreszcie jest! Rec.: A. A. Zych: Encyklopedia starości, starzenia się i niepełnosprawności. Katowice 2020 nr 2, s. 67.

**Drozd** Paweł: Foto nr 3, s. 6.

**Dutka** Elżbieta: Świat nieuporzędowany i obrona metafory. Rec.: Adam Zagajewski: Substancja nieuporzędowana. Kraków 2019 nr 1, s. 59.

21 (Dwadzieścia jeden) postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z 17 sierpnia 1980 roku nr 8, s. 17.

## E

**Evans** Mary: Foto nr 6, s. 27.

## F

**Fatyga** Karol: Foto nr 6, s. 2 okładki, 34, 35.

**Filia** Ryszard: Foto nr 2, s. 2 okładki, s. 38, 39.

**Fiołek** P.: Foto nr 3, s. 31–33.

**Fischer** Jerry: Foto nr 12, s. 55.

**Flaga** Piotr: Foto nr 12, s. 34, 35.

**Fober** Katarzyna: Grafika nr 1, s. 1 okładki.

**Fodczuk** Dariusz: Perfomans nr 3, s. 72.

**Francuz** Grzegorz: Pandemia magistra vitae est? Z prof. (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 11, s. 4–6.

**Frej** Marta: Malarstwo nr 9, s. 69–72.

**Fox** Marta: Cztery opowiadania: Grzech; Historia pewnego buta; Oczekiwanie; Tak, to ja, Sydonia nr 10, s. 46–49.

## G

**Gaitoer** Anna, Joanna Kotkowska: *Notatnik kulturalny* nr 1, s. 64–67; nr 2, s. 76–78; nr 3, s. 77–79; nr 4, s. 77–78; nr 5, s. 76–79; nr 6, s. 76–79; nr 7, s. 78–79; nr 8, s. 78–80; nr 9, s. 76–79; nr 10, s. 78–79; nr 11, s. 76–79; nr 12, s. 78–80.

**Gałuszka** Krystian: Ballada o dworcu, który stał się biblioteką nr 2, s. 10–12; Fermata Chebzie V nr 2, s. 12.

**Gardaś** Arkadiusz: Anna Rice: Królowa wampirów nr 2, s. 26–28.

**Gerlich** Marian Grzegorz: *Między ciszą a hatasem*: Ojkofoobia – czy nam zagraża nr 1, s. 38; Kresowanie (i nie tylko) i poniemieckie szafy, kredensy, stoiki nr 2, s. 37; Madonny z katowickich ogrodów sztuki nr 3, s. 37; Anioł historii nr 4, s. 36; O zakłamywaniu przeszłości i otchłaniach niepamięci nr 5, s. 37; Erwin Sójka – potrzeba nowego spojrzenia nr 6, s. 37; Kajze mi się podziół mój synoczek miły? nr 7, s. 39; Arkadiusz Gola – antropolog i mistrz „czarnej skrzynki” nr 8, s. 38; „O nas zapomnieć nie wolno” nr 9, s. 37; Śpieszmy się kochać pisarzy... nr 10, s. 59; Przemijanie i pamięć nr 11, s. 37; Święta, czyli cenna wartość nr 12, s. 37. Od ostatków do zwy-

- cięskiego Alleluja nr 3, s. 10–12.
- Gierlotka** Stefan: Górnicze obserwatorium Magnetyczne nr 7, s. 20–23; Ojciec Damian Henryk Szojda OFM – spowiednik wojewody? Nr 5, s. 42; Przewidywanie górników po wprowadzeniu Karty Górnika w 1949 roku nr 11, s. 40–42; Śląscy misjonarze werbiści w Indonezji. O. Józef Glinka SVD (1932–2018) nr 1, 16–17; Śląska stygmatyczka Katarzyna Szymon nr 6, s. 74–75; Wizyta Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego w Katowicach Kostuchnie w 1935 roku na zaproszenie Tadeusza Sendzimiry nr 2, s. 58–59.
- Gierowski** Stefan: O twórczości Ernesta Zawady nr 11, s. 68.
- Głowaczewski** Maciej: Foto nr 6, s. 50, 51; nr 11, s. 7–9.
- Głybin** Jerzy: Dlaczego, Hidalgo don Quijote de la Mancha, Lot, Odyseusz, Ulubieniec bogów, Wieczór nr 11, s. 3, 18–19.
- Górska** Nieć Zdzisława, Anna Błyszczek: Zielona i uroczą. Miejsce w którym złapiesz wewnętrzny balans nr 5, s. 13.
- Gracjan** Konrad: Stracenie ks. Jana Franciszka Machy nr 9, s. 14–15.
- Grella** Możejko Piotr: *Język w strunach*: Czarodziejski flet Agnieszki nr 1, s. 39; Muzyka ukrytego mistrzostwa nr 2, s. 73; Twórcza ciekawość Eweliny B. nr 3, s. 39; Zamknięty rozdział: Krzysztof Penderecki (1933–2020) nr 4, s. 73; Anny narracje niezwykle nr 5, s. 73; Kompozytor, eksperymentator, pedagog (Ryszard Gabrys) nr 6, s. 73; Kompozytorka spełnionych nadziei nr 7, s. 73; Kompozytor potrzebny nr 8, s. 47; Maestra z tej ziemi nr 9, s. 80; Książka o Witoldzie Szalonku nr 10, s. 73; Ich dwoje nr 11, s. 80; Artysta totalny nr 12, s. 73.
- Grott** Bogumił: *Ausculata et perpende*: Moje rozmyślanie nad książką. Rec.: Andrzej Krzystyniak: Zwijanie polskości. Katowice 2020 nr 4, s. 14–15; Przedhitlerowskie korzenie nazizmu nr 9, s. 16–18; Zbrodnia i grabież. Rec.: Wojciech Polak, Sylwia Galij-Skarbińska: Zbrodnia i grabież. Jak Niemcy tuszują prawdę o sobie (1939–2019). Kraków 2019 nr 11, s. 46–47.
- Grudniok** Ewa: Opowieści starego dębu. Ciekawa inicjatywa Zakładu Usług Komunalnych i Muzeum Miejskiego nr 8, s. 45.
- Grudzień** Waldemar: Od Rubinsteina do Tarzana. W Domu Muzyki i Tańca występowali najwybitniejsi artyści świata nr 3, s. 57–59.
- Gruszka**-Zych Barbara: obejmując; kogo; nocą; w dolinie; \*\*\* biały punkt na polanie; \*\*\* drobne drzewka na polu; \*\*\* jeden szary gołąb na dachu sąsiada; \*\*\* odbijają się w blacie drzewa; \*\*\* odnajdywałam się na tej ulicy; \*\*\* słońce nie wie o niczym, wiatr też nr 10, s. 44–45.
- Grzesiuk** Cezary: Pociąg jechał dwa razy szybciej i miał skrzydła. Z (...) , autorem filmu *Niebieskie charaktery*, montażystą filmowym (*Skazany na bluesa*, *Śmierć jak kromka chleba*) współtwórcy filmów dokumentalnych o tematyce śląskiej rozmawia Marek Lyszczyzna nr 6, s. 48–49.
- Grześkowiak** Grzegorz: Henryk Szwan. Dla Polski i za Polskę. 80 rocznica zbrodni Katyńskiej 1940–2020 nr 3, s. 31–33; *Zołnierze* nr 2, s. 46–49; Foto nr 3, s. 31, 32, 33.
- Grzondziel** Krzysztof: (...) malarz historii dojmującej. Z artystą rozmawia Karol Chwastek nr 1, s. 32–35.
- Grzonka** Henryk: Foto nr 5, s. 18, 19.
- Grzycuk** Adrian: Foto nr 9, s. 4.
- H**
- Hajduk** Nijakowska Janina: Ze Lwowa na Opolszczyznę nr 2, s. 43.
- Heather** Paul: Foto nr 2, s. 26.
- Herman** Anna: Kraina najczystszej powietrza. Rec.: Beata Kowalik: No pasa nada! Nic się nie dzieje. Kobięce oblicze Meksyku. Warszawa 2020 nr 7, s. 65.
- Heska** Kwaśniewicz Krystyna: Co „grało i gra” w duszy Ślązaków? Z prof. (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 3, s. 4–7; Mieczysława Wiktoria Mitera Dobrowolska nr 5, s. 56–59; Poezja Powstań Śląskich nr 8, s. 5–7; Profesor Jan Kazimierz Zaremba nr 4, s. 39–42; „Niezmierzona przestrzeń życia” Zbyszko Bednorz (1913–2010) nr 11, s. 24–27.
- I**
- Idziak** Bogna: Foto nr 4, s. 43.
- Ignatowicz** Justyna patrz: *Szlachta Ignatowicz* Justyna.
- J**
- Jabłoński** Marian: Medium między miastem a mieszkańcami nr 5, s. 30.
- Janik** Małgorzata patrz: **Tkacz** Janik Małgorzata.
- Janowski** Tomasz: Foto nr 3, s. 2 okładki, s. 40.
- Jarczewski** Andrzej: Ekologia akustyczna peronu półtorowego nr 1, s. 13; Ekologia optyczna szeroko-torowa nr 2, s. 13; Od papieru zaczęły się media. Z Flawiuszem Pietrzykiem właścicielem Czerpalni Papieru Art-Papier rozmawia (...) nr 5, s. 34–35; Publikacja w Cambridge Scholars Publishing nr 2, s. 74; Studium ideowego zniewolenia. O „Radiofonii III Rzeszy” Sebastiana Fikusa. Rec.: Sebastian Fikus: Radiofonia w III Rzeszy. Studium ideologicznego zniewolenia. Katowice 2018 nr 1, s. 60–61; Foto nr 8, s. 55.
- Jaroń** Jan Nikodem: Rota Górnośląska nr 8, s. 3.
- Jendroska** Przemysław: Foto nr 3, s. 74, 75.
- Joszek** Eleonora: Bryczką po Śląsku nr 7, s. 55–57; Końskie zdrowie nr 1, s. 10–12; Foto nr 7, s. 2 okładki, s. 55–57.
- Juchniewicz** Andrzej: „Inne, ale kochane”. Rec.: Jacek Hołub: Żeby umarło przede mną. Wołowiec 2018 nr 2, s. 65; Kruche, zepsute i niepotrzebne piękno. Rec.: Każdemu jego śmietnik. Szkice o śmietniach i śmietniskach. Wołowiec 2019 nr 1, s. 62; Mieszkanie na cmentarzu. Rec.: Paweł Piotr Reszka: Płuczki. Poszukiwacze żydowskiego złota. Warszawa 2019 nr 8, s. 67; Opowiedane trendami. Rec.: Mikołaj Grynberg: Pofunie. Wołowiec 2020 nr 9, s. 61; Po-składane życiorysy. Rec.: Patrycja Dołowy: Wróć, gdy będziesz spała. Rozmowy z dziećmi holokaustu. Wołowiec 2019 nr 6, s. 66; Z czyszcza na Parnas. Rec. Tadeusz Słowiak: Płonący gołębnik. Kraków 2018 nr 5, s. 63; Życie wśród transmitujących przemoc. Rec.: Wojciech Tochman: Pianie kogutów, płacz psów. Kraków 2019 nr 4, s. 66.
- K**
- Kamińska** Roksana: Foto nr 4, s. 21.
- Kapsa** Jarosław: *Listy częstochowskie*: Ziemia przemysłników nr 10, s. 40–42; Na Alejach niech się dzieje nr 11, s. 28–29; W polskiej (żydowskiej) Norymberdze nr 12, s. 46–48.
- Karwot** Jan: Grafika nr 2, s. 4 okładki, s. 51, 52.
- Kazimierzczak** Radosław: Foto nr 10, s. 31–33.
- Kijas** Agnieszka: Cienutka nic „Babiego lata”. Wspomnienie Andrzeja Szyposza nr 9, s. 46–48.
- Kijowski** Maciej: Winien i ma. Rec.: Kazimierz Zarzycki: Moja melodia PRL-u. Katowice 2020 nr 5, s. 64.
- Kisała** Agnieszka: Jubileusz Biblioteki. Rec.: Maria Leś Rudnicka, Roman Latusek: Dzieje jaworzniczego bibliotekarstwa powszechnego. Jaworzno 2019 nr 5, s. 65;
- Kisiel** Marian: Adam Władysław Jarosz 25 maja 1928–6 czerwca 2020 nr 6, s. 16–17; Podwórka czasu. O marlarstwie Jacka Rykały nr 10, s. 66–68; Powrót do krainy dzieciństwa. O Florianie Śmieci nr 4, s. 74–76; Tadeusz Jacek Makles. 14 sierpnia 1943–26 czerwca 2020 nr 7, s. 46–47; Odczytywanie Wojtyły. Rec. Krzysztof Dybciak: Pisarstwo Karola Wojtyły Jana-Pawła II w oczach krytyków i uczonych. Warszawa 2020 nr 4, s. 62–63; Smutek nowoczesności. Tristitia moderna. Pasja mitu tristanowskiego w nowoczesnej literaturze, filozofii i muzyce. Kraków 2019 nr 7, s. 63–64; Spod znaku księżycy. Rec.: Marek Lobo Wojciechowski: Dzień kreta. Łódź 2019 nr 3, s. 64; Aleksander Błok: Ramzes. Sceny z życia dawnego Egiptu. Przel. (...) nr 10, s. 54–58; Piotr Czaadajew: Fragmenty i różne myśli cz. II. Przel. (...) nr 4, s. 10–13; Piotr Czaadajew: O architekturze. Przel. (...) nr 2, s. 6–7; Ilja Surgaczow: Pięć minut. Zielone Świątki. Przel. (...) nr 7, s. 24–27; Piotr Wiazemski: Stary notatnik (1813–1819). Przel. (...) nr 12, s. 27–30; Jefim Zozula: Kain i Abel. Żywe meble. Przel. (...) nr 6, s. 22–25; Jefim Zozula: Księga wyjścia. Przel. (...) nr 3, s. 22–25;
- Kiszka** Adam: „Póki my żyjemy” Portret Krystyny Koczy nr 8, s. 32–33.
- Klimarska**-Nowak Paulina: Ciało obce nr 2, s. 44–45; Tonle sap nr 5, s. 22–25.
- Kłakus** Romuald: Foto nr 9, s. 46.
- Kobierski** Radosław: Homo Silesius. Rec.: Krauzy. Jednoaktówki po śląsku. Katowice 2016 nr 2, s. 64; Ulica Promenadowa. Rec.: Promenada na południe. Historia ulicy Kościuszki nr 2, s. 66
- Kokot** Janusz: Grafika nr 6, s. 1 okładki.
- Komorowski** Piotr: Eden nr 1, s. 68.
- Konopelska** Wiesława: Zemsta nietoperza, czyli dlaczego kochamy klasykę nr 2, s. 81; Widowisko bez granic. Gala na 75 lecie Opery Śląskiej nr 6, s. 35.
- Korczyński** Krzysztof: Foto nr 8, s. 17.
- Korepta** Edyta: „Dopokąd idę”. Rec.: Małgorzata Musierowicz (przy współpracy Emilii Kieręś): Na Jowisza! Uzupełniam Jerzycjadę. Warszawa 2020 nr 7, s. 66; Nie tylko o Kossakach. Rec.: Joanna Jurgala Jurczka: Kossakowie. Tango. Poznań 2020 nr 12, s. 63.
- Korusiewicz** Maria: Dom na wzgórzu nr 4, s. 3; Labirynty, czyli drogi „przejścia” nr 3, s. 26–28; Tragicizm i teologia nr 4, s. 4–7; Rys: nr 7, s. 15; nr 12, s. 24. Foto: nr 3, s. 24; nr 4, s. 16–17, 38, 58–59; nr 8 s. 1 okładki, 22, 23;
- Korwin Piotrowski** Krzysztof: *Muzyka moja miłość*: Agnieszka Zwierko – z Ostrowa do La Scali nr 8, s. 37; Aleksandra Kurzak na żywo i on line nr 5, s. 43; Busko-Zdrój, Gliwice, Ewa Tracz i Andrzej Dziadek nr 12, s. 43; foto s. 43; Karnawał z Piotrem Beczął i Lotharsami nr 2, s. 35; Muzyka moja miłość nr 1, s. 37; Odmrażanie festiwalu muzycznych nr 9, s. 57; Opera Śląska online nr 7, s. 80; ORFEO, czyli Twój nowy portal muzyczny nr 3, s. 38; Teatr imienia Kie-pury i Grażyna Brodzińska nr 6, s. 38–39; Wanda Polonońska – królowa sceny nr 11, s. 43; Wspaniały Werther nr 10, s. 80; Wojtek Pszoniak – z Gliwic do Paryża nr 11, s. 20–23.
- Kosowska** Ewa: kultura śląska?/kultura Śląska (W dziesiątą rocznicę Kongresu Kultury Województwa Śląskiego) nr 9, s. 6–8; „Tradycja się zmienia bo ma własną dynamikę”. Z prof. Dorotą Simonides, laureatką nagrody „Lux et Silesia – Światło ze Śląska” rozmawia (...) nr 10, s. 4–6.
- Kostrzewski** Roman: Buntownik od zawsze. Z (...) rozmawiają Karol Chwastek i Marek Lyszczyzna nr 11, s. 7–9.

**Kotkowska** Joanna, Anna Gaitoer, *Notatnik kulturalny* nr 1, s. 64–67; nr 2, s. 76–78; nr 3, s. 77–79; nr 4, s. 77–78; nr 5, s. 76–79; nr 6, s. 76–79; nr 7, s. 78–79; nr 8, s. 78–80; nr 9, s. 76–79; nr 10, s. 78–79.

**Kowalski** Piotr C.: Grafika nr 2, s. 34.

**Koziołek** Ryszard: Trzy kroki Kazimierza Cieslika nr 5, s. 66–68.

**Krajewska** Agata: Szansa dla folkloru. O dygitalizacji zbiorów Adolfa Dygacza nr 8, s. 14.

**Krawczyk** Dariusz: Miedzy nami sąsiadami, czyli komunikowanie lokalne nr 5, s. 6–8.

**Kremza** Arkadiusz: brama; iskać; Jedna z pięciolini; Klamstwo; Kobieta; Logorea. Hostia; Ludzie; nr 6, s. 3, 14–15.

**Kruk** Jan: Foto nr 4, s. 51.

**Krupa** Józef: Epidemia trwa. Mój telewizyjny grób, Nowy York nr 11 s. 29–32; Foto nr 11, s. 33.

**Krupińska** Grażyna: Jurij Brezan: „nigdy nie czułem się obco”. Rec.: Grażyna Barbara Szewczyk, Monika Blidy: Polsko łużyckie zbliżenia. Język-literatura-kultura. Katowice 2019 nr 4, s. 64–65.

**Krzystyński** Andrzej: Jaki będzie Śląsk w przyszłości? Z publicystą dr (...) rozmawia Tadeusz Sierny nr 12, s. 12–13.

**Krzyszowska Kuc** Anna, Tomasz Sanecki: Przyroda i historia, czyli jak zmieniły się najciekawsze zakątki Bytomia nr 5, s. 14–15.

**Krzyżanowski** Lech: Autonomia województwa śląskiego – impuls postępu czy hamulec rozwoju? nr 7, s. 35–37.

**Kubanowska** Aleksandra: Indeks alfabetyczny nazwisk autorów i ich publikacji zamieszczonych w miesięczniku „Śląsk” w roku 2019 nr 1, s. 76–80.

**Kuc** Anna patrz: **Krzyszowska Kuc** Anna.

**Kud** Aleksandra: Foto nr 5, s. 22–25.

**Kura** Anna: Foto nr 8, s. 45.

**Kuskowski** Miomil: Jak zmieniać znaczenia przypisane przedmiotom nr 3, s. 73.

**Kuźnik** Bartłomiej: Klamry; La Muta; Niuans; Piekło. Czyścic, Raj; Ufność; Ślady, Twórków nr 12, s. 14–15.

**Kwaśniewicz** Krystyna patrz: **Heska** Kwaśniewicz Krystyna.

**L**

**Laburda Lis** Małgorzata: Wspominamy Tragedię Górnośląską nr 4, s. 21.

**Lahitte** Jacques: Foto nr 4, s. 19.

**Lekszycki** Paweł: Diogenes z Synopy pisze list do współczesnych – traktat o Czasie; Diogenes z Synopy słusznie przypuszcza, że przyjdzie mu umrzeć w Koryncie; Kratesa z Teb słowo o Diogenesie z Synopy; Zespól Diogenesa nr 1, s. 3, 14, 15.

**Lengyel** Olga: Wolność i wiara (fragment). Przel. Roman Palewicz nr 8, s. 28–31.

**Leśniowska** Lucyna: Zaraza i inne czasy nr 6, s. 47.

**Leyden** Lucas von: Foto nr 10, s. 17.

**Lichecka** Małgorzata: Czaszka w dobrych rękach nr 1, s. 20–21; Las Miejski w Gliwicach i jego ikona – Zamek Leśny nr 6, s. 12–13; Mistrz mediów stadionowych. Z Andrzejem Ślugoćkim, spikerem Piasta Gliwice, dziennikarzem „Nowiny Gliwickich rozmawia” (...) nr 5, s. 31–33; „Nowiny Gliwickie” tchnienie miasta nr 5, s. 26–28; ORNO. Biżuteria z charakterem nr 2, s. 8–9; Wierzę w wieżę nr 4, s. 46; Foto nr 6, s. 13.

**Linert** Andrzej: Józef Para na Śląsku nr 11, s. 15–17.

**Lipowski** Wojciech: *Teatr*:Ktoś obok nas. Rec.: L. Baffie: Nerwica natręctw. Teatr Śląski + Teatr Korez. Katowice 2020 nr 2, s. 79; Niepokoje artysty. Rec.: A. Pałyga: Czy Pan uważa się za artystę? Teatr Śląski Katowice 2020 nr 3, s. 74–75; Ostatnie wspólne zdję-

cie. Rec.: W. Gombrowicz: Ślub. Teatr Zagłębia. Sosnowiec 2020 nr 10, s. 74–75; Strzeż się tych miejsc. Rec.: Leopold Tyrman: Zły. Bielsko Biała 2020 nr 11, s. 73–74; Suma przypadków. Rec.: Teatr Śląski Katowice 2008 nr 6, s. 31 (Teatr czasu zarazy); *Szczyt* możliwości. Rec.: P. Quilter: W górę! Teatr Polski Bielsko Biała 2020 nr 9, s. 38–39 (Teatr czasu zarazy); 13. piętro Superbohatera. Rec.: B. Minkiewicz, T. Minkiewicz: Wilg Superbohater. Teatr Śląski Katowice 2019 nr 1, s. 47; Wewnętrzna siła barw. Rec.: Julia Holewińska: Katyń. Teatr Śląski. Katowice 2020 nr 12, s. 74–75. Wieczór kuglarzy. Rec.: H. Levin: Jakobi i Leidental. Teatr Śląski Katowice 2011 nr 5, s. 74–75 (Teatr czasu zarazy); Życie: instrukcja przetrwania. Rec.: A. Pałyga: Pandemony. Teatr Śląski Katowice 2020 nr 8, s. 76–77 (Teatr czasu zarazy).

**Lis** Małgorzata patrz: **Laburda Lis** Małgorzata.

**Lisiak** Krzysztof: Foto nr 5, s. 54, 55.

**Lisowska** Katarzyna: Gliwicy naukowcy stworzyli nowy model do badań nad rakiem nr 1, s. 4–5; Profesor Mieczysław Choraży obchodzi 95 urodziny nr 10, s. 7.

**Loster** Tadeusz: Człowiek z historyczną pasją nr 8, s. 55–57; Gliwickie dzieci Sybiru nr 11, s. 12–14; Kapliczki „Czerwonego Zagłębia” nr 6, s. 53–55.

**Lubowski** Zbigniew: Barokowy południk czechowicki nr 3, s. 40–43; Biała – rzeka niebanalna. Dawniej dzieliła, dzisiaj łączy nr 7, s. 48–50; Gondolą na Szyndzielnię nr 6, s. 32; Malowana lala z Bytomia nr 11, s. 48–49; Miłość wysadzona w powietrze nr 4, s. 30–33; Odmówił mierzniaka zawartości komunizmu nr 5, s. 10–12; Operetkowe smutki i radości nr 1, s. 28–29; Pasja tarnogórskiego zapaleńca nr 8, s. 34–35; Portret artystki niepospolitej. Spódnica z parasolki. Natasha Pavluchenko w rozmowie z (...) nr 12, s. 31–33; Rockowe zwierzenia dyplomowanego ogrodnika nr 2, s. 38–39; Wąskotorowa przejażdżka nr 10, s. 43; Wiedeń moich marzeń nr 3, s. 76; Zielona dusza Śląska nr 9, s. 31–33; Foto: nr 3, s. 40, 41, 42; nr 4, s. 31, 32; nr 5, s. 11; nr 6, s. 2 okładki, s. 33; nr 7, s. 2 okładki, s. 48–51; nr 8, s. 2 okładki; nr 9, s. 2 okładki, s. 31, 32, 33; nr 10, s. 43.

**Lubszycki** Adrian: Park Cegielnia czyli żorski Central Park nr 5, s. 20.

**Lyszczyna** Marek: Pociąg jechał dwa razy szybciej i miał skrzydła. Z Cezarym Grzesiukiem autorem filmu *Niebieskie charaktery*, montażystę filmowym (*Skazany na bluesa*, *Śmierć jak kromka chleba*) współtwórcy filmów dokumentalnych o tematyce śląskiej rozmawia (...) nr 6, s. 48–49; Śląski chłopiec o siedmiu sercach. Jacek Lyszczyna 13 lipca 1954–20 lutego 2020) nr 3, s. 18–19; Buntownik od zawsze. Z Romanem Kostrzewskim rozmawiają Karol Chwastek i (...) nr 11, s. 7–9; Foto: nr 3, s. 18.

**Ł**

**Łukaszek** Mirosława: Foto nr 5, s. 53.

**M**

**Maciejewska** Alicja: Naznaczeni nr 12, s. 34–35.

**Maciuszkiewicz** Roman: Grafika nr 4, s. 1 okładki.

**Maciuszkiewicz Waluszewska** Kinga: grafika nr 11, s. 1 okładki.

**Majcherzyk** Paweł: poeta w Biedronce; Wybacz: Zamknięty w lastryko; Zwarty druk; \*\*\*aby korzystać z rzeczywistości; \*\*\*Czytało się miało się dobrze; \*\*\*jest w nas wszystko i nic; \*\*\*odłączamy się od rzeczywistości nr 2, s. 3, 14–15.

**Majerski** Paweł: Adresy Waśkiewicza. Rec.: Andrzej K. Waśkiewicz 22 czerwca 1941–11 lipca 2012. Zielona Góra 2019 nr 3, s. 68; Biografia panoramiczna.

Rec.: Magdalena Boczkowska: Stacherski. Niecierpliwe serce. Toruń 2020 nr 12, s. 64; Etyka pamięci i kultury. Rec.: Wojciech Kudyba: Pamięć i godność. O poezji Jana Polkowskiego. Warszawa 2019 nr 6, s. 65; Rzeczywistość „nowej sztuki”. Rec.: Małgorzata Geron, Jerzy Malinowski: Manifesty polskiej awangardy artystycznej: Formiści – Bunt – Jung Idysz 1917 – 1922. Warszawa 2019 nr 3, s. 66; Trzy dekady. Śląski rozdział SPP nr 3, s. 60–61 nr 3, s. 60–61.

**Majewski** Michał patrz: **Śniado Majewski** Michał.

**Makles** Karol: *Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfańtego*: Czy na Górnym Śląsku potrzebne jest Centrum Kresowe nr 7, s. 11; „Jak mi Polska zapłaciła” arestowanie Wojciecha Korfańtego – głosy z prasy śląskiej nr 9, s. 56; O nowe spojrzenie na Górny Śląsk (wraz z Z. Woźniczka) nr 5, s. 29; Od wieków związani z książką czyli o tradycjach czytelniczych na Górnym Śląsku nr 6, s. 30.

**Malicki** Jan: *Białe kruki*:Dwa zapewne najstarsze rękopisy Biblioteki Jagiellońskiej nr 1, s. 48–49; Książka dziwnie rzadka. „Catalogus ducum...” Teodora Zawackiego nr 6, s. 58–59; Niezniszczalna natura „oblędu lechickiego” Jana Kochanowskiego: O Czechu i Lechu historia naganiona nr 2, s. 18–19; Oczami Węgry. Pierwsza księga podróźnicza nr 8, s. 20–21; „Podczas morowego powietrza, wypędzając z głowy melancholię” Hiacynta Przetockiego: Postny obiad albo zabaweczka nr 10, s. 38–39; Sarkandiana sprzed 400 lat nr 4, s. 35; Śląski przekład chińskiego arcy-poety nr 9, s. 54–55; Tajemnica Gallowego przesłania nr 3, s. 56; Treń Jana Kochanowskiego nr 11, s. 54–55; Ustrońska „książeczka o sadach i owocach” nr 5, s. 38; Zagłada kresowego świata nr 7, s. 42–43; Zapomniane „Ustawy” śląskich „pszczoł lubowników” nr 12, s. 40–41.

**Małyska** Iwona: Z pomysłem na tereny zielone nr 5, s. 9.

**Marek** Monika: Foto: nr 3, s. 22.

**Marszałek** Jerzy: Foto: nr 7, s. 48.

**Maśluszczak** Franciszek: Grafika nr 7, s. 69–72.

**Matuszewska** Izabela patrz: **Tomasz Matuszewska** Izabela.

**Melecki** Maciej: Jak cię widzą, tak cię myślą. O poezji Arkadiusza Kremzy nr 6, s. 4–7. Szyfry wyjść; Zaborcy cienia nr 3, s. 44–45.

**Mickielewicz** Magdalena: Gliwice stawiają na zieleni nr 5, s. 21.

**Minior** Michał: Grafika nr 4, s. 68–72.

**Miodek** Jan: *Śląska Ojczyzna Polsczyzna*:Cera od Lucypera nr 10, s. 30; Czelodka nr 12, s. 36; Florian Śmieja w mojej pamięci nr 9, s. 30; Józefa Osfyra z narodu Ostrzodka nr 5, s. 36; Jużyna i swaczyna nr 2, s. 36; Katowicki – bogucicki – miechowski nr 7, s. 38; O co weta? nr 8, s. 36; Od Cieszynda do Bogumina, czyli opus vitae prof. Daniela Kadłubca nr 6, s. 36; Syca, bo musa nr 4, s. 37; Wiesołe wesele nr 11, s. 36; Wieszowa – Chechło – Nakło nr 1, s. 36; Z Wysoki, z Ciasny, z Wirku nr 3, s. 36.

**Modestowicz** Ewa: Foto nr 12, s. 26.

**Montewska** Julia: *Śląskie tajemnice*:Drugie życie w Mielicy (cz. 26) nr 3, s. 48; Glinka-Pałac wisielców nr 12, s. 51–51; Pałac w Bystrzykowicach (cz. 24) nr 1, s. 50–51; Pałac w Łażanach (cz. 26) nr 4, s. 53; Pałac w Łączanach (cz. 25) nr 2, s. 57; Pałac w Manowie Małym (cz. 30) nr 9, s. 52–53; Pałac w Mrowinach (cz. 32) nr 11, s. 35; Pałac w Wierchowicach (cz. 28) nr 5, s. 80; Pałac w Wiśniowie (cz. 29) nr 6, s. 80; Sekret pałacu w Osetnie (cz. 31) nr 10, s. 53; Foto: nr 1, s. 2 okładki; nr 2, s. 2 okładki; nr 3, s. 2 okładki; nr 4, s. 2 okładki, s. 52; nr 5, s. 2 okładki, s. 80, 81; nr 6, s. 2 okładki, s. 3 okładki; nr 9, s. 2 okładki; s. 52, 53; nr 10, s. 2 okładki, s. 52, 53; nr

- 11, s. 2 okładki, s. 34; nr 12, s. 2 okładki, 50, 51.
- Mosak** Piotr: To nie kres literatury, to kres czcionek. Rec.: Szczepan Kopyt: Na giełdach nadprodukcji pikują akcje przetrwania. Poznań 2019 nr 6, s. 64.
- Moraczewska** Marta Malina: Foto nr 3, s. 11.
- Morcinek** Krzysztof: Foto nr 2, s. 34; nr 3, s. 69–73.
- Muschalik** Piotr: Foto nr 3, s. 1 okładki.
- Musialik Chmiel** Anna: Nasi w Brazylii (W 10 rocznicę Kongresu Kultury Województwa Śląskiego 23–25.09.2010) nr 10, s. 8–11;
- Muszalik** Michał: Brzeziny; Grudzień; Historia i mitologia; Hotel Globo; Józefka; Lato na Sycylii; Poranek nr 8, s. 22–23.
- Muller** Jakob: Zapomniany Edward Jesionowski nr 2, s. 29–31.
- Możejko** Piotr patrz **Grella Możejko** Piotr.
- Myjak** Adam: Rzeźba nr 1, s. 3 okładki; Grafika nr 2, s. 68–72.
- N**
- Nieć** Franciszek: Linoryt i Wielka Wojna. Z prof. (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 4, s. 22–24.
- Nieć** Zdzisława patrz: **Górska** Nieć Zdzisława.
- Niedoba** Andrzej: Herody (Fragment) nr 10, s. 26–29.
- Nijkowska** Janina patrz: **Hajduk** Nijkowska Janina.
- Nowacki** Dariusz: Majster nad majstrami. Po śmierci Jerzego Pilcha nr 6, s. 28–29.
- Nowak** Anna: O doświadczeniu skóry nr 7, s. 44–45.
- Nowak** Paulina patrz: **Klimañska**-Nowak Paulina.
- Nowak** Zygfryd, Jacek Pietrucha: Meandry śląskiej tożsamości i kultury (W dziesiątą rocznicę Kongresu Kultury Województwa Śląskiego 23–25.09.2010) nr 10, s. 12–15.
- O**
- Otrębski** Andrzej: Foto nr 4, s. 9.
- P**
- Pacheco** Carlos: Foto nr 2, s. 28.
- Palewicz** Roman: Olga Lengyel: Wolność i wiara. Przeł. (...) nr 8, s. 28–31.
- Paszek** Jerzy: *Po-gwarki Profesora*: Eseje i felietony Kazimierza Wyki. Tom 333 serii I „Biblioteki Narodowej” nr 2, s. 60–61; Harold Bloom a/i Poldy Bloom nr 10, s. 60–61; Krasicki kunsztownie ujęty przez prof. Golińskiego nr 8, s. 56–60; O burmistrzu mizdrzącym się do kuchty i kur. Ekstraordinaryjnie i ewakuacyjnie o limerykach nr 1, s. 56–57; O stylu prozy Olgi Tokarczuk. Dopowiedzenie od L do Ż nr 4, s. 60–61; Ostatni tomik Szymborskiej wraz z przekładem Cavanagh nr 12, s. 60–61; Proust, Boy i „wydanie dla dzieci”. Esej nie dla infanta lub „infantyła” nr 7, s. 60–62; Przekład *Don Juana* Byrona. Przekład – tłumacz – komentator nr 9, s. 58–59; Pustelnia parmeńska Stendhala. Powieść „to the happy few” nr 6, s. 60–62; Słowo po słowie aż po posłowie. O stylu prozy Olgi Tokarczuk nr 3, s. 62–63; Tren Zahorskiej o córce Elżbiecie. Litka z elitarniej ligi idealistów nr 11, s. 56–57; Moja przepastna lub spolegliwa biblioteka. Na 80-lecie urodzin prof. Jerzego Paszka nr 5, s. 40–41; Krasicki pod lupą filologa. Rec.: Ignacy Krasicki. Dzieła zebrane. T 2. Zbiory wierszy. Poznań 2019 nr 8, s. 66.
- Pavluchenko** Natasha: Portret artystki niepospolitej. Spódnica z parasolki. (...) w rozmowie ze Zbigniewem Lubowskim nr 12, s. 31–33.
- Pawluszkiewicz** Anna: Rys.: nr 6, s. 23; nr 9, s. 41.
- Pazniak** Uladzimir: Performans nr 3, s. 72.
- Piechota** Marek: „Żył przynajmniej dwa razy” Jacek Lyszczyna 13 lipca 1954–20 lutego 2020 nr 3, s. 20–21.
- Arceyseje o arcydziełach. Rec.: Jerzy Paszek: Blask arcydzieł. Katowice 2020 nr 11, s. 57–59.
- Pieczrak** Andrzej: Foto nr 1, s. 4.
- Piekarska** Ada: Nowe perspektywy sztuki nr 4, s. 44.
- Pietrucha** Dariusz: *Historie pachnące betonem*: LSD jak grzybów po deszczu nr 1, s. 55; Rybnik – miasto dotknięte wojną nr 2, s. 54–56; Zapora, której nikt nie chciał nr 3, s. 49–50; Foto nr 1, s. 52–55; nr 3 s. 49–51.
- Pietrucha** Jacek, Zygfryd Nowak: Meandry śląskiej tożsamości i kultury (W dziesiątą rocznicę Kongresu Kultury Województwa Śląskiego 23–25.09.2010) nr 10, s. 12–15.
- Pietrzyk** Flawiusz: Od papieru zaczęły się media. Z (...) właścicielem Czerpalni Papieru Art-Papier rozmawia Andrzej Jarczewski nr 5, s. 34–35.
- Piotrowski** Krzysztof patrz: **Korwin Piotrowski** Krzysztof.
- Piwko** J. Marek: Grafika nr 9, s. 1 i 3 okładki.
- Popczyk** Katarzyna: Foto nr 4, s. 4 okładki.
- Porozumienie** zawarte przez Komisję Rządową (...) z MKR z tymczasową siedzibą w Hucie Katowice nr 8, s. 15–16.
- Potocka** Joanna: Foto nr 7, s. 40.
- Proszuk** Jacek: Foto nr 2, s. 40.
- Protokół** porozumienia zawartego przez Komisję Rządową i Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w dniu 30.09.1980 w Kopalni Węgla Kamiennego „Mni-fest Lipcowy” nr 8, s. 11–14.
- Przerwa** Sławek: Foto nr 1, s. 68.
- Przybył** Jan (Jan Pol): Obrazy nr 12, s. 1 okładki; s. 67, 69–72.
- Pyka** Henryk: *Eseje*: Ateny nad Popradem nr 3, s. 13–15; Darcie Biblii nr 10, s. 16–17; Jerzy Warchałowski i inni nr 7, s. 28–29; Moja mała ojczyzna nr 6, s. 18–19; Monstrancja nr 8, s. 26–27; Nieugaszona tęsknota artysty nr 1, s. 30–31; Sunt lacrimae rerum nr 2, s. 16–17; Świądkowie osobiwi i odlegli nr 5, s. 60–62; Świat pełen urody i spokoju nr 11, s. 10–11; Świąteczne szwedzkie okno nr 12, s. 67–68; Wokół Michała Willmana nr 9, s. 20–21; Zaduma pod morowym słupem nr 4, s. 8–9.
- Pyzik** Tomasz: Droga do sacrum. O wierszu „Światło” Stanisława Horaka nr 1, s. 24–26.
- R**
- Relidziński** Józef: Rota Górnoślązaków nr 8, s. 4.
- Renk** T.: nr 7, s. 4 okładki, 8, 9, 10.
- Roguski** Piotr: Wahadło nr 12, s. 54–57.
- Rybak** Arkadiusz, Agnieszka Zielińska: Bohaterowie Republiki Zagłębiowskiej nr 10, s. 36–37.
- Rykała** Jacek: malarstwo nr 10, s. 1 okładki, s. 69–72.
- S**
- Salon** Sztuk w dawnym mieszkaniu Barbary i Stanisława Ptaków w Katowicach w styczniu i w lutym nr 1, s. 27.
- Sanecki** Tomasz, Anna Krzyszkowska Kuc: Przyroda i historia, czyli jak zmieniały się najciekawsze zakątki Bytomia nr 5, s. 14–15.
- Sawicka** Teresa: Teatr jest świątynią wyobraźni. Z (...) aktorką teatralną i filmową związaną z Teatrem Polskim w Wrocławiu rozmawia Grzegorz Cwiertniwicz nr 1, s. 44–46.
- Sawicki** Paweł: Foto nr 8, s. 31.
- Schmitke** Piotr: Rys. nr 3, s. 60.
- Sellin** Jarosław: Pytamy Ministra? Rozmowa z (...) wiceministrem kultury i dziedzictwa narodowego. Rozmawia Tadeusz Sierny nr 9, s. 4–5.
- Sempoliński** Jacek: Męćmierierz. Foto: nr 1, s. 31.
- Siecia** Anna: Stajenka (Inspiracja „Kaprysy Łazarza” Stanisława Grochowiaka) nr 12, s. 23–24.
- Sierny** Tadeusz: *Od redaktora*: nr 1, s. 2; nr 2, s. 2; nr 3, s. 2; nr 4, s. 2; nr 5, s. 2; nr 6, s. 2; nr 7, s. 2; nr 8, s. 2; nr 9, s. 2; nr 10, s. 2; nr 11, s. 2; nr 12, s. 2. Pytamy Ministra? Rozmowa z Jarosławem Sellinem wiceministrem kultury i dziedzictwa narodowego. Rozmawia (...) nr 9, s. 4–5; Jaki będzie Śląsk w przyszłości? Z publicystą dr Andrzejem Krzystyniakiem rozmawia (...) nr 12, s. 12–13; Tylko synergia działań może przynieść efekty. Z Marszałkiem Województwa Śląskiego Jakubem Chelstowskim rozmawia (...) nr 12, s. 5–7; Henryk Bzdok: grafik i fotografik nr 6, s. 68; Program dla cyfelnika nr 9, s. 74–75; Przyjaciele „Śląska” nr 9, s. 73; Saga o rodzinie znad niepokornej rzeki. Rec.: Andrzej Niedoba: Rzeka niepokorna. Saga cieszyńska. Katowice 2018 nr 9, s. 63.
- Simonides** Dorota: „Tradycja się zmienia, bo ma własną dynamikę”. Z prof. (...) laureatką nagrody „Lux ex Silesia – Światło ze Śląska” rozmawia Ewa Kossowska nr 10, s. 4–6.
- Skowronek** Piotr: „A zasadzisz ogród.” Z ks. prof. Jerzym Szymikiem rozmawia (...) nr 12, s. 8–11; „Byli pełni łęku...” z arcybiskupem Damianem Zimoniem rozmawia (...) nr 5, s. 4–5; Co „grało i gra” w duszy Ślązaków? Z prof. Krystyną Heską Kwaśniewicz rozmawia (...) nr 3, s. 4–7; Linoryt i Wielka Wojna. Z prof. Franciszkiem Nieciem rozmawia (...) nr 4, s. 22–24; Pandemia magistra vitae est. Z prof. Grzegorzem Francuzem rozmawia (...) nr 11, s. 4–6; Akt, który wszystko zmienił. Rec.: Elżbieta Mazurek: Akt pamiątkowy objęcia Górnośląska przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Katowice 2018 nr 7, s. 58–59; Co rysował Karlik z „Kocyndra”? Rec.: Barbara Maresz, Anna Musialik: Stanisława Ligionia opowieści obrazkowe. Katowice 2019 nr 5, s. 18–19; Postscriptum do Postscriptum Rec.: Andrzej Szuba: Wygasić. Katowice 2020 nr 10, s. 65; Poetka bez skóry. Rec.: Genowefa Jakubowska-Fijałkowska: Rodliny mięsożerne. Mikołów 2020 nr 11, s. 60; Spadamy jednocześnie. Rec.: Sylwia Jaworska: Mistrzowskie trójki. Katowice 2020 nr 12, s. 65; To jedno co zostanie, podbite niczym słowa. Rec.: Krzysztof Siwczyk: Osobnik. Kraków 2020 nr 6, s. 63; Żal utraconej choroby. Rec.: Marian Jochemczyk: W poszukiwaniu utraconej afazji Katowice 2019 nr 2, s. 62.
- Skwara** Anita: „A (filmowy) statek płynie”. Śląska edycja MFF Transatlantyk (1–8 października 2020) nr 10, s. 31–32; O Leszku Ptasińskim, o odchodzeniu nr 5, s. 53–55; Wokół Doliny Bogów – zapiski z izolacji nr 7, s. 30–32.
- Skwara** Bogna: Rys. nr 1, s. 14, 15; nr 2, s. 3, 14, 15, 44, 45; nr 3, s. 44, 45; nr 4, s. 4, 27–29; nr 5, s. 44, 45; nr 6, s. 7, 15; nr 7, s. 3, 44; nr 10, s. 18, 19, 44, 45; nr 11, s. 18, 19, 44, 45; nr 12 s. 28, 29, 45.
- Skwara** Marek: Architekt Stanisław Niemczyk. In memoriam nr 5, s. 50–51; Bastion św. Barbary. Tryptyk Jasnogórski nr 3, s. 35; Kaplica Golgoty Wschodu. Tryptyk Jasnogórski cz. II nr 4, s. 45; Projekty intymne nr 1, s. 18–19; Realizacja przestrzeni kontemplacyjnej. Tryptyk jasnogórski III nr 7, s. 76–77; Foto: nr 1, s. 2 okładki; nr 3, s. 34; nr 5, s. 2 okładki; nr 5, s. 51, 52; nr 7 s. 1 okładki, 76, 77.
- Skworc** Wiktor abp: Adwentowe świąteczna refleksja w roku 2020 „Podzielmy się opłatkiem, chlebem pokoju i niebą” nr 12, s. 3, 4.
- Słomska** Julia: Ciemna strona węgla nr 6, s. 26–27; Tam, gdzie wszystko się zaczęło. Rec.: Zofia Ratajczak: Kazimierz Wiśniak: Czarodziej z podwórka. Kraków 2018 nr 1, s. 58.
- Sługocki** Andrzej: Mistrz mediów stadionowych. Z (...) siperem Piasta Gliwice, dziennikarzem

„Nowin Gliwickich rozmawia Małgorzata Lichecka nr 5, s. 31–33;

**Smalcerz** Agata: Malarstwo laureatów Bielskiej Jesieni w Galerii Bielskiej BWA nr 2, s. 32.

**Sokół** Aneta M.: Ewangelicy dawniej i dziś. Rec.: Religijność i codzienność we środowisku ewangelickim na dawnych i współczesnych ziemiach polskich. Chorzów 2019, nr 11, s. 62.

**Spurgiasz** Michał: Zwyczaj powitania wiosny między dawnymi ludami Europy nr 3, s. 8–9.

**Stanisławski** Igor: Foto nr 7, s. 52, 54.

**Stasiewicz** Jerzy: Janusz Ireneusz Wójcik nr 12, s. 49.

**Stoga** Joanna: Cztery pory czasu – siedem rzek; Lalutka; Okruchy nr 1, s. 40–42, 43, 68; Droga, Pająk nad szafą nr 5, s. 44–45; Graf.: nr 1, s. 69, 70, 71; Foto nr 1, 4, s. okładki; Rys. nr 5, s. 4 okładki.

**Strąk** Artur: Foto nr 12, s. 25.

**Stuchlik** Zygmunt: Kopalnia „Beata” na Katowickiej Holdzie nr 2, s. 20–22.

**Styrylska** Joanna: Obraz nr 7, s. 25;

**Surguczow** Ilja: Pięć minut; Zielone Świątki. Przeł. Marian Kisiel nr 7, s. 24–27.

**Surma** Krzysztof: Foto nr 5, s. 26, 27.

**Sworzeń** Marian: *Blyski i zapatrzania*: Andrzej Ziemiński: Dobry Niemiec. Opowiadania prawdziwe nr 7, s. 40–41; Bohdan Korzeniewski „Było, minęło... Wspomnienia” nr 11, s. 39; Jan Józef Szczepański. Kadencja nr 8, s. 39; Konrad Wrzós „Okno w oko z kryzysem. Reportaż z podróży po Polsce” nr 9, s. 28–29; Mirosław Wleklej: „Gareth Jones. Człowiek, który wiedział za dużo.” nr 12, s. 38–39; Stanisław Wachowiak. Czasy które przeżyłem. Wspomnienia z lat 1890–1939 nr 5, s. 39; Virgilia Sapieha, amerykańska księżna. Z Nowego Jorku do Siedlisk nr 6, s. 20–21; Tomasz mann „Śmierć w Wenecji” nr 10, s. 24–25;

**Szczepański** Henryk: Janek z kościuszkowskiego wzgórza nr 9, s. 42–45; Zetowiec z Załęskiej Hałdy nr 7, s. 16–19.

**Szewczyk** Grażyna Barbara: Anna Stroka (15 kwietnia 1923–10 lipca 2020) nr 12, s. 80; Opera omnia Krzysztofa A. Kuczyńskiego nr 8, s. 64–65; Opowieści z krainy nadodrzańskiej. Rec.: Renata Dampc Jarosz, Hannelore Scholz – Lubbering: Nadodrzańskie opowieści. Antologia tekstów niemieckich autorów z obszaru Środkowej i Dolnej Odry. Katowice 2019 nr 3, s. 65–66; Pożegnanie Profesora Norberta Honszy 23 czerwca 1933–16 lipca 2020 nr 8, s. 42–43.

**Szkaradnik** Katarzyna: Bibliofilska sztafeta nr 9, s. 24–27.

**Szlachta Ignatowicz** Justyna: Krew z krwi. Rec.: Anna Dziewit-Meller: Od jednego Lucypera. Kraków 2020 nr 9, s. 60.

**Sznajder** Andrzej: Wciąż zbyt mało wiemy na temat Śląska i Ślązaków! Wywiad z dr. (...) dyrektorem Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach rozmawiała Agnieszka Zielińska nr 4, s. 18–10.

**Sztajner** Piotr: To nie był stracony rok nr 12, s. 25–26.

**Sztoler** Grzegorz: Śląski akcent westernu. Rec.: P Kletkowski, M. Pepliński (red.): Europejskie kino gatunków. T. 2. Kraków 2020 nr 12, s. 62.

**Szulc** Leszek: Śląskie rzeki pamięci – ciąg dalszy nr 10, s. 50; Foto: nr 7, s. 12, 13; nr 10, s. 50, 51.

**Szweda** Joanna: Wzgórze porośnięte ciszą. Wspomnienie o Urszuli Broll nr 3, s. 29–30.

**Szymik** Jerzy ks.: „A zasadziwszy ogród...” Z ks. prof. (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 12, s. 8–11; Epitafium dla Anny; Familoki i montownia smaku; Kto to posprząta: Panama na Śląsku; Plebiscytowa; Tedus nr 9, s. 3, 12–13.

## Ś

**Śląski** Ogród Botaniczny. Turystyczny i naukowy Eden nr 8, s. 48–51.

**Śniado** Majewski Michał: Blues; Dobre miejsce; Małe rzeczy; Myśliciel nr 4, s. 38.

## T

**Taluć** Katarzyna: Morcinek jako poseł. Rec.: Działalność poselska Gustawa Morcinka, czyli katalog ludzkiej biedy. Szczecin 2019 nr 3, s. 67.

**Tkacz** Janik Małgorzata: Śląska herstoria? Z dr. (...) rozmawia Anna Ciepłak nr 9, s. 65–68.

**Tłałka** Anna: Doświadczenie miłości. Rec.: Barbara Gruszka-Zych: Nie chciałam ci tego mówić. Katowice 2019 nr 10, s. 64.

**Tokarczyk** Bartek: Foto nr 4, s. 51.

**Topor** Bogdan: Graf. Nr 3, 1 okładki; nr 10, s. 57, 58.

**Tosza** Bogdan: Na odejście pewnej aktorki pamięci Marii Stokowskiej Misiurkiewicz nr 4, s. 42.

**Trzeciok** Agnieszka: Foto nr 3, s. 76.

**Tumas Matuszewska** Izabela: Nowy przypadek Dory Reym nr 6, s. 40–43.

## U

**Uherek** Marian: Dwór w Leszczynach. Dawna siedziba Barteltów znów zachwycą swoim pięknem. nr 12, s. 52–53, foto, s. 52; Józef Pukowicz – biografia Ślązaka nr 5, s. 48–49; Śląskie familoki. Osiedle mieszkaniowe czy skansen? nr 10, s. 35; Śląskie rzeki pamięci: Szlak kpt. Roberta Oszka, Szlak pplk Konrada Wawelberga, Szlak Stanisława Wolnego, „Baranka” nr 7, s. 12–13; Foto nr 10, s. 34.

**Urbaniak** Michał Paweł: Szypułki nr 6, s. 44–46; Znieczulenia nr 2, s. 24–25.

## W

**Waga** Adam: Dwa dowody; Odpowiedź przyjacielowi, Principium, \*\*\* Długa się żyło; \*\*\* Nie odrzucaj, Panie nr 4, s. 16–17.

**Walczak** Ireneusz: Obsesja. O twórczości Jana Karwota nr 2, s. 50–53; Grafika nr 2, s. 1 okładki; nr 2, s. 33;

**Waluszewska** Kinga patrz: **Maciuszkiewicz Waluszewska** Kinga

**Wegener** Otto: Foto nr 7, s. 61.

**Węgrzyniak** Anna: Komedialna miara. Rec.: Joanna Warońska: Komedialna miara. Skamandrycy w teatrze. Częstochowa 2019 nr 10, s. 62–63.

**Wiaziński** Piotr: Stary notatnik (1813–1819). Przeł. Marian Kisiel nr 12, s. 27–30.

**Wieczorek** Edward: Granica nr 9, s. 49–51; Magia industrialnych podziemi nr 10, s. 22–23; Z żaglem i wiosłem. Śląskie nie tylko dla wodniaków nr 7, s. 8–10; Cmentarze Wielkiej Wojny nr 11, s. 50–53; Foto nr 7, s. 8–10; nr 9, s. 49, 51; nr 10, s. 23; nr 11, s. 51–53.

**Wieczorkowie** Anna i Krzysztof: Teresa Trzeciak (1941–2019) nr 7, s. 68.

**Wilgusiewicz** Antoni: Bałak semper fidelis nr 12, s. 58–59; Co nam zostało z tych lat. Lwów w zbiorach polskich Edwarda Chwalewika nr 1, s. 22–23; Czy na Górnym Śląsku potrzebne jest Centrum Kresowe? Polemika nr 9, s. 36; Galicja Josepha Rotha. Rec.: Joseph Roth. Listy z Polski. Kraków 2018 nr 11, s. 61; Muzycy z Kresów nr 4, s. 79–80; Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie nr 7, s. 74–75; Roksolana nr 2, s. 23; Umrzeć za Ojczyznę czy dla niej żyć? Refleksje w Roku Hetmana Stanisława Żółkiewskiego nr 3, s. 46–47; Zasówka i inne wiersze. Rec.: Adam Zagajewski: Prawdziwe życie. Kra-

ków 2019 nr 9, s. 62.

**Wojtal** Tomasz ks.: Śląska stygmatyczka. Katarzyna Szymon Suplement. Polemika nr 8, s. 46. Bogu i Ojczyźnie. Rec.: ks. Arkadiusz Wuwer (red.): Deo et Patriae. Patriotyzm w przepowiadaniu homilijnym biskupów katowickich (1989–2019). Katowice 2020 nr 12, s. 66.

**Wołyński** Marek: Być wróbelkiem. Genesis, Jej dekadencja, Staruszek, Widok z okna, \*\*\* Mówiłaś nr 11, s. 44–45.

**Woźniczka** Zygmunt: *Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfatego*: Listopad 1918. Kilka dni z życia Wojciecha Korfatego nr 11, s. 67; Powstania Śląskie 1919–1921 nr 12, s. 21–22; (współpraca Karol Makles): O nowe spojrzenie na Górny Śląsk nr 5, s. 28; Wojciech Korfanty. Ślązak, Polak, Europejczyk nr 4, s. 25; Znaczenie II Powstania Śląskiego nr 8, s. 24–25.

**Wójcik** Ireneusz Janusz: Ave Mariam; Do śląskiego faraża; Sarna; Święty spokój nr 5, s. 3, 16–17; Tropem kultury nad brzegiem Odry. Marta J. Bąkiewicz w rozmowie z (...) nr 9, s. 9–11.

**Wójcik** Marcin: Foto nr 12, s. 2 okładki, s. 42.

## Z

**Zabierowski** Stefan: Joseph Conrad i rok 1920 nr 7, s. 4–7; Pożegnanie profesora Franciszka Ziejki nr 9, s. 22–23.

**Zawada** Ernest: Grafika nr 11, s. 69–72.

**Zawiła** Edyta: Foto nr 3, s. 40;

**Zembala** Marian: In memoriam prof. Stanisław Pasyk. Dziękujemy Profesorze! nr 9, s. 19; Dotyk z sercem na dłoni cz. I; Dotyk z sercem na dłoni cz. II; Modlitwa; Posłaniec; Stańczyk; \*\*\* Spotkałem Adasia; \*\*\* W uznaniu zasług dla medycyny i ludzkości nr 10, s. 3, 18–19.

**Zielińska** Agnieszka, Arkadiusz Rybak: Bohaterowie Republiki Zagłębiowskiej nr 10, s. 36–37.

**Zielińska** Agnieszka: Co łączy Dąbrowę Górniczą i Nowy York? nr 2, s. 4–5; Małą kopalnia wielkiego miasta nr 12, s. 42; Młoda scena dziennikarska nr 6, s. 56–57; Srebrne Zagłębie nr 7, s. 53–54; Testament Księstwa Siewierskiego nr 9, s. 34; Wciąż zbyt mało wiemy na temat Śląska i Ślązaków! Wywiad z dr. Andrzejem Sznajderem dyrektorem Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach rozmawiała (...) nr 4, s. 18–10; Wenus, Scytowie, Sarmaci i... archeologia nr 8, s. 53–54; Foto nr 3, s. 4 okładki; nr 6, s. 56, 57; nr 8, s. 2 okładki; s. 52–54; nr 9, s. 2 okładki, s. 34;

**Zimoń** Damian: „Byli pełni lęku...” z arcybiskupem (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 5, s. 4–5.

**Zozula** Jefim: Kain i Abel; Żywe meble. Przeł. Marian Kisiel nr 6, s. 22–25; Księga wyjścia. Przeł. Marian Kisiel nr 3, s. 22–25.

**Zych** Barbara patrz: **Gruszka-Zych** Barbara:

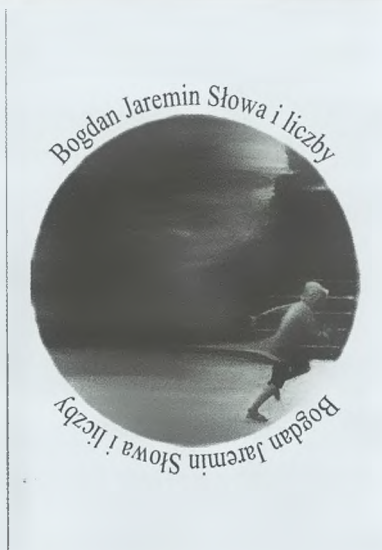
## Ż

**Żbikowska Lucyna**: Dokąd? Oczekiwanie; Tajemnice przyjaźni; \*\*\* Będę czytała dotykami; \*\*\* Tyłko w twoich oczach nr 4, s. 58–59.

**Żurawska** Ewa: Pamięć o ważnym dziedzictwie. O NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Śląskiego nr 8, s. 18–19.

Opracowała Aleksandra Kubanowska

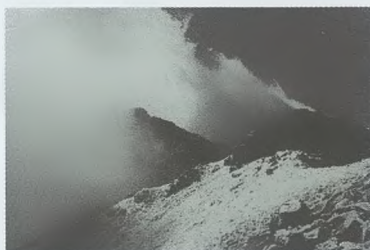
# KSIAŻKI NADESŁANE



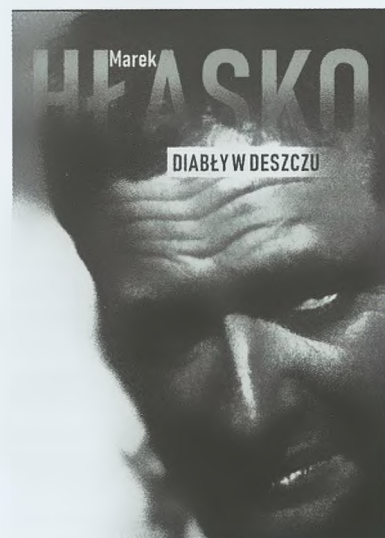
Bogdan Jaremin, *Słowa i liczby*. Biblioteka Toposu, t. 188. Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Redakcja „Toposu” Sopot 2020.

Zygmunt Ficek

Na przedprożach baśni



Zygmunt Ficek, *Na przedprożach baśni*. Biblioteka Toposu, t. 187. Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Redakcja „Toposu” Sopot 2020.



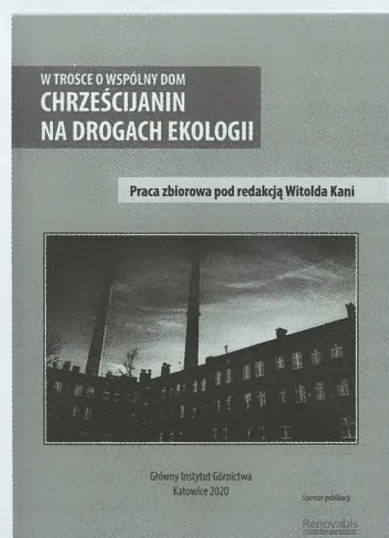
Marek Hłasko, *Diabły w deszczu*. Wydawca: Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2020.



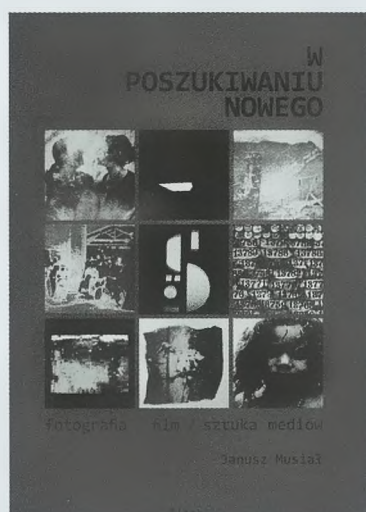
Witold Wirpsza, *Drugi opór*. Wydawca: Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2020.



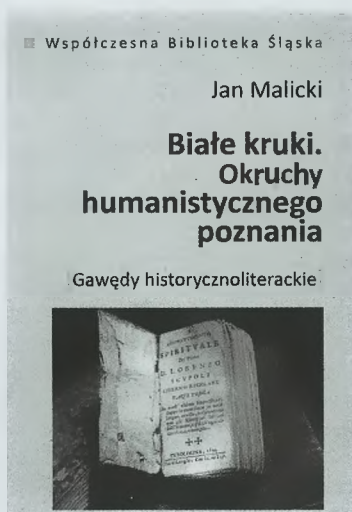
Marek Przybyła, *Bestiariusz lasu*. Nakładem autora. Sosnowiec 2020.



*W trosce o wspólny dom chrześcijan na drogach ekologii*. Praca zbiorowa pod redakcją Witolda Kani. Wydawca: Główny Instytut Górnictwa, Katowice 2020.



Janusz Musiał, *W poszukiwaniu nowego. Fotografia, film, sztuka mediów*. Wydawca: „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.

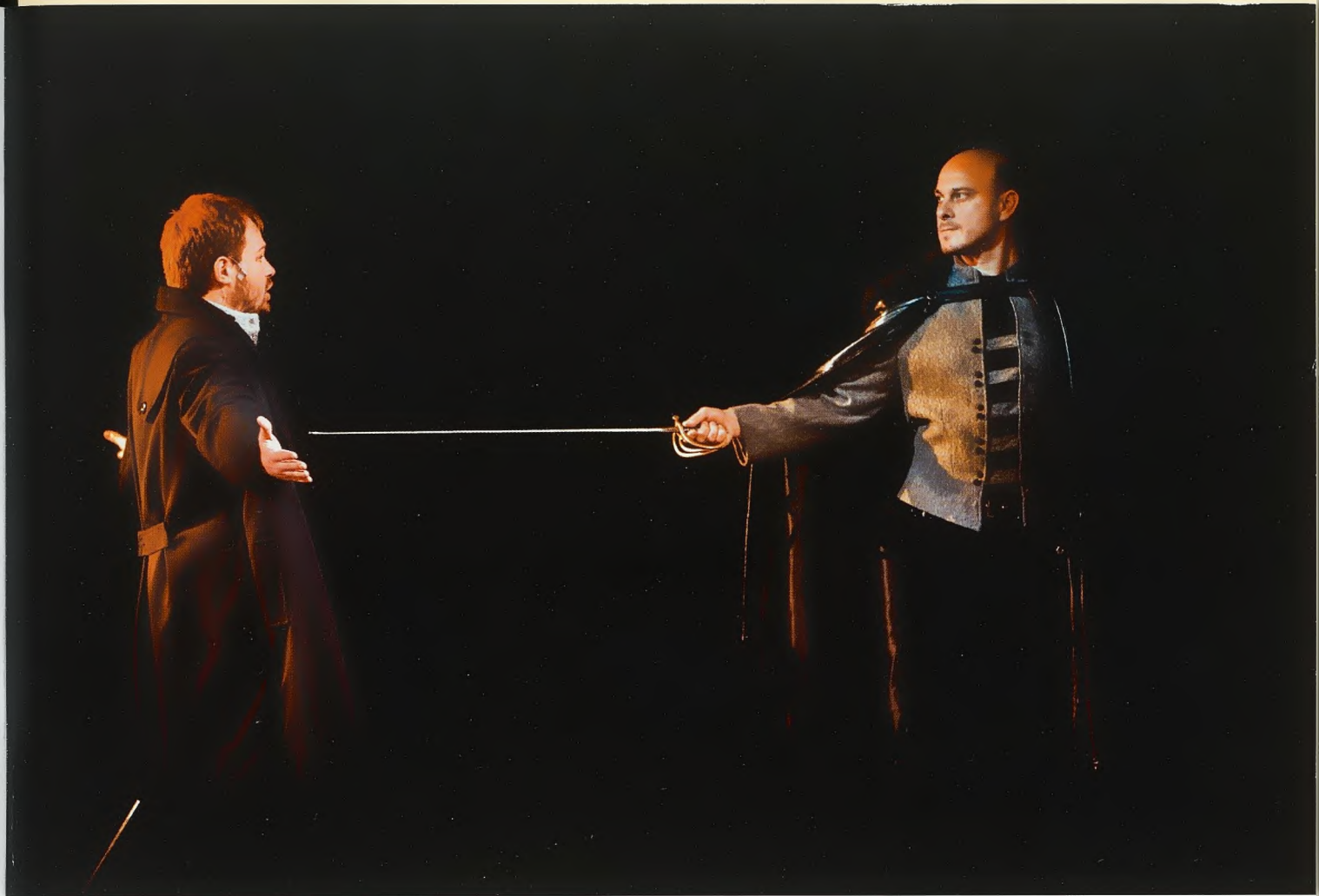


Jan Malicki, *Białe kruki. Okruchy humanistycznego poznania*. Wydawca: Stowarzyszenie Thesaurus Silesiae - Skarb Śląski, współwydawca: „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



Sławomir Matusz, *Orzeczenia strasznych i zakazanych*. Wydawca: Fundacja im. Jana Kochanowskiego, Stowarzyszenie „Solidarni 2010”, Sosnowiec 2020.





*fot. Krzysztof Bieliński*



351674 (1)

